



Chimamanda Ngozi Adichie

FIOLETOWY HIBISKUS

**PORUSZAJĄCA
OPowieść o dziecku,
które przedwcześnie
poznało siłę nietolerancji
i najciemniejszą stronę życia.
JOHN MAXWELL COETZEE**

CHIMAMANDA NGOZI ADICHIE

FIOLETOWY
HIBISKUS

Tłumaczył
Jan Kraśko



ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

*Profesorowi Jamesowi Nwoye Adichie
i Grace Ifeomie Adichie,
moim Rodzicom, moim bohaterom,
ndi o ga-adili mma*

UPADEK BOGÓW

NIEDZIELA PALMOWA

Wszystko zaczęło się psuć od chwili, gdy mój brat, Jaja, nie przystąpił do komunii i Tata rzucił w niego ciężkim mszałem, tłukąc figuryнки na etażerce. Właśnie wróciliśmy z kościoła. Mama położyła na stole świeże liście palmowe, jeszcze mokre od święconej wody, i poszła na górę się przebrać. Potem miała je związać w kształt luźnego krzyża i powiesić na ścianie obok oprawionego w złote ramki zdjęcia naszej rodziny; wisiałyby tam aż do następnej środy popielcowej, kiedy to spalilibyśmy je na popiół. Tak jak inni oblaci, w każdy Popielec Tata wkładał długą szarą szatę i pomagał księdzu w kościele. Jego kolejka przesuwała się najwolniej, bo mocno przyciskając umazany popiołem kciuk do czoła każdego wiernego, starannie robił znak krzyża i powoli, z wielkim namaszczeniem wypowiadał słowa: „Pamiętaj, że z prochu powstałeś i w proch się obrócisz”.

Tata zawsze siedział na samym końcu pierwszego rzędu, tuż obok głównego przejścia, a obok niego siedziała Mama, a potem Jaja i ja. I zawsze pierwszy przystępował do komunii. Przyjmując komunię, większość ludzi nie klękała przed marmurowym ołtarzem z naturalnych rozmiarów figurą jasnowłosej Maryi Dziewicy, ale on klękał. Klękał i zamykał oczy tak mocno, że wykrzywiała mu się cała twarz, a potem wystawiał język najdalej, jak tylko mógł. Po komunii wracał na miejsce i patrzył, jak do ołtarza podchodzą wierni z palmowymi liśćmi, mocno ściśniętymi i ułożonymi w kształt skośnie trzymanego wachlarza – nauczył ich tego ksiądz Benedykt. Chociaż ksiądz Benedykt był w Świętej Agnieszce już od siedmiu lat, ludzie wciąż nazywali go „naszym nowym księdzem”. Może by i w końcu przestali, gdyby nie był biały. I gdyby się jakoś zmienił, ale on się nie zmienił i wciąż wyglądał jak nowy. Jego twarz, biała jak skondensowane mleko czy rozcięty liść flaszowca, ani trochę się nie opaliła, chociaż wysmagało ją siedem nigeryjskich harmattanów. A jego angielski nos był ciągle wąski tak jak wtedy, gdy widząc go pierwszy raz, z niepokojem pomyślałam, że tu, w Enugu, nie może nim pewnie wciągać wystarczającej ilości powietrza. Ksiądz Benedykt zmienił u nas dużo rzeczy, jak choćby to, że Wierzę w Boga i Litanię do Ducha Świętego odmawialiśmy teraz po łacinie; igbo był niedopuszczalny. I klaskać nie mogliśmy już tyle co dawniej, żeby nie zakłócać powagi mszy świętej. Za to podczas ofertorium mogliśmy śpiewać w naszym rodzinnym języku; mówił,

że są to „pieśni ludowe”, a kiedy wypowiadał słowo „ludowe”, jego proste usta zakrzywiały się w kącikach do dołu. Podczas kazania zwykle wspominał o papieżu, Tacie i Jezusie w tej kolejności. Tata ilustrował ewangelię. Na przykład tej Niedzieli Palmowej powiedział:

– Otaczająca człowieka światłość jest odzwierciedleniem triumfalnego wjazdu Chrystusa do Jerozolimy. Spójrzcie tylko na brata Eugenea. Mógł wybrać inną drogę i być jak inni dygnitarze w tym kraju. Po przewrocie mógł siedzieć w domu i nic nie robić, żeby nowy rząd nie zagroził jego interesom. Ale nie, w swojej gazecie mówił prawdę nawet wtedy, gdy oznaczało to utratę dochodów z ogłoszeń. Odważnie domagał się wolności. A ilu z nas wystąpiło w obronie prawdy? Ilu z nas emanuje światłością, wspomnieniem triumfalnego wjazdu Chrystusa do Jerozolimy?

„O tak”, odpowiedzieli wierni. „Niechaj Bóg go błogosławi”, dodali inni, a jeszcze inni powiedzieli: „Amen”, ale nie za głośno, żeby nie było tak jak u zielonoświątkowców. A potem wszyscy słuchali, z uwagą i w ciszy. Nawet dzieci przestały płakać, jakby i one słuchały. W niektóre niedziele ludzie słuchali w skupieniu nawet wtedy, gdy ksiądz Benedykt mówił o rzeczach powszechnie znanych, jak choćby o tym, że Tata dał najwięcej na świętopietrze i złożył najwyższy datek na kościół St. Vincent de Paul. Albo o tym, że zapłacił za komunijne wino, że kupił nowe piece dla klasztoru, żeby wielebne siostry mogły wypiekać hostię, że ufundował nowe skrzydło szpitala Świętej Agnieszki, gdzie ksiądz Benedykt udzielał ostatniego namaszczenia. Siedziałam wtedy obok Jaja z mocno ściśniętymi kolanami, próbując zachować obojętny wyraz twarzy, żeby nikt nie widział, jak bardzo jestem dumna; Tata zawsze powtarzał, że skromność jest bardzo ważna.

On też miał wtedy obojętną twarz, tak jak na zdjęciu w gazecie, kiedy Amnesty World przyznała mu nagrodę za obronę praw człowieka. Tylko raz, właśnie wtedy, pozwolił, żeby publicznie pokazano jego fotografię. Namówił go do tego Ade Coker, redaktor naczelny jego gazety, twierdząc, że Tata na to zasłużył i że jest zbyt skromny. Powiedziała nam o tym Mama; Tata nigdy o takich rzeczach nie wspominał. Siedział z obojętną twarzą aż do końca kazania, to znaczy do komunii. Przyjąwszy komunię, wracał na miejsce, żeby popatrzeć na podchodzących do ołtarza ludzi, a ilekroć stwierdził, że ktoś nie przystąpił do komunii przez dwie niedziele z rzędu, po mszy szedł do księdza Benedykta, z troską mu o tym donosił i namawiał, żeby ksiądz do tego kogoś poszedł i spróbował odzyskać go dla owczarni; jedynie śmiertelny grzech po-

wstrzymałby kogoś od komunii przez dwie niedziele z rzędu.

Dlatego gdy tamtej Niedzieli Palmowej w kolejce do ołtarza Tata nie zobaczył mojego brata, po powrocie do domu huknął w stół oprawionym w skórę mszałem, takim ze sterczącymi na górze i dole czerwonymi i zielonymi wstążeczkami. Stół miał szklany blat, ciężki i gruby, mimo to zatrzęsł się tak jak leżące na nim palmowe liście.

– Jaja, nie przystąpiłeś do komunii – powiedział cicho Tata; zabrzmiało to niemal jak pytanie.

– Po tym wafelku cuchnie mi z ust – odparł Jaja, patrząc na stół, jakby mówił do leżącego tam mszału.

Wytrzeszczyłam oczy. Czyżby postradał rozum? Wafelek? Tata kazał nam nazywać go hostią, ponieważ słowo to najdokładniej oddawało istotę rzeczy, świętość Chrystusowego ciała. „Wafelek” było określeniem za bardzo świeckim, „wafelki” robili w jednej z fabryk Taty, czekoladowe i bananowe, takie, które dorośli kupowali dzieciom, żeby sprawić im frajdę i dać coś lepszego niż zwykły herbatnik.

– I kiedy ksiądz dotyka moich ust, robi mi się niedobrze – dodał Jaja.

Wiedział, że na niego patrzę, że zaszokowanymi oczami błagam go, żeby się zamknął, ale nawet na mnie nie spojrzał.

– To jest ciało Pana naszego. – Tata mówił niskim, bardzo grubym głosem. Chociaż twarz miał już nabrzmiałą – roilo się na niej od zaczopowanych ropą krostek – po chwili zrobiła się jeszcze większa. – Nie można przestać go przyjmować. To oznacza śmierć, dobrze o tym wiesz.

– W takim razie umrę. – Jaja podniósł wzrok i spojrzał na niego, chociaż oczy ściemniały mu ze strachu i były teraz czarne jak smoła. – W takim razie umrę.

Tata rozejrzał się szybko po jadalni, jakby szukał dowodu na to, że coś spadło z sufitu, że spadło stamtąd coś, co przecież nie miało prawa spaść. Potem chwycił mszał i rzucił nim w mojego brata. Chybił i trafił w szklaną etażerkę, którą Mama tak często odkurzała i polerowała. Mszał roztrzaskał górną półkę, zmiotł z niej porcelanowe figurki powyginanych w różne pozy baletnic i wraz z nimi wylądował na podłodze. Wraz z nimi, a raczej z tym, co z nich zostało. I znieruchomiał tam, wielka skórzana księga z czytaniem na wszystkie trzy okresy roku kościelnego.

Jaja ani drgnął. Tata się zachwiał. Stałam w drzwiach i tylko na nich patrzyłam. Pod sufitem powoli wirował wentylator i pobrzękiwały zamontowa-

ne na nim żarówki. Wtedy do jadalni weszła Mama, mlask-mlask, pomlaskując na marmurowej podłodze gumowymi kapciami. Zdjęła już ozdobioną cekinami niedzielną spódnicę i bluzkę z bufiastymi rękawami. Teraz miała na sobie biały podkoszulek, który nosiła na co dzień, i luźną, owiniętą wokół bioder batikową spódnicę. Na podkoszulku – zachowała go na pamiątkę z rekolencji, na które uczęszczała z Tatą – dokładnie na jej obwisłych piersiach były wypisane słowa: BÓG JEST MIŁOŚCIĄ. Weszła, popatrzyła na rozbite figurynki, uklękła i zaczęła zbierać je gołymi rękami.

Ciszę zakłócało jedynie mruczenie łopat wentylatora przecinających nieruchome powietrze. Mimo że nasza przestronna jadalnia łączyła się z jeszcze większym salonem, brakowało mi tchu. Ściany w kolorze złamanej bieli zaczęły się nagle zwęzać i napierać na mnie ze wszystkich stron. Ruszył na mnie nawet szklany stół.

– *Nne, ngwa.* Idź się przebrać. – Przestraszyłam się, chociaż Mama powiedziała to cicho i spokojnie. I na tym samym oddechu zwróciła się do Taty: – Herbata wystygnie. – A potem do Jaja: – Pomóż mi, *biko*.

Tata usiadł przy stole, sięgnął po porcelanowy dzbanek w różowe kwiatki na górze i wlał sobie herbaty do porcelanowej filiżanki od kompletu. Czekałam, aż poprosi mnie i brata, żebyśmy jak zwykle upili z niej mały łyk. Nazywał to „łykiem miłości”, ponieważ z ukochanymi trzeba dzielić się każdym, najmniejszym nawet drobiazgiem. „Masz, wypij łyczek” – mówił i Jaja podchodził pierwszy. Potem podchodziłam ja, brałam filiżankę obiema rękami i podnosiłam ją do ust. Jeden łyk. Herbata zawsze była za gorąca, zawsze parzyła mnie w język i jeśli na obiad zjedliśmy coś ostrego, paliło mnie w buzi jak ogniem. Ale to było nieważne, bo wiedziałam, że wraz z tym palącym bólem Tata przelewa we mnie swoją miłość. Ale nie, tym razem nie powiedział: „Wypij łyczek”; nie powiedział nic, tylko przytknął filiżankę do ust.

Jaja ukląkł obok Mamy, z kościelnego biuletynu zrobił śmietniczkę i zaczął kłaść na niej odpryski beżowej porcelany.

– Ostrożnie, Mamo – powiedział. – Pokaleczysz sobie palce.

Wsunęłam rękę pod czarną kościelną chustkę i pociągnęłam się za warkoczyk, bo myślałam, że śnię. Dlaczego Mama i Jaja zachowywali się tak, jakby nie wiedzieli, co się stało? I dlaczego Tata spokojnie pił herbatę, jakby nie słyszał, że Jaja mu odszczeknął? Powoli odwróciłam się i poszłam na górę, żeby zdjąć niedzielną sukienkę.

Przebrałam się i usiadłam przy oknie; nasz nerkowiec rósł tak blisko, że

gdyby nie srebrzysta siatka przeciwko owadom, mogłabym zerwać liść. Żółte owoce w kształcie dzwonu zwisały leniwie, wabiąc brzęczące pszczoły, które co i raz to wpadały na siatkę. Potem usłyszałam, jak Tata idzie do swojego pokoju na południową drzemkę. Zamknęłam oczy i znieruchomiałam, czekając, aż zawoła, aż na schodach zabrzmia kroki Jaja. Ale po kilku długich, cichych minutach otworzyłam je, przytknęłam czoło do żaluzji i wyjrzałam na podwórze. Było tak szerokie, że stu ludzi mogło tańczyć na nim *atilogu*, i tak przestronne, że każdy tancerz mógł zrobić salto i wylądować na ramionach sąsiada. A najeżone elektrycznymi kablami mury były tak wysokie, że nie widziałam nawet przejeżdżających ulicą samochodów. Był początek pory deszczowej i rosnące przy murze artretycznie powyginane uroczyny wypełniały podwórze słodko-mdławym zapachem kwiatów. Od podjazdu oddzielał je rząd bugenwilli, gładko przyciętych i prostych jak bufetowy stół. Blżej domu rosły krzewy jaskrawych, karmazynowych hibiskusów, które strzelając w górę, dotykały się wzajemnie, jakby chciały wymienić płatki. Zaczynały już wypuszczać pączki, leniwie i nieco sennie, ale większość kwiatów była jeszcze czerwona. Kwitły bardzo szybko, zważywszy, że Mama często ścinała je na kościelny ołtarz i że nasi goście często zrywali je w drodze do samochodu.

Najwięcej hibiskusów zrywały koleżanki Mamy, te z kółka rózańcowego; raz widziałam z okna, jak jedna z nich zatknęła sobie kwiat za ucho. Zerwali je nawet rządowi tajniacy, dwaj ubrani na czarno mężczyźni, którzy odwiedzili nas jakiś czas temu. Przyjechali pikapem z federalnymi tablicami rejestracyjnymi i zaparkowali tuż przy hibiskusach. Nie zabawili długo. Później Jaja powiedział, że chcieli Tatę przekupić, że słyszał, jak mówili, że ich pikap jest po brzegi wypełniony dolarami. Nie wiem, czy czegoś nie przekręcił. Ale potem często o tym myślałam. Wyobrażałam sobie sterty i sterty zagranicznych banknotów i zastanawiałam się, czy włożyli je do wielu czy do jednego wielkiego pudła, takiego, w jakim przyjechała nasza lodówka.

Wciąż siedziałam przy oknie, gdy do pokoju weszła Mama. W każdą niedzielę przed obiadem, kiedy Tata szedł spać, ona zaplatała mi warkocze, w przerwach każąc Sisi dodać trochę więcej oleju palmowego do zupy czy mniej curry do kokosowego ryżu. Siadała w fotelu przy drzwiach do kuchni, a ja na podłodze, z głową między jej udami. Chociaż kuchnia była przewiewna, bo nigdy nie zamykano tam okien, włosy zawsze przesiąkały mi zapachem przypraw – potem, przytykając do nosa koniuszek warkocza, czułam

woń egusi, utazi i curry. Ale tym razem Mama przyszła do mnie bez torby pełnej grzebieni i buteleczek z oliwką do włosów, i zamiast poprosić mnie na dół, rzuciła:

– Obiad na stole, *nne*.

Chciałam powiedzieć, że przykro mi, iż Tata zbił figurynki, ale zamiast tego szepnęłam:

– Przykro mi, że figurki się stłukły.

Mama szybko kiwnęła głową, a potem pokręciła nią, jakby nic już dla niej nie znaczyły. A znaczyły. Przed laty, zanim wszystko zrozumiałam, zastanawiałam się często, dlaczego czyści je i odkurza zaraz po tym, gdy z ich pokoju dochodził dziwny trzask, jakby coś gwałtownie uderzało w drzwi. Po schodach schodziła w gumowych kapciach, niemal bezszelestnie, ale wiedziałam, że jest na dole, kiedy otwierała drzwi do jadalni. Wtedy też schodziłam i wiele razy widziałam, jak stoi przy etażerze z kuchennym ręcznikiem nasączonym mydlinami. Każdej figurce poświęcała co najmniej kwadrans. Nigdy przy tym nie płakała. Ostatnim razem, nie dalej jak przed dwoma tygodniami, gdy jej podpuchnięte oko wciąż miało kolor przejrzałego, czarno-sinego awokado, wyczyściła je i poprzestawiała.

– Włosy zaplotę ci po obiedzie – powiedziała, ruszając do drzwi.

Wyszłam za nią na schody. Lekko utykała, jakby jedną nogę miała krótszą, i szła tak, jakby była niższa, niż jest. Schody zakrzywiały się elegancko w kształt litery S i w połowie drogi zobaczyłam stojącego w holu brata. Przed obiadem siedł zwykle poczytać, ale tego dnia został na dole; cały czas siedział w kuchni z Mamą i Sisi.

– *Ke kwanu?* – rzuciłam, chociaż nie musiałam pytać, jak się czuje. Wystarczyło na niego spojrzeć. Na jego siedemnastoletniej twarzy wykwitły zmarszczki; zygzakiem przecinały mu czoło, a z każdej z nich biło mroczne napięcie. Ścisnęłam go lekko za rękę i weszliśmy do jadalni. Rodzice już siedzieli, a Tata mył ręce w misce, którą trzymała Sisi. Zaczekał, aż usiądziemy naprzeciwko niego, i rozpoczął modlitwę. Najpierw przez dwadzieścia minut prosił Boga, żeby raczył pobłogosławić nasze jedzenie, potem zwrócił się z wezwaniem do Błogosławionej Dziewicy, a myśmy odpowiadali mu: „Módl się za nami”. Nazywał Maryję wieloma imionami, ale jego ulubionym było Najświętsza Panienska, Tarcza Nigeryjskiego Ludu. Sam je wymyślił. Mawiał, że gdyby wszyscy codziennie go używali, Nigeria nie zataczałaby się i nie chwiała jak wielki człowiek o rachitycznych nogach dziecka.

Na obiad jedliśmy *fufu* i *onugbu*. *Fufu* było gładkie i puszyste. Sisi dobrze je przyrządzała; wlewała do moździerza kilka kropel wody i tłukła jam tak energicznie, że z każdym łup-łup-łup tłuczka kurczyły jej się policzki. Zupa była gęsta, z dużymi kawałkami gotowanej wołowiny, suszonej ryby i ciemnymi liśćmi *onugbu*. Jedliśmy w milczeniu. Robiłam z *fufu* małe kulki, mazałam je w zupie, tak żeby zgarnąć przy okazji kawałek ryby, i wkładałam sobie do ust. Zupa była na pewno dobra, ale nie czułam jej smaku, po prostu nie czułam. Język miałam jak z papieru.

– Poproszę o sól – powiedział Tata.

Sięgnęliśmy po nią jednocześnie, Jaja i ja. Dotknęliśmy kryształowej solniczki, musnęłam palcami jego palce i brat zabrał rękę. Podałam solniczkę Tacie. Cisza się przedłużała.

– Przywieźli sok z nerkowca – powiedziała w końcu Mama. – Nawet smaczny. Na pewno dobrze się sprzeda.

– Każ jej go przynieść – odrzekł Tata.

Mama wcisnęła guzik, nad stołem zadzwonił wiszący na przezroczystym kablu dzwonek i weszła Sisi.

– Tak, proszę pani?

– Przynieś dwie butelki tego napoju, który przywieźli dzisiaj z wytwórni.

– Dobrze, proszę pani.

Pragnęłam, żeby Sisi spytała: „Jakie butelki?” albo „Gdzie stoją?”, żeby wszczęła jakąkolwiek rozmowę i odciągnęła uwagę Taty od Jaja, który nerwowo robił kulki z *fufu*. Ale Sisi szybko wróciła i postawiła butelki obok talerza Taty. Miały prawie identyczne, lekko wypłowiałe naklejki, tak jak wszystkie produkty z fabryk Taty, jak wafle, śmietankowe herbatniki, butelkowany sok czy bananowe chipsy. Tata rozlał sok. Szybko wzięłam szklanekę i spróbowałam. Był wodnisty. Chciałam udąć, że mi smakuje; może gdybym powiedziała, że jest dobry, Tata zapomniałby, że jeszcze nie ukarał Jaja.

– Bardzo dobry – pochwaliłam.

Tata nadął policzki i sok zachlupotał mu w ustach.

– Tak. Tak.

– Smakuje jak świeże nerkowce – wtrąciła Mama.

Powiedz coś, pomyślałam, zerkając na brata. Musiał coś teraz powiedzieć, wnieść coś do rozmowy, pochwalić nowy produkt Taty. Robiliśmy tak, ilekroć jego pracownicy przywozili nam coś do spróbowania.

– Albo jak białe wino – dodała Mama. Była zdenerwowana, wyraźnie to

widziałam, nie tylko dlatego, że sok wcale nie smakował jak białe wino, ale i dlatego, że mówiła ciszej niż zwykle. – Jak białe wino – powtórzyła, zamykając oczy, żeby lepiej poczuć smak. – Owocowe.

– Tak – szepnęłam. Kulka *fufu* wpadła mi do zupy.

Tata popatrzył znacząco na mojego brata.

– Jaja, nie napijesz się z nami, *gbo*? Zabrakło ci słów?

– Powiedział to wszystko w igbo. Zły znak. Rzadko kiedy mówił w igbo i chociaż Mama, ja i brat używaliśmy tego języka w domu, Tata nie lubił, kiedy mówiliśmy w igbo publicznie. Występując publicznie, musieliśmy zachowywać się jak cywilizowani ludzie i mówić po angielsku, stanowczo tego wymagał. Ciocia Ifeoma, jego siostra, powiedziała kiedyś, że Tata za bardzo przypomina kolonialny produkt. Powiedziała to łagodnie, z wyrozumiałością, jakby to nie była jego wina, jakby mówiła o kimś, kto wykrzykuje coś, mającąc w malarycznej gorączce.

– Nie masz nic do powiedzenia, *gbo*? – spytał ponownie Tata.

– *Mba*, nie mam – odparł Jaja.

– Co takiego? – W oczach Taty pojawił się cień, taki sam, jaki widziałam przedtem w oczach brata. Cień strachu. Opuścił oczy Jaja i przeszedł do oczu Taty.

– Nie mam nic do powiedzenia.

– Sok jest dobry... – zaczęła Mama.

Jaja odepchnął się z krzesłem od stołu.

– Dziękuję ci, Panie. Dziękuję, Tato. Dziękuję, Mamo.

Zerknęłam na niego. Przynajmniej podziękował, jak trzeba, tak jak zawsze dziękowaliśmy po posiłku. Ale zrobił też coś, czego nigdy dotąd nie robiliśmy: wstał od stołu, zanim Tata podziękował Bogu za jedzenie.

– Jaja! – Cień w oczach Taty był coraz większy, przesłaniał już białka.

Brat wychodził z jadalni z talerzem w rękę. Tata chciał wstać, ale osunął się na krzesło. Policzki mu opadły jak u buldoga.

Wzięłam szklankę i popatrzyłam na sok, wodnistożółty jak mocz. Wlałam go sobie do gardła i wypiałam jednym haustem. Nie wiedziałam, co jeszcze można zrobić. To się nigdy dotąd nie zdarzyło, nigdy, nie za mojej pamięci. Byłam pewna, że zaraz runą mury wokół naszego domu, że runą i przygniotą uroczyny. Ze zapadnie się niebo. Ze skurczą się perskie dywany na lśniącej marmurowej podłodze. Ze coś się stanie. Ale stało się tylko to, że się zakrztusiłam. Moim ciałem wstrząsnął gwałtowny kaszel. Podbiegli do mnie Mama i

Tata. Mama zaczęła masować mi ramiona, a Tata uderzył mnie pięścią w plecy i powiedział:

– *O zugo*. Przestań kaszleć.

Tego wieczoru zostałam w łóżku i nie zeszłam na kolację. Kaszlałam tak bardzo, że kiedy dotykałam policzków, piekły mnie ręce. Tysiące potworów grało w mojej głowie w dwa ognie, tyle że zamiast piłką, rzucały oprawionym w brązową skórę mszałem. Przyszedł Tata i materac ugiął się pod jego ciężarem, gdy usiadł, pogłaskał mnie po policzkach i spytał, czy czegoś nie chcę; Mama robiła już dla mnie *ofe nsala*. Powiedziałam, że nie, i zamilkliśmy na długo, trzymając się za ręce. Tata zawsze oddychał głośno, ale wtedy dyszał, jakby brakowało mu tchu, i zastanawiałam się, o czym myśli, czy przypadkiem nie biegnie, tak w myślach, czy od czegoś nie ucieka. Nie patrzyłam na niego, bo nie chciałam widzieć tych krost, wysypki tak gęstej i tak równomiernie rozrzuconej, że jego twarz wyglądała jak rozdęta.

Trochę później Mama przyniosła mi *ofe nsala*, ale od aromatycznego zapachu zupy tylko mnie zemdliło. Zwymiotowałam w łazience i spytałam, gdzie jest Jaja. Nie odwiedził mnie od obiadu.

– W swoim pokoju. Nie zszedł na kolację. – Mama głaskała mnie po warokoczykach; lubiła to robić, sunąć palcami po włosach, sprawdzać, jak się ze sobą splatają. Czesanie postanowiła odłożyć do przyszłego tygodnia. Miałam za gęste włosy; ilekroć przeciągała po nich grzebieniem, zawsze zaciskały się w gruby pęk. Gdyby zaczęła mnie teraz czesać, rozwścieczyłaby tylko potwory w mojej głowie.

– Kupisz nowe figurki? – spytałam. Czułam zapach kredowego dezodorantu spod jej pach. Jej brązowa twarz, zupełnie gładka, jeśli nie liczyć świeżej, wystrzępionej blizny na czole, była obojętna, bez wyrazu.

– *Kpa* – odrzekła. – Nie kupię.

Może uznała, że nie będą już potrzebne, że kiedy Tata rzucił w brata mszałem, nie tylko one roztrzaskały się na podłodze, że wraz z nimi runęło dosłownie wszystko. Dopiero teraz zaczynałam zdawać sobie z tego sprawę, dopiero teraz dopuściłam do siebie tę myśl.

Po wyjściu Mamy leżałam, wspominając przeszłość, lata, kiedy Jaja, Mama i ja rozmawialiśmy częściej duszą niż językiem. Było tak aż do Nsukka. Tam się wszystko zaczęło; przydomowy ogródek cioci Ifeomy przerwał nasze milczenie. Bunt Jaja był teraz jak eksperymentalny hibiskus cioci: wy-

jątkowy i pachnący nutką wolności innej niż ta, której domagał się tłum ludzi wymachujących zielonymi liśćmi na placu Rządowym po zamachu stanu. Wolności czynu i bycia sobą.

Ale moje wspomnienia sięgały dalej niż do Nsukka. Sięgały do czasów, gdy wszystkie hibiskusy na naszym podwórzu były jaskrawoczerwone.

ROZMOWA DUSZ

PRZED NIEDZIELĄ PALMOWĄ

Siedziałam przy biurku, gdy do pokoju weszła Mama ze stertą szkolnych mundurków na zgięciu łokcia. Położyła je na łóżku. Powiesiłam je rano na podwórzu, żeby wyschły. Mundurki praliśmy sami, Jaja i ja, a Sisi prała całą resztę. Zawsze najpierw zanurzaliśmy maleńki skrawek ubrania w mydlinach, żeby sprawdzić, czy farba nie puści, chociaż wiedzieliśmy, że nie. Chcieliśmy po prostu wykorzystać każdą minutę z trzydziestu, jakie wyznaczył nam Tata na pranie mundurków.

– Dziękuję, Mamo, właśnie miałam po nie pójść – powiedziałam, wstając, żeby je poskładać. Wielce niewłaściwe było pozwolić, żeby starsza osoba wykonywała obowiązki młodszej, chociaż Mama nie miała nic przeciwko temu; nie miała nic przeciwko wielu rzeczom.

– Zaraz zacznie padać. Nie chciałam, żeby przemokły. – Przesunęła ręką po mundurku, szarej spódniczce z ciemniejszym paskiem, takiej za łydkę. – *Nne*, będziesz miała brata albo siostrę.

Wytrzeszczyłam oczy. Siedziałam ze złączonymi kolanami na łóżku.

– Będziesz miała dziecko?

– Tak. – Mama uśmiechnęła się, nie przestając głaskać mojej spódniczki.

– Kiedy?

– W październiku. Wczoraj byłam w Park Lane u lekarza.

Bogu niech będą dzięki. – Brat i ja mówiliśmy tak, ilekroć zdarzyło się coś dobrego; Tata zawsze tego od nas oczekiwał.

– Właśnie. – Mama cofnęła rękę; zrobiła to niemal niechętnie. – Bóg nie opuści nas w potrzebie. Wiesz, kiedy się urodziłaś i miałam te wszystkie poronienia, we wsi zaczęli szeptać. Członkowie naszej *umunna* wysłali nawet delegację do ojca, żeby namówić go do spółdzenia dziecka z inną. Tylu ludzi miało chętne córki, wiele z nich skończyło nawet uniwersytet. Mogły urodzić mu synów, przejąć nasz dom i wypędzić nas, jak druga żona pana Ezendu.

Ale ojciec został ze mną, został z nami. – Rzadko kiedy mówiła tyle naraz. Zwykle mówiła tak, jak ptaszek je, po trochu.

– Tak. – Tato zasługiwał na pochwałę za to, że nie chciał mieć synów z inną kobietą, że nie wziął sobie drugiej żony, to oczywiste. Ale Tato był inny. I wolałabym, żeby Mama nie porównywała go z panem Ezendu ani w ogóle z nikim. To go poniżało, brukało.

– Mówili nawet, że ktoś przewiązał mi łono *ogwu*.

– Mama pokręciła głową i uśmiechnęła się tym pobłażliwym uśmiechem, który gościł na jej twarzy, kiedy mówiła o ludziach wierzących w wyrocznię, albo gdy krewne sugerowały, żeby poszła do lekarza, albo kiedy opowiadały, że na ich podwórzu wykopano kłak sierści i zwierzęce kości zawinięte w szmatę, które miały uniemożliwić zajście w ciążę. – Nie wiedzą, że niezbadane są wyroki Pana naszego.

– Tak – odrzekłam. Trzymałam mundurki bardzo ostrożnie, pilnując, żeby wszystkie krawędzie były równo ułożone. – Niezbadane są wyroki Pana naszego. – Nie wiedziałam, że próbowała zajść w ciążę prawie od sześciu lat, kiedy to miała ostatnie poronienie. Nie mogłam nawet myśleć o nich razem w łóżku, takim dużym, robionym na zamówienie, szerszym niż zwykle podwójne łóżko. Kiedy myślałam o łączącej ich miłości, kojarzyła mi się ona tylko ze znakiem pokoju, który przekazywali sobie podczas mszy, z tym, że Tata czule ją potem obejmował.

– W szkole wszystko dobrze? – spytała, wstając. Zadała mi to pytanie już drugi raz.

– Tak.

– Gotuję z Sisi *moi-moi* dla sióstr, niedługą będą. – Mama zeszła na dół.

Zesłam za nią i położyłam mundurki na stole w holu, skąd Sisi miała zabrać je do prasowania.

Siostry, członkinie kółka różańcowego Naszej Pani od Cudownego Medalika, niebawem przyszły i ich piosenki, w takt których głośno klaskały, rozbrzmiewały echem aż na górze. Wiedziałam, że będą modlić się i śpiewać przez pół godziny, potem Mama im przerwie i cichym głosem, który tu, w moim pokoju, ledwo usłyszę nawet przy otwartych drzwiach, powie, że przygotowała dla nich „małą przekąskę”. Gdy Sisi zacznie wnosić półmiski z *moi-moi*, ryżem i pieczonymi kurczakami, kobiety będą żartobliwie ją strofować: „Siostrze Beatrice, co to jest? Po co to robisz? Czyż nie wystarczy nam *anara*, którą dostajemy w domach innych sióstr? Naprawdę nie powinnaś”.

A potem piskliwy głosik zakrzyknie: „Chwała Panu naszemu!”, maksymalnie przeciągając pierwsze słowo. Pozostałe kobiety mu odpowiedzą i „Alleluja!” odbije się echem od ścian mojego pokoju i od szklanych mebli w salonie. Jeszcze potem będą się modlić, prosząc Boga o nagrodę za hojność siostry Beatrice, o kolejne błogosławieństwo do kolekcji wielu, jakimi została już obdarzona. A po modlitwie, brzdęk-brzdęk-brzdęk, zabrzęczą widelce i łyżki, zachroboczą o talerze. Bez względu na liczbę gości Mama nigdy nie używała plastikowych sztućców.

Właśnie rozpoczęły modlitwę przed jedzeniem, gdy na schody wbiegł Jaja. Wiedziałam, że najpierw zajrzy do mnie, bo Taty nie było w domu. Gdyby był, Jaja poszedłby do swego pokoju się przebrać.

– *Ke kwanu?* – spytałam, gdy wszedł. Był w szkolnym mundurku, w niebieskich spodenkach i białej koszuli z herbem Świętego Michała na lewej piersi, jeszcze zaprasowanej z przodu i z tyłu. Przed rokiem wybrano go najporządniej ubranym chłopcem z trzecich klas i Tata wyściskał go tak mocno, że omal nie złamał mu kręgosłupa.

– W porządku. – Stał przy biurku i przerzucił kilka kartek *Wstępu do technologii*, którą właśnie otworzyłam. – Co jadłś?

Garri.

Szkoda, że nie jemy już razem – odrzekł oczami Jaja.

– Też żałuję – powiedziałam na głos.

Przedtem nasz szofer, Kevin, przyjeżdżał po mnie do szkoły Sióstr Niepokalanego Serca, jechaliśmy po brata do Świętego Michała i wracaliśmy do domu na obiad. Ale teraz Jaja był na kursie dla wyjątkowo uzdolnionych i miał po lekcjach dodatkowe zajęcia. Tata zmienił mu harmonogram dnia i nie mogłam się już doczekać, kiedy znowu będziemy jadać razem. Zanim wracał do domu, ja byłam po obiedzie i sjeście i odrabiałam już lekcje.

Mimo to wiedział, co jadłam na obiad. Na ścianie w kuchni wisiał jadłospis, który Mama zmieniała dwa razy w miesiącu. Wiedział, ale i tak zawsze mnie pytał. Często tak robiliśmy: zadawaliśmy sobie pytania, na które odpowiedź dobrze znaliśmy. Może po to, żeby nie zadawać takich, na które odpowiedzi nie chcieliśmy znać.

– Mam trzy zadania do zrobienia – mruknął Jaja, odwracając się w stronę drzwi.

– Mama jest w ciąży.

Jaja usiadł na brzegu łóżka.

– Powiedziała ci?

– Tak. Urodzi w październiku.

Jaja zamknął oczy i po chwili je otworzył.

– Zaopiekujemy się nim. Ochronimy go.

Wiedziałam, że chodzi mu o Tatę, ale tego nie skomentowałam.

– Skąd wiesz, że to będzie on?

– Mam takie przeczucie. A ty? Jak myślisz?

– Nie wiem.

Jaja posiedział na łóżku jeszcze trochę, a potem poszedł na obiad; odsunęłam książkę, podniosłam głowę i popatrzyłam na plan dnia na ścianie. Na górze białej kartki wielkimi literami było napisane moje imię: KAMBILI; na kartce w pokoju brata wisiała identyczna kartka z jego imieniem w nagłówku. Zastanawiałam się, kiedy Tata ułoży plan dnia dla dziecka, mojego drugiego brata, czy zrobi to zaraz po narodzinach, czy zaczeka, aż maluch podrośnie. Tata lubił porządek. Widać to było nawet po samych kartkach, po starannie wykreślonych czarnym atramentem liniach znaczących poszczególne dni, po kreskach oddzielających czas nauki od czasu na sjęstę, czas sjęsty od czasu dla rodziny, czas dla rodziny od czasu na jedzenie, czas na jedzenie od czasu na modlitwę, czas modlitwy od czasu na sen. Tata często nasz plan modyfikował. Kiedy chodziliśmy do szkoły, mieliśmy mniej czasu na sjęstę, więcej na naukę, nawet w weekendy. Gdy zaczynały się wakacje, więcej czasu musieliśmy poświęcać rodzinie, na czytanie gazet, grę w szachy czy monopol i na słuchanie radia.

Do zamachu stanu doszło podczas zajęć rodzinnych nazajutrz, w sobotę. Tata dał właśnie mata mojemu bratu, gdy wtem z radia popłynęła muzyka wojskowa, tak poważna i uroczysta, że wszyscy znieruchomieliśmy. Zaraz potem zabrzmiał głos jakiegoś generała, mówiącego z silnym akcentem hausa, który oznajmił, że był przewrót i że mamy nowy rząd. Wkrótce mieli nas zawiadomić, kto jest teraz nową głową państwa.

Tata odsunął szachownicę, przeprosił nas i poszedł do gabinetu zatelefonować. Jaja, Mama i ja czekaliśmy na niego w milczeniu. Wiedzieliśmy, że dzwoni do redaktora naczelnego gazety, Ade'a Cokera, może po to, żeby powiedzieć mu, jak ma opisać i skomentować ten zamach. Gdy wrócił, Sisi podała nam sok mango w wysokich szklankach i Tata zaczął mówić. Był smutny; miał prostokątne usta, które teraz jakby obwisły. Zamach rodzi zamach, powiedział, wspominając krwawe przewroty z lat sześćdziesiątych, które do-

prowadziły do wojny domowej zaraz po tym, jak wyjechał z Nigerii na studia do Anglii. Każdy zamach, mówił, to początek błędnego koła. Wojskowi zawsze będą się wzajemnie wyrzynać, bo po prostu mogą, bo mają siłę i łakną władzy.

Tak, oczywiście, mówił, politycy są skorumpowani i „Standard” zamieścił wiele artykułów o różnych ministrach, którzy wyprowadzali pieniądze z kraju i lokowali je na zagranicznych kontach, pieniądze przeznaczone na pensje dla nauczycieli i na budowę dróg. Tymczasem my, Nigeryjczycy, potrzebowaliśmy nie wojskowych, którzy by nami zarządzili, tylko nowej demokracji. Nowa demokracja. Brzmiało to bardzo poważnie, ale prawie wszystko, co mówił, brzmiało poważnie. Odchyłał się do tyłu i patrzył w górę, jakby szukał czegoś w powietrzu. Skupiałam wtedy wzrok na jego ustach, na ruchu warg, i czasami zapominałam o sobie, czasami chciałam pozostać tak na zawsze, słuchać jego głosu i tych wszystkich ważnych rzeczy, o których rozprawiał. Czułam się tak samo, gdy się uśmiechał, gdy jego twarz pękała w uśmiechu jak kokos z jaskrawobiałym miąższem w środku.

Dzień po zamachu, przed wyjściem na błogosławieństwo do Świętej Agnieszki, siedzieliśmy w salonie i czytaliśmy prasę; na polecenie Taty nasz dostawca codziennie przynosił nam wszystkie najważniejsze gazety w kraju, po cztery sztuki każdej. Zaczęliśmy od „Standardu”. Tylko „Standard” zamieścił krytyczny wstępniak wzywający nowy rząd do szybkiego wcielenia w życie planu powrotu do demokracji. Potem Tata przeczytał nam na głos komentarz z „Nigeria Today”, którego autor twierdził, że nadeszła pora na wojskowego prezydenta, gdyż politycy wyrwali się spod kontroli i nasza gospodarka jest w stanie rozkładu.

– „Standard” nigdy nie zamieściłby takich bzdur – powiedział Tata, odkładając gazetę. – I nie nazwałby go prezydentem.

– Określenie „prezydent” sugeruje, że został wybrany – zauważył Jaja. – Lepsze byłoby „głowa państwa”.

Tata uśmiechnął się i pożałowałałam, że to nie ja to powiedziałam.

– Bardzo dobry wstępniak – dodała Mama.

– Ade jest znakomity – odrzekł z dumą Tata, przeglądając kolejną gazetę.

– *Zmiana warty. Cóż to za nagłówek?* Wszyscy się boją. Piszą o skorumpowanych rządach cywilnych, jakby myśleli, że wojskowi nie dadzą się skorumpować. Ten kraj coraz bardziej się stacza.

– Bóg nas wybawi – powiedziałam, wiedząc, że Tacie się to spodoba.

– Tak. – Kiwnął głową. – Tak. – Potem wziął mnie za rękę i poczułam się tak, jakby w ustach rozpuściła mi się garść cukru.

Z biegiem czasu ton artykułów w gazetach, które czytaliśmy razem w jadalni, uległ zmianie i stał się bardziej przygaszony. Ton tych w „Standardzie” też był inny, bardziej krytyczny i polemiczny niż przedtem. Nawet do szkoły jeździło się inaczej. Tydzień po zamachu Kevin zaczął zrywać z drzew zielone gałązki i zatykać je co rano za tablice rejestracyjne samochodu, żeby demonstranci na placu Rządowym pozwolili nam przejechać. Zielone gałązki oznaczały solidarność. Ale nasze nigdy nie wyglądały tak świeżo jak te demonstrantów i czasem, kiedy koło nich przejeżdżaliśmy, zastanawiałam się, jak by to było, gdybym się do nich przyłączyła, gdybym stanęła na środku jezdni i jak oni zaczęła skandować: „Wolności! Wolności!”

Kilka tygodni później, kiedy Kevin wjechał w Ogui Road, zobaczyliśmy żołnierzy przed blokadą koło rynku. Chodzili tam, pieszcząc swoje długie karabiny, zatrzymując i przeszukując samochody. Raz widziałam mężczyznę, który klęczał z podniesionymi rękami przy swoim peugeocie 504.

Ale w domu, nic się nie zmieniło. Brat i ja wciąż trzymaliśmy się planu zajęć, wciąż zadawaliśmy sobie pytania, na które odpowiedź dobrze znaliśmy. Zmienił się jedynie brzuch Mamy: zaczął puchnąć, lekko i subtelnie. Początkowo wyglądał jak sflaczała piłka, ale już na Zielone Świątki wypychał jej czerwoną, haftowaną złotymi nićmi spódnicę na tyle, że trudno było pomyśleć, iż jest to tylko warstwa dodatkowego ubrania albo węzeł na końcu spódnicy. Ołtarz był ozdobiony czerwienią, takim samym odcieniem jak jej spódnica. Na Zesłanie Ducha Świętego wszystko w kościele było czerwone. Odwiedzający naszą parafię ksiądz odprawiał mszę w czerwonej szacie, trochę na niego za krótkiej. Był młody i gdy czytał Ewangelię, często podnosił wzrok i przeszywał wiernych spojrzeniem brązowych oczu. Skończywszy, powoli całował Biblię.

Gdyby zrobił to ktoś inny, gest wyglądałby dość teatralnie, ale w jego wykonaniu pocałunek był czymś zupełnie naturalnym. Prawdziwym. Powiedział, że niedawno go wyświęcono, że czeka na przydział do parafii. On i ksiądz Benedykt mieli wspólnego bliskiego przyjaciela i bardzo się ucieszył, kiedy ksiądz Benedykt poprosił go o odprawienie mszy. Ale nie pochwalił naszego pięknego ołtarza, którego stopnie błyszcząły jak wypolerowane tafle lodu. Nie powiedział, że to najwspanialszy ołtarz w Enugu, może nawet

w całej Nigerii. I w przeciwieństwie do innych księży, którzy nas odwiedzali, nie dodał, że w Świętej Agnieszce czuć obecność Boga, że świetliste postacie świętych z witraży w wielkich, sięgających sufitu oknach zatrzymują Go w środku. A w połowie kazania zaintonował pieśń w języku igbo: *Bunie ya enu...*

Wierni głośno wciągnęli powietrze, niektórzy westchnęli, usta innych ułożyły się w kształt litery O. Przywykli do oszczędnych kazań księdza Benedykta, do jego wygłaszanych przez nos monotonnych monologów. Ale powoli się do niego przyłączyli. Popatrzyłam na zaciśnięte usta Taty. Zerknął w bok, żeby sprawdzić, czy Jaja i ja też śpiewamy, i z aprobatą kiwnął głową, widząc, że nie.

Po mszy stanęliśmy przed wejściem do kościoła, bo Tata witał tłoczących się wokół niego ludzi.

– Dzień dobry, Bogu niech będzie chwała – mówił, ściskając ręce mężczyznom, obejmując kobiety, poklepując małe dzieci i szczypiąc w policzek niemowlaki. Niektórzy mężczyźni coś do niego szeptali, Tata odszeptywał, a oni dziękowali mu, ściskali dłoń obiema rękami i odchodzili. Gdy wreszcie skończył, wyszliśmy na szeroki kościelny dziedziniec, prawie już pusty, bo większość samochodów, które tłoczyły się tam jak zęby w buzi, zdążyła odjechać.

– Ten młody ksiądz śpiewał podczas kazania jak bezbożny zielonoświątkowiec z jednego z tych kościołów, które wyrastają wszędzie jak grzyby po deszczu. Przez takich jak on Kościół może mieć kłopoty. Musimy się za niego pomodlić. – Tata otworzył drzwiczki mercedesa, położył na siedzeniu mszał i biuletyn i ruszył w stronę plebanii. Po mszy zawsze szliśmy na chwilę do księdza Benedykta.

– Pozwól, że zostanę i zaczekam, *biko* – powiedziała Mama, opierając się o samochód. – Zbiera mi się na wymioty.

Tata odwrócił się i spojrzał na nią. Wstrzymałam oddech. Wydawało się, że patrzy bardzo długo, ale może trwało to tylko kilka sekund.

– Na pewno chcesz zostać? – spytał.

Mama spuściła oczy. Ręce miała na brzuchu; może przytrzymała spódnicę, żeby się nie rozwiązała, a może nie chciała zwymiotować chleba i herbaty, którą wypila na śniadanie.

– Źle się czuję – wymamrotała.

– Pytałem, czy na pewno chcesz zostać.

Mama podniosła głowę.

– Pójdę. Już mi lepiej.

Tata miał twarz jak z kamienia. Zaczekał, aż Mama do niego podejdzie, i ruszył w stronę plebanii. Poszliśmy za nimi. Obserwowałam Mamę. I dopiero wtedy zauważyłam, jak bardzo zmizerniała. Jej skóra, zwykle gładka i brązowa jak pasta orzechowa, wyglądała teraz tak, jakby coś wysssało z niej wszystkie płyny. Miała barwę popiołu, barwę suchej, spękanej od gorących wiatrów ziemi. A jeśli zwymiotuje? – spytał mnie wzrokiem Jaja. Wtedy nadstawię skraj spódnicy, żeby nie nabrudzić u księdza.

Architekt, który zaprojektował plebanię, za późno się zorientował, że ma to być zwykły dom mieszkalny, a nie kościół. Łukowate wejście do jadalni do złudzenia przypominało wejście na ołtarz; nisza z kremowym telefonem wyglądała tak, jakby tylko czekała na Najświętszy Sakrament; małe gabinet za jadalnią mógłby być zakrystią pełną świętych ksiąg, szat liturgicznych i zapasowych kielichów.

– Brat Eugene! – zawołał ksiądz Benedykt. Na widok Taty na jego bladej twarzy zagościł szeroki uśmiech. Właśnie jadł. Na stole leżały plastry gotowanego jamu, jakby jadł obiad, lecz stał tam też talerz jajecznic, jakby jadł śniadanie. Chciał nas poczęstować, ale Tata odmówił w naszym imieniu, po czym podszedł bliżej, żeby z nim cicho porozmawiać.

– Jak się pani miewa, Beatrice? – spytał ksiądz, podnosząc głos, żeby Mama go usłyszała. – Źle pani wygląda.

– Nic mi nie jest, proszę księdza, to tylko alergia. Wszystko przez tę pogodę, przez wiatr i porę deszczową.

– Kambili, Jaja, podobała wam się msza?

– Tak, proszę księdza – odrzekliśmy chórem.

Zaraz potem wyszliśmy, trochę wcześniej niż zwykle.

W samochodzie Tata milczał, poruszając tylko szczękami, jakby cały czas zaciskał zęby. My też milczeliśmy i słuchaliśmy *Ave Maria* z kasety. Gdy przyjechaliśmy do domu, Sisi przyniosła herbatę w porcelanowym dzbanku, tym z małym zdobionym uchem. Tata położył na stole mszał i biuletyn i usiadł. Mama stanęła obok.

– Należę ci – zaproponowała, chociaż nigdy mu nie usługiwała.

Tata zignorował ją, nalał sobie herbaty i kazał nam podejść bliżej. Pierwszy podszedł Jaja. Wypił łyk i postawił filiżankę na spodku. Wtedy Tata podał ją mnie. Ujęłam filiżankę obiema rękami, pociągnęłam mały łyk słodkiego liptona z mlekiem i też postawiłam filiżankę na spodku.

– Dziękuję, Tatusiu – powiedziałam, czując, jak miłość pali mnie w język. Potem poszliśmy się przebrać, Jaja, Mama i ja. Nasze kroki na schodach były równe, starannie odmierzone i ciche jak wszystkie niedziele. Bo w niedzielę w domu panowała cisza. W ciszy czekaliśmy, aż Tata skończy sjęstę, żebyśmy mogli zasiąść do obiadu. W ciszy medytowaliśmy nad fragmentem Pisma Świętego, który przydzielił nam do lektury, albo nad fragmentem jednej z ksiąg spisanych przez ojców Kościoła. W ciszy odmawialiśmy wieczorny różaniec. W ciszy jechaliśmy do kościoła na błogosławieństwo. Nawet czas poświęcony rodzinie spędzaliśmy w ciszy, bez gry w szachy, bez dyskusji na temat przeczytanych w gazecie artykułów, jak przystało na dzień odpoczynku.

– Może Sisi ugotuje dzisiaj obiad sama? – zasugerował Jaja, kiedy doszliśmy do końca schodów. – Powinnaś odpocząć.

Mama chciała coś powiedzieć, ale nagle znieruchomiała, gwałtownym ruchem zasłoniła sobie usta i wbiegła do swego pokoju. Zanim weszłam do swego, usłyszałam jeszcze jej głośny, gardłowy jęk i odgłosy wymiotowania.

Na obiad był ryż z olejem, *ngwo-ngwo* i wielkie jak pięść kawałki *azu*, takiego długo smażonego, z chrupkimi kośćmi. Większość *ngwo-ngwo* zjadł Tata; jego łyżka rozgarniała pikantny rosół w szklanej miseczce, podnosiła się i opadała. Cisza wisiała nad stołem jak niebiesko-czarne chmury w połowie pory deszczowej. Burzył ją tylko świergot ochiri za oknem. Co roku przylatywały wraz z pierwszymi deszczami i wily sobie gniazda na drzewie awokado za oknem pokoju Jaja. Gniazda czasem spadały i znajdowaliśmy je na ziemi: były uplecione z gałązek, źdźbeł suchej trawy i kawałków włóczki, której Mama używała do zaplatania moich włosów, ptaszki wybierały je z kosza na śmieci na podwórzu.

Skończyłam jeść pierwsza.

– Dziękuję, Panie Boże. Dziękuję, Tato. Dziękuję, Mamo. – Złożyłam ręce; czekałam na pozostałych, żeby się pomodlić. Nie patrzyłam na nich. Patrzyłam na zdjęcie dziadka na przeciwległej ścianie.

Kiedy Tata rozpoczął modlitwę, głos drżał mu bardziej niż zwykle. Najpierw podziękował Panu za jedzenie, potem prosił Go o przebaczenie dla tych, którzy sprzeciwiali się Jego woli i przedkładając samolubne pragnienia nad obowiązek, nie chcieli odwiedzać po mszy Jego sługi. Mama powiedziała: „Amen!” i jej głos rozbrzmiał echem po całym pokoju.

Po obiedzie czytałam u siebie piąty rozdział Biblii Króla Jakuba, bo miałam zaraz mówić o biblijnych korzeniach namaszczenia chorych, gdy wtem znowu usłyszałam ten odgłos. Szybkie, ciężkie uderzenia w ręcznie rzeźbione drzwi do sypialni rodziców. Wyobraziłam sobie, że się zacięły, że Tata próbuje je otworzyć, bo kiedy wyteęzałam wyobraźnię, wyobrażenia stawały się rzeczywistością. Usiadłam, zamknęłam oczy i zaczęłam liczyć. Ilekroć liczyłam, trwało to jakby krócej, było trochę łagodniejsze. Czasami kończyło się, zanim doliczyłam do dwudziestu. Tym razem odgłosy ucichły, gdy doszłam do dziewiętnastu. Usłyszałam, jak otwierają się drzwi i na schodach zabrzmiały kroki Taty. Były cięższe niż zwykle, bardziej niezdarne.

Wyrzałam na korytarz i w tej samej chwili ze swego pokoju wyrzał Jaja. Staliśmy tak i patrzyliśmy, jak Tata schodzi na dół. Mama zwisała mu z ramienia jak worek ryżu, który jego pracownicy kupowali hurtem w Seme Border. Otworzył drzwi do jadalni. Potem usłyszeliśmy, jak otwiera drzwi frontowe i mówi coś do Adamu, naszego odźwiernego.

– Na podłodze jest krew – powiedział Jaja. – Przyniosę szczotkę z łazienki.

Zmyliśmy strużkę krwi, która ciągnęła się aż do stóp schodów, jakby ktoś niósł tamtędy przeciekający sój z czerwoną akwarelą. Jaja szorował, ja wycierałam.

Tego wieczoru Mama nie wróciła do domu i zjedliśmy sami, brat i ja. Nie rozmawialiśmy o niej. Rozmawialiśmy o trzech mężczyznach, których publicznie stracono przed dwoma dniami za przemyt narkotyków. Jaja słyszał, jak jego koledzy rozmawiali o tym w szkole. Pokazywali to w telewizji. Mężczyzn przywiązano do słupów, a ich ciała drgały nawet po tym, gdy żołnierze przestali strzelać. Powiedziałam mu to, co powiedziała mi koleżanka z klasy: że jej mama wyłączyła wtedy telewizor i spytała, dlaczego każą nam oglądać śmierć człowieka, co opętało tych wszystkich ludzi, którzy przyszli oglądać egzekucję.

Po obiedzie Jaja odmówił modlitwę dziękczynną i krótką modlitwę za Mamę. Tata wrócił, kiedy byliśmy już u siebie i odrabialiśmy lekcje, zgodnie z planem. Gdy do mnie przyszedł, rysowałam właśnie ciężarne patyczki na skrzydełkach okładki *Wstępu do rolnictwa dla szkół średnich*. Miał czerwone, podpuchnięte oczy i może właśnie dlatego wyglądał młodziej, bardziej

bezbronnienie.

– Mama wróci jutro, po szkole – powiedział. – Nic jej nie będzie.

– Tak, Tato. – Uciekłam wzrokiem w bok i spojrzałam na książkę.

Dotknął moich ramion i zaczął je delikatnie masować okrężnymi ruchami rąk.

– Wstań.

Gdy wstałam, objął mnie i przytulił tak mocno, że poczułam bicie serca w jego miękkiej piersi.

Mama wróciła nazajutrz po południu. Kevin przywiózł ją peugeotem 505 ze znakiem firmowym fabryki na drzwiczkach od strony pasażera, tym samym samochodem, którym odwoził i przywoził nas ze szkoły. Staliśmy przed drzwiami, blisko siebie, dotykając się ramionami, i zanim zdążyła wyjść, otworzyliśmy drzwiczki.

– *Umu m* – szepnęła i objęła nas. – Moje dzieci. – Była w tym samym białym podkoszulku z napisem *BÓG JEST MIŁOŚCIĄ* na piersi. Jej zielona spódnica zwisała niżej niż zwykle i była niestarannie zawiązana. Oczy Mamy były puste, jak oczy szaleńców krążących wokół ulicznych koszów na śmieci z brudnymi, porwanymi płóciennymi torbami, w których przechowywali okruchy swego życia.

– Miałam wypadek – powiedziała. – Dziecka nie będzie.

Odsunęłam się lekko i popatrzyłam na jej brzuch. Wciąż był duży, wciąż łagodnym łukiem wypychał spódnice. Czy aby na pewno Mama poroniła? Gapiłam się na jej brzuch, gdy weszła Sisi. Kości policzkowe miała tak mocno wystające, że na jej twarzy zawsze gościł wyraz groteskowego rozbawienia, jakby wiecznie z kogoś szydziła, jakby się z kogoś naśmiewała, a my nie wiedzieliśmy, ani z kogo, ani dlaczego.

– Dobry wieczór, madame, *nno* – powiedziała. – Będzie pani jadła teraz czy po kąpieli?

– Hę? – Mama wyglądała przez chwilę tak, jakby jej nie zrozumiała. – Nie, nie teraz, Sisi, nie teraz. Przynieś mi trochę wody i ręcznik.

Obejmując się w pół, stała przed etażerką obok szklanego stołu w jadalni, dopóki Sisi nie przyniosła plastikowej miski i kuchennego ręcznika. Etażerka miała trzy półki z delikatnego szkła, a na każdej stały beżowe figurki. Mama zaczęła od najniższej, myjąc i wycierając i półkę, i figurki. Usiadłam na skórzanej sofie jak najbliżej niej, tak blisko, że mogłam wyciągnąć rękę i poprawić jej spódnice.

– *Nne*, masz się teraz uczyć – powiedziała. – Idź na górę.

– Chcę zostać tutaj.

Mama powoli przesunęła ręcznikiem po figuryńce baletnicy z cienką jak zapalka, zadartą do góry nogą.

– *Nne*, idź – powtórzyła.

Wróciłam do siebie, usiadłam na łóżku i wbiłam wzrok w książkę. Czarne litery zaczęły się zamazywać, zlewać ze sobą, a potem zmieniły się w jaskrawoczerwone, jak świeża krew. Krew była wodnista. Ciekła z Mamy, ciekła mi oczu. Potem, już przy obiedzie, Tata powiedział, że musimy odmówić szesnaście nowenn. Żeby Bóg wybaczył Mamie. W niedzielę, zaraz po adwencie, zostaliśmy po mszy. Ksiądz Benedykt pokropił nas święconą wodą. Kilka kropel spadło mi na usta i gdy zaczęliśmy się modlić, poczułam stęchły, słonawy smak. Tata chyba wyczuł, że przy trzynastej recytacji błagania do świętego Judy zaczęliśmy się dekoncentrować, bo zaproponował, żeby zacząć wszystko od początku. Musieliśmy zrobić to jak należy. A ja nie pomyślałam – nie pomyślałam nawet, żeby o tym pomyśleć – za co Bóg miałby Mamie przebaczać.

Słowa w książkach zamieniały się w krew, ilekroć je czytałam. Nawet już przed egzaminami po pierwszym semestrze, nawet kiedy zaczęliśmy powtarzać materiał, wciąż nie mogły nabrać żadnego sensu. Kilka dni przed pierwszym egzaminem uczyłam się w swoim pokoju, próbując skupić się na jednym słowie naraz, gdy zadzwonił dzwonek u drzwi. Przyszła Yewande Coker, żona naczelnego redaktora Taty. Płakała. Słyszałam, bo mój pokój jest dokładnie nad salonem, poza tym nigdy dotąd nikt tak głośno u nas nie płakał.

– Zabrali go! Zabrali! – lamentowała, gardłowo szlochając.

– Yewande, Yewande... – zaczął Tata znacznie ciszej niż ona.

– Co ja teraz zrobię? Mam troje dzieci! Jedno jeszcze przy piersi! Jak je sama wychowam?

Wszystkich słów dokładnie nie słyszałam, słyszałam za to, że mówiąc, aż się dławiła.

– Yewande, niech pani tak nie mówi – uspokajał ją Tata. – Nic mu nie będzie, obiecuję. Nic mu nie będzie.

Jaja wyszedł ze swego pokoju. Wiedziałam, że zejdzie na dół i udając, że chce mu się pić, pójdzie do kuchni, stanie za drzwiami i będzie podsłuchiwał.

Gdy wrócił na górę, powiedział, że żołnierze aresztowali Adea Cokera, gdy wyjechał z redakcji. Jego samochód znaleziono na poboczu drogi z otwartymi drzwiczkami. Wyobraziłam sobie, jak go wyciągają z samochodu, jak wpychają do innego, może do czarnego kombi pełnego żołnierzy z lufami karabinów sterczącymi z okien. Wyobraziłam sobie, jak drżą mu ręce, jak na jego spodniach pojawia się mokra plama.

Wiedziałam, że aresztowano go za długi artykuł w ostatnim numerze naszej gazety, artykuł o nowym szefie państwa i jego żonie, którzy płacili ludziom za szmugłowanie narkotyków za granicę, artykuł, który kwestionował zasadność egzekucji trzech ludzi podejrzanych o przemyt i demaskował prawdziwych baronów narkotykowych.

Jaja powiedział, że kiedy spojrział przez dziurkę od klucza, Tata trzymał Yewande za rękę, modlił się i kazał jej powtarzać: „Ci, co w Niego wierzą, nie zostaną opuszczeni”.

Powtarzałam te słowa podczas egzaminów tydzień później. Powtarzałam je, gdy z cenzurką przyciśniętą do piersi wracałam z Kevinem do domu. Wielbne siostry rozdawały je nam w otwartych kopertach. 2/25 – byłam druga w klasie. Siostra Klara napisała: „Kambili jest inteligentna ponad wiek, spokojna i odpowiedzialna”. Kierowniczka szkoły, matka Lucy, dodała: „To błyskotliwa, posłuszna uczennica, córka, z której można być dumnym”. Ale wiedziałam, że Tata dumny nie będzie. Często powtarzał, że nie po to wydaje majątek na Córki Niepokalanego Serca i na Świętego Mikołaja, żeby inne dzieci nas wyprzedzały. Za niego nie płacił nikt, a już na pewno nie bezbożny ojciec, nasz Papa-Nnukwu, a mimo to zawsze był pierwszy w klasie. Chciałam, żeby był ze mnie dumny, chciałam uczyć się tak dobrze jak on. Pragnęłam, żeby położył rękę na mojej głowie i powiedział, że wypełniam boży zamiar. Żeby mocno mnie objął, przytulił i powiedział, że od tego, kto dużo dostaje, dużo się wymaga. Żeby uśmiechnął się do mnie tym promiennym uśmiechem, który coś mi w środku rozgrzewał. Ale byłam druga. Naznaczyło mnie piętno porażki.

Mama otworzyła drzwi, zanim Kevin zdążył zatrzymać samochód. Ostatniego dnia szkoły zawsze czekała na podjeździe, żeby śpiewać pochwalne pieśni w igbo, żeby nas objąć, czule pogłaskać nasze cenzurki. Tylko wtedy śpiewała na głos w domu.

– *O me mma, Chineke, o me mma...* – zaczęła i urwała, gdy ją powitałam.

– Dzień dobry, Mamo.

– *Nne*, wszystko dobrze? Masz smutną minę. – Odsunęła się na bok, żeby mnie przepuścić.

– Jestem druga.

Mama znieruchomiła.

– Chodź, zjedz coś. Sisi zrobiła ryż z kokosem.

Gdy wrócił Tata, siedziałam u siebie. Wszedł ciężko na górę – każdy jego krok dudnił w mojej głowie jak grzmot – i otworzył drzwi do pokoju Jaja. Brat jak zwykle był pierwszy, więc Tata na pewno pałał dumą, na pewno przytulał go i obejmował. Trochę to trwało, chociaż wiedziałam, że przegląda oceny z każdego przedmiotu, żeby sprawdzić, czy nie spadły od ostatniego semestru. Nagle poczułam, że mam pełny pęcherz, i pobiegłam do ubikacji. Gdy wróciłam, Tata był już w pokoju.

– Dobry wieczór, Tato, *nno*.

– W szkole wszystko dobrze?

Chciałam powiedzieć, że mam drugą lokatę, przyznać się do porażki, żeby od razu się dowiedział, ale zamiast tego odrzekłam:

– Tak.

Podaliśmy mu cenzurkę. Otwierał ją całe wieki, a czytał jeszcze dłużej. Czekając, próbowałam regularnie oddychać, dobrze wiedząc, że mi się nie uda.

– Kto ma pierwszą? – spytał w końcu.

– Chinwe Jideze.

– Jideze? Ta, która w ostatnim semestrze była druga?

– Tak. – Zaburczało mi w brzuchu, głucho i tak głośno, że nie przestało nawet wtedy, gdy go wciągnęłam.

Tata przeglądał cenzurkę jeszcze przez chwilę, a potem powiedział:

– Chodź na obiad.

Schodząc na dół, czułam się tak, jakby moje nogi nie miały stawów, jakby były z drewna. Tata przywiózł nam do spróbowania nowe herbatniki i nim zaczęliśmy jeść, puścił wokół stołu zielone pudełko. Wgryzłam się w herbatnik i powiedziałam:

– Jest bardzo dobry.

– Ma taki świeży smak – dodał Jaja.

– Bardzo smaczny – dokończyła Mama.

– Jeśli Bóg będzie łaskaw, powinny się dobrze sprzedawać – powiedział Tata. – Nasze wafelki są teraz najlepsze na rynku, a te herbatniki powinny im dorównać.

Nie patrzyłam na niego, gdy mówił, nie mogłam. Nie mogłam też przełknąć gotowanego jamu i zielonej papryki, bo przywierała mi do podniebienia tak mocno, jak mocno dzieci przywierają do nóg matek przed wejściem do żłobka. Żeby przełknąć, piłam wodę, szklankę za szklanką, i zanim Tata rozpoczął modlitwę, bulgotało mi w przepełnionym żołądku. Skończywszy, Tata powiedział:

– Chodź na górę, Kambili.

Szłam tuż za nim. Był w czerwonej jedwabnej piżamie i gdy wchodził na schody, pośladki trzęsły mu się jak galareta albo jak *akamu*, jak dobrze ugotowane *akamu*. Kremowy wystrój jego sypialni zmieniał się co roku, ale zawsze na jakiś odcień kremowego beżu. Puszysty dywan, w którym zapadały się stopy, był kremowy. Zasłony ze skromnymi brązowymi zdobieniami na brzegach też. Dwa obite kremową skórą fotele stały tuż obok siebie, jak dwoje ludzi pogrążonych w intymnej rozmowie. Beż zlewał się z kremem i pokój zdawał się szerszy, jakby nie miał końca, jakby nie można było stamtąd uciec, nawet jeśli się chciało, bo nie było dokąd biec. Gdy jako dziecko myślałam o niebie, zawsze wyobrażałam sobie ten pokój, jego miękkość, kremowość, nieskończoność. Gdy na dworze szalała burza, gdy harmattan ciskał w okienną siatkę owocami mango, gdy przewody elektryczne zderzały się ze sobą, buchając jaskrawopomarańczowym płomieniem, wtulałam się w ramiona Taty, a on układał mnie między swymi kolanami i owijał kremowym pledem, który pachniał poczuciem bezpieczeństwa.

Teraz siedziałam na podobnym pledzie, na brzegu łóżka. Zsunęłam kaptcie, zanurzyłam stopy w dywan i postanowiłam, że ich nie podniosę, żeby czuć jego miękkość chociaż pod palcami u nóg. Tym sposobem część mnie będzie bezpieczna.

– Kambili – zaczął Tata, głośno oddychając. – W tym semestrze nie dałaś z siebie wszystkiego. Jesteś druga w klasie, bo tak chciałaś. – Miał smutne oczy. Głębokie i smutne. Pragnęłam dotknąć jego twarzy, przesunąć ręką po jego gumowatych policzkach. Te oczy skrywały tajemnice, których nigdy nie miałam poznać.

Wtedy zadzwonił telefon; odkąd aresztowano Adea Cokera, dzwonił znacznie częściej. Tata podniósł słuchawkę i zaczął z kimś cicho rozmawiać. Siedziałam i czekałam, wreszcie zerknął w bok i odprawił mnie gestem ręki. O cenzurce i karze nie rozmawialiśmy już ani tego dnia, ani nazajutrz. Tata był pewnie za bardzo zajęty sprawą Cokera, ale nie rozmawiał ze mną o tym

nawet tydzień później, gdy wyciągnął go z więzienia. Nawet o tym nie wspomniał, po prostu zobaczyliśmy w gazecie wstępniak, w którym Ade pisał o wartości, jaką jest wolność, o tym, że jego pióro nie przestanie, że nie może przestać pisać prawdy. Ale nie zdradził, gdzie go przetrzymywano, kto go aresztował i co mu zrobili. Pod artykułem był dopisek kursywą, w którym Coker dziękował swojemu wydawcy, „człowiekowi prawemu, najodważniejszemu, jakiego znam”. Siedziałam wtedy na sofie obok Mamy i przeczytałam te słowa chyba z dziesięć razy, a potem zamknęłam oczy i poczułam, że wzbiera we mnie wielka fala, że ogarnia mnie uczucie podobne do tego, jakie nachodziło mnie w kościele, gdy ksiądz Benedykt mówił podczas mszy o Tacie, albo zaraz po tym, jak kichnęłam, takie czyste i mrowiące.

– Dzięki Bogu, że jest już bezpieczny – szepnęła Mama, przesuwając ręką po gazecie.

– Gasili mu papierosy na plecach – powiedział Tata, kręcąc głową. – Zgasili mu na plecach tyle papierosów.

– Dostaną, co im się należy, ale nie na tej ziemi, *mba* – odrzekła Mama.

Chociaż Tata się do niej nie uśmiechnął – był zbyt smutny – żałowałam, że to nie ja to powiedziałam, że jej nie uprzedziłam.

– „Standard” schodzi do podziemia – oznajmił. – Moim ludziom grozi za duże niebezpieczeństwo.

Zejście do podziemia oznaczało, że będą wydawać gazetę w zakonspirowanym lokalu. Wiedziałam o tym, mimo to wyobraziłam sobie, jak Ade Coker i inni redaktorzy siedzą w jakimś ciemnym, wilgotnym lochu i w blasku jarzeniówki, pochyleni nad biurkiem, piszą całą prawdę. Podczas modlitwy tego wieczoru Tata długo prosił Boga o upadek wszystkich bezbożników rządzących naszym krajem i bez końca powtarzał: „O Najświętsza Panienko, o Tarczo Nigeryjskiego Ludu, módl się za nami”.

Przerwa semestralna była krótka, ledwie dwutygodniowa, i w sobotę przed rozpoczęciem zajęć Mama zabrała brata i mnie na rynek po nowe sandały i torby. Wcale ich nie potrzebowaliśmy, bo nasze torby i brązowe skórzane sandały były całkiem nowe; kupiliśmy je na początku semestru. Ale był to nasz jedyny wspólny zwyczaj, wspólny rytuał przed rozpoczęciem kolejnego semestru nauki, taki tylko nasz: nie pytając o nic Taty, wsiadaliśmy do samochodu z Kevinem za kierownicą, opuszczaliśmy szyby i jechaliśmy na rynek. Na skraju targowiska oglądaliśmy półnagich szaleńców grzebiących w koszach na odpadki, patrzyliśmy na mężczyzn, którzy przystawali

w jakimś zakamarku, rozpinali spodnie i oddawali mocz, na kobiety, które zdawały się targować ze stosami zieleniny, dopóki nie wychynęła zza nich głowa kupującego.

Potem, już na samym rynku, wyszarpywaliśmy się handlarzom, którzy próbowali wciągnąć nas w ciemne przejścia między straganami, zapewniając: „Mam to, czego szukacie” albo: „Chodźcie ze mną, to tutaj”, chociaż nie mieli pojęcia, po co przyjechaliśmy. Krzywiliśmy nos, czując zapach ociekającego krwią mięsa i odór suszonych, nadpsutych już ryb. Kuliliśmy się na widok roju pszczół brzęczących nad budami sprzedawców miodu.

Wracając do samochodu z sandałami i kupionym przez mamę materiałem, zobaczyliśmy tłumek ludzi przed warzywniakami, które mijaliśmy, idąc w tamtą stronę, tymi wzdłuż ulicy. Tłumek ludzi i żołnierzy. Handlarki głośno krzyczały, wiele z nich trzymało ręce na głowie, jak ktoś zrozpaczony albo do głębi wstrząśnięty. Na ziemi leżała zawodząca kobieta, rwąc sobie krótkie włosy z głowy. Rozwiązała się jej spódnica i widać było białą bieliznę.

– Szybciej – rzuciła Mama. Podeszła bliżej nas, jakby nie chciała, żebyśmy zobaczyli żołnierzy i tę kobietę. Przyspieszyliśmy kroku i wtedy zobaczyłam, jak jeden z żołnierzy bierze zamach pejczem. Pejcz był długi. Zwinął się w powietrzu i wylądował na plecach kobiety. Inny żołnierz zaczął kopać sterty owoców, rozgniatał butami papaje i się śmiał. Gdy wsiedliśmy do samochodu, Kevin powiedział Mamie, że żołnierze dostali rozkaz zburzenia straganów, bo postawiono je nielegalnie. Mama nie odpowiedziała; wyglądała przez okno, jakby chciała zobaczyć te kobiety po raz ostatni.

W drodze do domu myślałam o leżącej na ziemi handlarce. Nie widziałam jej twarzy, ale czułam, że ją znam, że znałam ją od zawsze. Żałowałam, że nie podeszłam i nie pomogłam jej wstać, że nie oczyściłam jej spódnicy z czerwonego błota.

Myślałam o niej i w poniedziałek, gdy Tata wiózł mnie do szkoły. Na Ogui Road zwolnił, żeby dać kilka banknotów żebrakowi leżącemu na poboczu obok grupki dzieci sprzedających obrane pomarańcze. Żebrak popatrzył na szeleszczące nairy, wstał i zaczął do nas machać, klaszcząc i podskakując. Myślałam, że jest kulawy. Obserwowałam go w lusterku. Nie odrywałam od niego wzroku, dopóki nie zniknął nam z oczu. Przypominał mi tę leżącą na ziemi handlarkę. W jego radości była bezradność, taka sama, jaką dostrzegłam w rozpaczach handlarki.

Mury otaczające szkołę były bardzo wysokie, podobne do tych wokół naszego podwórza, z tym że zamiast zwojami drutu pod napięciem, ich szczyt zabezpieczono ostrymi kawałkami zielonego szkła. Tata powiedział, że zrobiono to na jego wniosek, gdy skończyłam podstawówkę. Ważna jest dyscyplina, tak mówił. Nastolatki nie mogą przełazić przez mur, uciekać do miasta i szaleć jak studenci federalnych college'ów.

– Ci ludzie nie umieją prowadzić – mruknął, gdy dojechaliśmy do bramy, przed którą zderzak w zderzak stała kolejka trąbiących klaksonami samochodów. – Za to, że ktoś wjedzie tam jako pierwszy, nie ma żadnej nagrody.

Ignorując odźwiernego i zachęcając do kupna obranych pomarańczy, bananów i fistaszków, coraz bliżej i bliżej do samochodów podchodziły handlarki w zjedzonych przez mole bluzkach, które zsuwały im się z ramion, dziewczęta dużo młodsze ode mnie. Tata wjechał w końcu na teren szkoły i zaparkował koło boiska do siatkówki, na skraju starannie wypielęgowanego trawnika.

– Gdzie jest twoja klasa? – spytał.

Wskazałam budynek za kępą mangowców. Tata wysiadł razem ze mną i pomyślałam: Co on robi? Dlaczego odwiózł mnie do szkoły, kazać Kevinowi odwiedzić brata?

Gdy szliśmy, dostrzegła go siostra Małgorzata stojąca w grupce uczennic z rodzicami. Pomachała nam wesoło i kołysząc się jak kaczka, szybko ruszyła w naszą stronę. Słowa popłynęły jej z ust jak wezbrany potok: jak się Tata miewa, czy jest zadowolony z moich postępów, czy będzie na przyjęciu u biskupa w przyszłym tygodniu?

Tata od razu zmienił akcent i mówił teraz z brytyjskim, tak jak podczas rozmowy z księdzem Benedyktem. I był bardzo uprzejmy, uprzejmy i przyjazny jak wtedy, gdy miał do czynienia z osobami związanymi z kościołem, zwłaszcza białymi. Albo jak wtedy, gdy wręczał kierownicze czek na remont szkolnej biblioteki. Powiedział, że przyjechał zobaczyć moją klasę, a siostra Małgorzata zapewniła go, że jeśli tylko będzie czegoś potrzebował, wystarczy ją zawiadomić.

– Chinwe Jideze, która to? – spytał, gdy doszliśmy na miejsce. Przed drzwiami stała grupka pochłoniętych rozmową dziewcząt. Rozejrzałam się, czując ucisk w skroniach. Co on teraz robi? Jasnobrązową twarz Chinwe dostrzegłam jak zwykle w środku grupy.

– To ta w środku – odparłam. Czyżby Tata zamierzał z nią porozmawiać?

Wytargać ją za uszy za to, że mnie wyprzedziła? Zapragnęłam, żeby rozstąpiła się ziemia, żeby się rozstąpiła i pochłonęła całą szkołę.

– Spójrz na nią – powiedział. – Ile ma głów?

– Jedną. – Wiedziałam i bez patrzenia, że jedną, mimo to spojrzałam.

Tata wyjął z kieszeni lusterko wielkości takiego z puderniczki.

– Teraz spójrz tutaj.

Popatrzyłam na niego.

– Do lusterka.

Spojrzałam w lusterko.

– Ile masz głów, *gbo*? – spytał, przechodząc nagle na igbo.

– Jedną.

– Ona też ma jedną, nie ma dwóch. Więc dlaczego dałaś się wyprzedzić?

– To się już nie powtórzy. – Powiał lekki *Ikuku* i na ziemi zatańczyły brązowe wiry, jak rozwijające się sprężyny od zegarka. Na wargach poczułam smak piasku.

– Jak myślisz, dlaczego tak ciężko pracuję, żeby dać wam wszystko co najlepsze? Macie dużo przywilejów i musicie się za to odwdzięczyć. Ponieważ Bóg dał wam dużo, dużo od was oczekuje. Oczekuje doskonałości. Ja nie miałem ojca, który wysyłałby mnie do najlepszych szkół. Mój ojciec marnował czas, czcząc drewniane i kamienne bożki. Gdyby nie księża i siostry zakonne, byłbym dzisiaj nikim. Przez dwa lata harowałem jako posługacz na plebanii. Tak, jako zwykły posługacz. Nikt nie podwoził mnie do szkoły. Do końca podstawówki codziennie chodziłem do Nimo piechotą, a to prawie trzysta kilometrów. Gdy zdałem do Świętego Grzegorza, pracowałem jako ogrodnik u księdza.

Słyszałam to już wiele razy, jak ciężko musiał pracować, jak uczyły go misjonarki i księża, jak niczego nie nauczył go ojciec, nasz Papa-Nnukwu. Mimo to kiwałam głową i udawałam, że pilnie słucham. Miałam tylko nadzieję, że koleżanki nie zastanawiają się teraz, dlaczego przyjechaliśmy do szkoły, żeby odbyć długą rozmowę przed drzwiami do mojej klasy. W końcu Tata przestał mówić i schował lusterko.

– Kevin cię odbierze.

– Dobrze, Tato.

– Do widzenia. Ucz się dobrze. – Objął mnie, tak krótko, z boku.

– Do widzenia, Tatusiu.

Gdy odchodził wysadzaną zielonymi, bezkwietnymi krzewami ścieżką, za-

dzwonił dzwonek na apel.

Było bardzo głośno i matka Lucy musiała kilka razy powtórzyć: „Dość, wystarczy, proszę o ciszę!” Jak zwykle stałam w pierwszym rzędzie, bo w tych z tyłu stały dziewczęta z różnych obozów, te, które ciągle szeptały i chichotały, kryjąc się za plecami koleżanek. Nauczycielki stały na podium, wysokie jak posągi w biało-niebieskich habitach. Najpierw zaśpiewaliśmy powitalną pieśń ze zbioru katolickich hymnów, potem matka Lucy przeczytała jedenaście wersetów z piątego rozdziału świętego Mateusza, a jeszcze potem odśpiewaliśmy hymn państwowy. Śpiewanie hymnu było w naszej szkole czymś względnie nowym. Robiliśmy to dopiero od roku, ponieważ niektórych rodziców zaniepokoiło to, że ich dzieci nie znają ani hymnu, ani przysięgi. Obserwowałam siostry. Śpiewały tylko Nigeryjki i w ustach, na tle ciemnej twarzy, błyskały im zęby. Białe siostry stały z założonymi rękami albo muskały palcami szklane paciorki różańca u pasa, uważnie sprawdzając, czy wszystkie uczennice śpiewają. Potem matka Lucy zmrużyła przesłonięte grubymi okularami oczy i powiodła po nas wzrokiem. Zawsze wybierała uczennicę, która miała rozpocząć przysięgę.

– Kambili Achike, do przysięgi proszę.

Nigdy mnie dotąd nie wybierała. Otworzyłam usta, ale słowa utknęły mi w gardle.

– Kambili Achike? – Patrzyła na mnie, ona i cała szkoła. Odchrząknęłam, wyteżyłam całą wolę. Znałam te słowa, widziałam je w myśli. Ale za nic nie chciały wyjść mi z ust. Pod pachami poczułam mokry, ciepły pot.

– Kambili?

Wreszcie zacinając się, wykrztusiłam:

– Przysięgam Nigerii, mojej ojczyźnie, być wierną, lojalną i uczciwą...

Dołączyły do mnie inne uczennice i poruszając ustami, spróbowałam zapanować nad oddechem. Po apelu rozeszliśmy się do klas. W klasie, jak to w klasie, długo się sadowiliśmy, szurałyśmy krzesłami, odkurzałyśmy ławki i przepisywałyśmy nowy plan lekcji z tablicy.

Ezinne nachyliła się ku mnie i spytała:

– Jak minęła przerwa?

– Dobrze.

– Byłaś gdzieś za granicą?

– Nie – odrzekłam. Nic więcej nie przychodziło mi do głowy, ale chciałam, żeby wiedziała, jak bardzo doceniam to, że jest dla mnie miła, chociaż

byłam wiecznie skrępowana i małomówna. Chciałam też podziękować jej, że nie nazywa mnie ogródkową snobką, tak jak inne dziewczęta, ale zamiast tego spytałam:

– Ty gdzieś wyjeżdżałaś?

Ezinne parsknęła śmiechem.

– Ja? *O di egwu*. Za granicę jeżdżą tylko takie jak ty, Gabriella i Chinwe, bo mają bogatych rodziców. Ja byłam na wsi, u dziadków.

– Aha.

– Po co przyszedł twój ojciec?

– Bo... bo... bo... – Musiałam wziąć głęboki oddech, inaczej jąkałabym się jeszcze bardziej. – Chciał zobaczyć naszą klasę.

– Jesteś do niego bardzo podobna. To znaczy, nie taka gruba, ale kolor skóry i rysy twarzy macie takie same.

– Tak.

– Słyszałam, że Chinwe odebrała ci pierwszą lokatę. *Abi*?

– Tak.

– Twoi rodzice na pewno nie mieli nic przeciwko temu. Zawsze byłaś pierwsza, od początku szkoły. Chinwe powiedziała, że ojciec zabrał ją do Londynu.

– Aha.

– Ja jestem piąta, ale to postęp, bo w poprzednim semestrze byłam ósma. Wiesz, w naszej klasie jest duża rywalizacja. W podstawówce zawsze byłam pierwsza.

Wtedy do jej ławki podeszła Chinwe. Miała wysoki, piskliwy głos.

– Motylku – powiedziała. – W tym semestrze chcę być gospodynią klasy, więc głosuj na mnie. – Była w opiętej w talii spódniczce, która dzieliła jej ciało na dwie zaokrąglone połowy, i wyglądała jak ósemka.

– Jasne – odparła Ezinne.

Nie zdziwiłam się, gdy Chinwe minęła moją ławkę i przystanąła przy sąsiedniej, żeby powtórzyć te same słowa, tyle że z innym przezwiskiem. Nigdy do mnie nie zagadywała, ignorowała mnie nawet wtedy, gdy trafiłyśmy do tej samej grupy na zajęciach z rolnictwa i razem zbierałyśmy chwasty do albumu. Podczas krótkich przerw dziewczęta tłoczyły się wokół jej ławki, głośno się śmiejąc. I zawsze czesały się dokładnie tak jak ona: jeśli Chinwe nosiła *isi owu*, układały włosy w owinięte włóczką dredy, a jeśli nosiła *shuku*, na ich głowach pojawiały się zaplecione tuż przy skórze warkoczyki. Chinwe

chodziła tak, jakby stąpała po rozżarzonych węglach, podnosząc nogę niemal w tej samej chwili, gdy dotykała ziemi drugą. Podczas długiej przerwy, podskakując na czele grupy dziewcząt, szła do sklepiku szkolnego po herbatniki i colę; Ezinne mówiła, że wszystkim stawia coś do picia. Ja spędzałam długą przerwę w bibliotece.

– Chinwe chce, żebyś do niej zagadała – szepnęła Ezinne. – Wiesz, zaczęła przezywać cię snobką, bo z nikim nie rozmawiasz. Powiedziała, że to, że twój tata ma gazetę, te wszystkie fabryki i że jest taki bogaty, wcale nie znaczy, że możesz zadzierać nosa.

– Ale ja nie zadzierałam...

– Nawet dzisiaj, na apel, powiedziała, że zadzierasza, bo jak matka Lucy kazała ci składać przysięgę, to na początku nie chciałaś.

– Bo nie słyszałam, jak mnie wywołała.

– Ja nie mówię, że zadzierasza, mówię tylko, że ona tak uważa, ona i większość dziewczyn. Może spróbuj z nią pogadać? A po szkole nie biegnij od razu do bramy, tylko zwyczajnie idź, razem z nami. Dlaczego ty zawsze tak pędzisz?

– Lubię biegać. – Ciekawe, pomyślałam, czy liczy się to jako kłamstwo i czy w niedzielę będę musiała się z tego wypowiadać. No i z tego, że skłamałam, mówiąc, że nie słyszałam, jak matka Lucy wywołała mnie do przysięgi. Gdy dzwonił dzwonek na koniec lekcji, przed bramą czekał już na mnie Kevin w peugeocie. Miał dużo zajęć i nie wolno mi było zwlekać ani sekundy, dlatego zawsze wypadałam z klasy i biegłam, pędziłam jak podczas szkolnego wyścigu na dwieście metrów. Raz Kevin powiedział Tacie, że się kilka minut spóźniłam, i Tata uderzył mnie w oba policzki naraz. Jego wielkie dłonie zostawiły na skórze równoległe ślady i przez wiele dni dzwoniło mi w uszach.

– Ale dlaczego? – spytała Ezinne. – Jak zostaniesz i pogadasz z dziewczynami, zobaczą, że wcale nie jesteś snobką.

– Po prostu lubię biegać – powtórzyłam.

Większość koleżanek z klasy uważała mnie za ogródkową snobkę aż do końca semestru. Ale nie przejmowałam się tym za bardzo, bo musiałam dźwigać znacznie większy ciężar: martwiłam się, że i w drugim semestrze nie zdobędę pierwszej lokaty. Codziennie czułam się w szkole tak, jakbym miała na głowie worek z piaskiem i jakby nie wolno mi było przytrzymać go rękami.

mi. Litery w podręcznikach wciąż się ze sobą zlewały i miały kolor krwi, wciąż widziałam duszyczkę mojego nienarodzonego brata związaną cienkimi, krwawymi sznurami. Próbowałam zapamiętać, co nauczycielki mówiły na lekcjach, bo wiedziałam, że z książek niczego się nie nauczę. Po każdej klasówce wyrastała mi w gardle wielka gęła, jak kawałek źle ugotowanego *fufu*, i tkwiła tam, dopóki nie oddano nam poprawionych zeszytów.

Na początku grudnia mieliśmy przerwę świąteczną i po ostatniej lekcji, kiedy Kevin wiózł mnie do domu, zajrzałam do cenzurki. 1/25. Jedyńka była tak mocno pochylona, że musiałam dobrze wyteńczyć wzrok, zanim zobaczyłam, że to jednak nie siódemka. Tej nocy zasnęłam, tuląc do siebie obraz uśmiechniętej twarzy Taty i wspomnienie jego głosu. Mówił, że jest ze mnie dumny i że wypełniłam boży zamysł.

W grudniu nadciągnęły piaskowe harmattany. Niosąc ze sobą zapach Sahary i Bożego Narodzenia, zrywały z uroczynów jajowate liście i strącały szpilkowate liście z gwizdzących sosen, pokrywając wszystko warstewką brązowego pyłu. Każde Boże Narodzenie spędzaliśmy w naszym rodzinnym domu na wsi. Siostra Weronika nazywała to doroczną wędrówką ludu Igbo. Tym swoim irlandzkim akcentem mówiła, że nie rozumie, dlaczego tylu z nas buduje wielkie domy w rodzinnych wioskach tylko po to, żeby spędzić tam ledwie parę tygodni, po czym wrócić do miasta i przez resztę roku gnieździć się w ciasnocie. Często zastanawiałam się, co tu jest do rozumienia. Tak się po prostu robiło, i już.

Rankiem w dniu wyjazdu wiał ostry wiatr, który targał sosnami tak mocno, że wyginały się i pochylały, jakby oddawały cześć piaskowemu bożkowi, a w ich liściach i gałęziach gwizdało jak gwizdek sędziego na meczu piłkarskim. Samochody stały na podjeździe z otwartymi drzwiczkami i bagażnikami, czekając na bagaż. Jaja, Mama i ja mieliśmy jechać mercedesem razem z Tatą, Kevin i Sisi samochodem z fabryki, a Sunday, fabryczny szofer Taty, który woził nas, kiedy Kevin szedł na coroczny tygodniowy urlop, miał usiąść za kierownicą volva.

Tata stał przy hibiskusach, jedną rękę trzymał w kieszeni białej tuniki, drugą wskazywał, co gdzie załadować.

– Te walizki daj do mercedesa, warzywa też. Jam, remy martin i sok do peugeot. I zobacz, czy zmieści się tam *okporoko*. Ryż, *garri*, fasola i banany pojedą volvem.

Mieliśmy dużo do pakowania, więc przyszedł nam pomóc Adamu, nasz odźwierny. Same tylko bulwy jamu, wielkie jak młode psiaki, zajęły prawie cały bagażnik peugeota, a na przednim siedzeniu volva, niczym śpiący pasażer, leżały worki fasoli. Kevin i Sunday odjechali pierwsi, a my za nimi, więc gdyby zatrzymali ich żołnierze na blokadzie, zobaczylibyśmy to i stanęli.

Gdy minęliśmy bramę, Tata zaczął odmawiać różaniec. On odmówił pierwszą dziesiątkę, Mama drugą, Jaja trzecią, a ja czwartą. Tata się nie spieszył, jechał powoli. Szosa była jednopasmowa, więc gdy utknął za jakąś ciężarówką, zwalniał jeszcze bardziej i mamrotał, że drogi są niebezpieczne, że ci z Abuja rozkradli pieniądze na drugi pas jezdnii. Trąbiąc klaksonami, wyprzedzało nas wiele samochodów, a niektóre były tak wyładowane świątecznym jamem, workami ryżu i kartonami napojów, że szorowały bagażnikami o ziemię.

Na Dziewiątej Mili Tata zatrzymał się, żeby kupić chleb i *okpa*. Do samochodu od razu rzucili się handlarze, wciskając do wszystkich okien gotowane jaja, prażone orzeszki, butelkowaną wodę, chleb, *okpa* i *agidi*. „Niech pan kupi ode mnie, tanio sprzedam!” – namawiali. „Niech pan na mnie spojrzy, to mnie pan szuka!”

Chociaż Tata kupił tylko chleb i zawiniętą w gorące bananowe liście *okpa*, każdemu z handlarzy dał dwadzieścia naira i gdy ruszaliśmy, a nawet później, gdy dojeżdżaliśmy już do Abba, w uszach pobrzmiwało mi ich wołanie: „Dziękuję panu, niech Bóg pana błogosławi”.

Stojąca na poboczu tablica z napisem WITAJCIE W ABBA była tak mała, że łatwo ją było przeoczyć. Tata skręcił i, zgrzyt-zgrzyt, mercedes zazgrzytał brzuchem na wyboistej, spieczonej słońcem polnej drodze. Gdy jechaliśmy, ludzie machali do nas i krzyczeli: „*Omelora!*” – tak nazywali Tatę, taki miał tytuł. Kryte słomą gliniane chaty sąsiadowały z dwupiętrowymi rezydencjami za bogato zdobionymi metalowymi bramami. Nagie i półnagie dzieci kopały sflaczałą piłkę. Pod drzewami siedzieli mężczyźni, pijąc palmowe wino z krowich rogów i brudnych szklanych kubków. Zanim dojechaliśmy do szerokiej czarnej bramy, cały samochód był już pokryty brązowym pyłem. Spod samotnego drzewa ukwa przy garażu pomachało nam trzech starszych mężczyzn.

– *Nno nu! Nno nu!* – zawołali. – Wróciłeś? Zaraz przyjdziemy się przywitać!

Odźwierny otworzył bramę.

– Dzięki Ci, Panie, za bezpieczną podróż. – Tata przeżegnał się, wjeżdżając na podwórze.

– Amen – odpowiedzieliśmy chórem.

Widok naszego domu wciąż zapierał mi dech w piersi, jego majestatyczność, tryskająca wodą fontanna od frontu, palmy kokosowe z boku, drzewa pomarańczowe na skraju dziedzińca. Dopędziło nas trzech małych chłopców; biegli aż od drogi.

– *Omelora!* – krzyknęli. – Dzień dobry panu! – Byli tylko w szortach, a każdy miał pępek wielkości małego balonu.

– *Kedu nu?* – Tata wyjął z torby zwitek banknotów i dał im po dziesięć naira. – Pozdrówcie rodziców. I pokażcie im pieniądze!

– Tak, proszę pana! Dziękujemy, proszę pana! – Wybiegli za bramę, głośno się śmiejąc.

Kevin i Sunday wypakowali jedzenie, a ja z bratem walizki z mercedesa. Mama poszła z Sisi za dom, po żelazne trójnogi. Gotowaliśmy w kuchni, na gazie, ale na trójnogach stawialiśmy wielkie kotły na ryż, gulasz i zupę dla gości. Niektóre były tak wielkie, że mieściła się w nich cała koza. Mama i Sisi prawie nie gotowały; kręciły się tylko po podwórzu, donosząc sól, maggi i naczynia, bo samym gotowaniem zajmowały się żony członków naszej *umunna*. Mówiły, że Mama musi odpocząć po stresach życia w mieście. I co roku zabierały do domu resztki, tłuste kawałki mięsa, ryż i fasolę, butelki z napojami orzeźwiającymi, podpiwką i piwem. Na Boże Narodzenie zawsze byliśmy przygotowani na to, że będziemy musieli nakarmić całą wieś, tak żeby ani jeden gość nie wyszedł od nas, nie napiwszy się i nie najadłszy do poziomu względnej sytości, jak mawiał Tata. Ostatecznie nadano mu tytuł *Omelora*, Tego, Który Dbą o Społeczność. Ale nie tylko on miał gości; wieśniacy odwiedzali każdy duży dom z dużą bramą i czasami zabierali ze sobą plastikowe miski ze szczelnymi pokrywkami. Były święta.

Rozpakowywaliśmy się z bratem na górze, gdy nagle weszła Mama.

– Ade Coker przyszedł z rodziną, żeby złożyć nam życzenia – powiedziała. – Jadą do Lagos. Zejdźcie się przywitać.

Ade był niski, okrągły, wesoły. Ilekroć go widziałam, zawsze wyobrażałam sobie, jak pisze te wszystkie wstępniaki do gazety; próbowałam też sobie wyobrazić, jak stawia opór żołnierzom. I nie mogłam. Przypominał wypchaną gałgankami lalkę, a ponieważ zawsze się uśmiechał, głębokie dołki w jego pulchnych policzkach wyglądały jak zrobione zapałką dziurki. Nawet okulary

miał jak lalka: szkła były grubsze niż żaluzje w oknach, dziwnie niebieskawe i oprowadzone w biały plastik. Gdy zesliśmy, właśnie podrzucał do góry swoje dziecko, wierną kopię samego siebie. Jego córeczka stała przy nim i prosiła, żeby ją też podrzucił.

– Jaja, Kambili, jak się macie? – spytał i zanim zdążyliśmy odpowiedzieć, roześmiał się dźwięcznie, wskazał na niemowlaka i dodał: – Podobno im wyżej je podrzucać, gdy są małe, tym szybciej nauczą się fruwać! – Niemowlę zagulgotało, pokazując różowe dziąsła i wyciągnęło rączkę do okularów ojca. Ade odchylił do tyłu głowę i podrzucił je jeszcze raz.

Jego żona, Yewande, objęła nas, spytała, jak się mamy, potem żartobliwie klepnęła męża w ramię i zabrała mu dziecko. Popatrzyłam na nią i przypomniało mi się, jak rozmawiając z Tata, dławiała się od płaczu.

– Lubicie przyjeżdżać na wieś? – spytał nas Ade.

Popatrzyliśmy na Tatę jednocześnie, brat i ja; siedział na sofie i z uśmiechem na ustach czytał kartkę świąteczną.

– Tak – odrzekliśmy chórem.

– Naprawdę? Lubicie siedzieć w tym buszu? – Ade teatralnie wytrzeszczył oczy. – Macie tu przyjaciół?

– Nie – odparliśmy.

– W takim razie co robicie w tej dziczce? – droczył się z nami.

Uśmiechnęliśmy się bez słowa.

– Zawsze są tacy spokojni – powiedział, patrząc na Tatę. – Tacy cisi.

– W przeciwieństwie do tych rozwydrzonych dzieci, których teraz tak dużo, które nie wiedzą, co znaczy dyscyplina, i nie znają strachu przed Bogiem – odrzekł Tata z dumnym uśmiechem na ustach i z rozświetlonymi dumą oczami. – Wyobrażacie sobie, jaka byłaby nasza gazeta, gdybyśmy wszyscy się tak zachowywali?

To był taki żart. Ade wybuchnął śmiechem, Yewanda też. Ale Tata się nie roześmiał. Odwróciliśmy się i po cichu wróciliśmy na górę.

Obudził mnie szelest liści palmy kokosowej. Usłyszałam, jak za naszą wysoką bramą beczą kozy i pieją koguty, jak pozdrawiają nas wieśniacy.

– Dzień dobry! – krzyczeli zza glinianego muru. – Wstaliście już? Jak się spało?

– Dzień dobry! Czy mieszkańcom tego domostwa dobrze się wstawało?

Rozsunęłam okno, żeby lepiej słyszeć i wpuścić do środka powietrze pach-

nące kozimi odchodami i dojrzewającymi pomarańczami. Do drzwi zapukał Jaja. Spał tuż za ścianą; w Enugu nasze pokoje dzielił korytarz.

– Wstałaś? – spytał. – Chodźmy na modlitwę, zanim Tata nas zawoła.

Byłam w koszuli nocnej, więc owinełam się spódnicą, która w ciepłe noce służyła mi jako lekkie przykrycie, zawiązałam ją z boku i zeszliśmy na dół.

Szerokie korytarze sprawiały, że czułam się w naszym domu jak w hotelu, a wrażenie to potęgował bezosobowy zapach zamkniętych przez większą część roku drzwi, nieużywanych łazienek, kuchni, toalet i niezamieszkaných pokoiów. Wykorzystywaliśmy tylko parter i pierwsze piętro; pozostałych pięter używaliśmy ostatnio przed wielu laty, kiedy Tata przyjmował tytuł *Omelora*. Członkowie naszej *umunna* namawiali go do tego od bardzo dawna, jeszcze wtedy, gdy był kierownikiem u Leventisa i zanim kupił swoją pierwszą fabrykę. Mówili, że jest dość bogaty, poza tym nikt z naszej *umunna* nie został jak dotąd *Omelora*. Tak więc gdy Tata się wreszcie zdecydował, po długich rozmowach z prałatem, podczas których usilnie nalegał, żeby z ceremonii usunięto wszystkie pogańskie podteksty, zrobiło się u nas jak podczas Świąta Jamu. Na każdym skrawku przebiegającej przez Abba drogi stały samochody. Na drugim i trzecim piętrze domu roiło się od ludzi. A teraz chodziłam tam tylko wtedy, gdy chciałam popatrzeć w dal, za ogrodzenie.

– Tata prowadzi dzisiaj radę kościelną – powiedział Jaja. – Słyszałem, jak mówił Mamie.

– O której?

– Przed południem. – I oczami dodał: Będziemy mieli więcej czasu dla siebie.

W Abba nie obowiązywał nas plan zajęć. Więcej rozmawialiśmy i mniej siedzieliśmy w pokoju, bo Tata musiał przyjmować niekończący się strumień gości, chodzić na zebrania rady kościelnej o piątej rano i na zebrania rady miejskiej, które trwały aż do północy. A może plan nie obowiązywał nas dlatego, że w Abba było po prostu inaczej, że ludzie przychodzili do nas i wychodzili, kiedy tylko chcieli, że samo powietrze, którym oddychaliśmy, poruszało się tu wolniej niż w mieście.

Tata i Mama siedzieli w jednym z saloników odchodzących od głównego salonu na dole.

– Dzień dobry, Tato – powiedzieliśmy. – Dzień dobry, mamó.

– Jak się macie? – spytał Tata.

– Dobrze.

Tata miał jasne, rześkie oczy; pewnie był na nogach już od wielu godzin. Przeglądał Biblię, katolicką wersję z księgami deuterokanonicznymi, oprawioną w lśniącą czarną skórę. Mama była chyba śpiąca. Przetarła zmęczone oczy i spytała, czy dobrze spaliśmy. Z głównego salonu dobiegały czyjeś głosy. Goście przychodzili często już o świcie. Gdy się przeżegnaliśmy i uklękliśmy wokół stołu, rozległo się pukanie do drzwi i zajrzał do nas mężczyzna w przetartym podkoszulku.

– *Omelora!* – zaczął donośnym głosem, jakiego ludzie używają, gdy kogoś tytułują. – Już wychodzę. Chciałbym kupić prezenty dla dzieci na Oye Abagana. – Mówił po angielsku z tak silnym akcentem igbo, że nawet najkrótsze słowa ozdabiał dodatkowymi sylabami. Tata lubił, kiedy wieśniacy próbowali mówić przy nim po angielsku. Uważał, że to dowód zdrowego rozsądku.

– *Ogbunambala!* – odrzekł. – Zaczekaj, modłę się z rodziną. Chcę dać ci coś dla dzieci. I podzielić się z tobą chlebem i herbatą.

– *Omelora!* Dziękuję! W tym roku nie piłem jeszcze mleka. – Mężczyzna zwlekał, wciąż stał przy drzwiach. Może myślał, że jeśli odejdzie, Tata zmieni zdanie i nie poczęstuje go herbatą z mlekiem?

– *Ogbunambala!* Wyjdź, usiądź i zaczekaj – rzucił Tata.

Mężczyzna zniknął za drzwiami. Tata przeczytał fragment psalmu, potem zmówiliśmy Ojcie Nasz, Zdrowaś Mario, Chwałę Trójcy i Wierzę w Boga. Chociaż Tata zaczynał, a my do niego dołączaliśmy, otaczała nas zewnętrzna cisza, otulała nas jak całun. Ale kiedy powiedział: „A teraz pomódlmy się do ducha własnymi słowami, a duch wstawi się za nami wedle Jego woli”, cisza nagle pękła. Modliliśmy się głośno, każdy o co innego. Mama o pokój i za rządzących naszym krajem. Jaja za księży i wiernych. Ja za papieża. Potem Tata modlił się przez dwadzieścia minut za obronę przed bezbożnikami i bezbożnymi siłami, za Nigerię i za bezbożników, którzy nią rządzą, i za nawrócenie naszego Papa-Nnukwu, żeby nie trafił do piekła; na opis piekła poświęcił dużo czasu, jakby Bóg nie wiedział, że wiecznie szaleje tam straszliwy ogień. Na koniec powiedzieliśmy głośno: „Amen!” Tata zamknął Biblię.

– Po południu pojedziecie przywitać się z dziadkiem – powiedział. – Kevin was zawiezie. Pamiętajcie, nie tykajcie tam żadnego jedzenia i niczego nie pijcie. I jak zwykle zostańcie nie dłużej niż piętnaście minut. Piętnaście minut.

– Tak, Tato. – Słyszeliśmy to w każde święta, od kilku lat, odkąd tylko zaczęliśmy odwiedzać Papa-Nnukwu. Papa-Nnukwu zwołał naradę *umunna*

i poskarżył się rodzinie, że nie zna wnuków i że wnuki nie znają jego. To on nam o tym powiedział, bo Tata nigdy o takich rzeczach nie wspominał. Tata zaproponował, że zbuduje mu nowy dom, że kupi mu samochód i wynajmie szofera, pod warunkiem że Papa-Nnukwu nawróci się i zburzy krytą strzechą świątynię bożka chi na podwórzu. Papa-Nnukwu roześmiał się i odparł, że niczego nie będzie burzył, że powtarzał to wiele razy. Członkowie *umunna* jak zwykle stanęli po stronie Taty, ale nalegali, żebyśmy mogli odwiedzać dziadka i chociaż się z nim przywitać, bo zasługuje na to każdy człowiek na tyle stary, żeby nazywać go dziadkiem. Tata nigdy się z nim nie witał, nigdy go nie odwiedzał, ale przez Kevina czy przez członków *umunna* przysyłał mu cienkie zwitki banknotów, o wiele cieńsze niż te, które dawał Kevinowi jako świąteczną premię.

– Wolałbym nie wysyłać was do domu poganina, ale Bóg was ochroni – dodał. Schował Biblię do szuflady, przyciągnął nas bliżej i łagodnie potarł nam ramiona.

– Tak, Tato.

Zaraz potem zniknął w salonie. Dobiegało stamtąd coraz więcej głosów, bo coraz więcej ludzi przychodziło, żeby powiedzieć: *Nno nu* i poskarżyć się na ciężkie życie czy na to, że nie mają za co kupić dzieciom prezentów na Gwiazdkę.

– Śniadanie zjecie na górze – powiedziała Mama. – Zaraz wam przyniosę. Ojciec zje z gośćmi.

– Pomogę ci – zaproponowałam.

– Nie, *nne*, idź na górę, zostań z bratem.

Lekko utykając, poszła do kuchni. Na głowie miała zwężającą się ku dołowi siatkę zakończoną pomponem z włosów. Pompon był wielkości piłki do golfa i wyglądał jak ten na czapce świętego Mikołaja.

– Papa-Nnukwu mieszka niedaleko – powiedział na schodach Jaja. – Do szlibyśmy tam w pięć minut, po co nam Kevin. – Mówił tak co roku, mimo to zawsze jeździliśmy do dziadka samochodem, żeby Kevin mógł mieć nas na oku.

Gdy tego ranka wyjeżdżaliśmy za bramę, odwróciłam się, żeby jeszcze raz popatrzeć na lśniące białą ściany i kolumny naszego domu, na idealny, połyskujący srebrzyście łuk wody nad fontanną. Papa-Nnukwu nigdy u nas nie był, bo Tata oświadczył, że nie postanie tu noga żadnego poganina, nawet jego własnego ojca.

– Ojciec powiedział, że możecie zostać piętnaście minut – przypomniał nam Kevin, parkując na poboczu drogi przed domem dziadka. Popatrzyłam na bliznę na jego szyi. Przed kilku laty pojechał na urlop do swego rodzinnego miasta w delcie Nigru i spadł z palmy. Blizna biegła środkiem głowy aż do karku. Miała kształt sztyletu.

– Wiemy – odparł Jaja.

Wysiedliśmy i Jaja otworzył skrzypiącą furtkę tak wąską, że gdyby Tata kiedykolwiek tu przyjechał, musiałby przechodzić przez nią bokiem. Podwórko było chyba cztery razy mniejsze od naszego dziedzińca w Enugu. Chodziły tam dwie kozy i kilka kur, skubiąc i dziobiąc żdźbła zeschniętej trawy. Stojący pośrodku dom był maleńki, zwarty i kwadratowy jak kostka do gry, i nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak oni tu żyli i dorastali, Tata i ciocia Ifeoma. Wyglądał dokładnie tak jak domki, które rysowałam w przedszkolu, małe, kwadratowe, takie z kwadratowymi drzwiami i dwoma kwadratowymi oknami po bokach. Jedyna różnica polegała na tym, że ten miał ganek z dachem podpartym zardzewiałymi prętami. Kiedy byliśmy tu pierwszy raz, spytałam dziadka, gdzie jest toaleta, a on roześmiał się i wskazał mi wychodek, ciasną budkę z niepomalowanych pustaków ze splecionymi palmowymi liśćmi zamiast drzwi. Tamtego dnia dobrze się mu przyjrzałam, uciekając wzrokiem w bok, ilekroć na mnie patrzył, bo chciałam sprawdzić, czym się od nas różni, poszukać w nim oznak bezbożności. Nie znalazłam żadnych, ale na pewno gdzieś były. Musiały być.

Siedział na niskim stołku na ganku, a na macie z rafii stały miseczki z jedzeniem. Wstał, gdy podeszliśmy bliżej. Był w długiej zawijce z węzłem na karku i w białym podkoszulku, teraz już zbrązowiałym i pożółkłym pod pachami.

– *Neke! Neke! Neke!* Kambili i Jaja przyszli pozdrowić starego ojczulka!

Chociaż wiek zgarbił go i przygniótł do ziemi, widać było, że kiedyś musiał być bardzo wysoki. Uścisnął bratu rękę, a mnie objął. Przytuliłam się do niego ostrożnie, wstrzymując oddech, bo nieprzyjemnie pachniał maniokiem.

– Chodźcie, zjedzcie coś – powiedział, wskazując matę. W miseczkach było łuskowate *fufu* i wodnista zupa bez mięsa czy ryby. Zapraszał nas, bo taki był zwyczaj; dobrze wiedział, że odmówimy, i figlarnie błysnął oczami.

– Nie, dziękujemy, Papa-Nnukwu. – Usiedliśmy na drewnianej ławce

obok niego. Oparłam głowę o drewnianą okiennicę poprzecinaną podłużnymi szczelinami.

– Mówią, że przyjechaliście już wczoraj – zaczął dziadek. Drżała mu dolna warga i drżał mu głos, a ponieważ mówił bardzo starym dialektem bez zangielszczonych końcówek, rozumiałam go z dużym opóźnieniem.

– Tak – odrzekł Jaja.

– Wyrosłaś, Kambili, jesteś teraz jak dojrzałe *agbogho*. Niedługo zaczną odwiedzać cię zalotnicy – zażartował. Na lewym oku miał bielmo barwy rozwodnionego mleka i starcze plamy na dłoniach, bardzo wyraźne, bo o wiele jaśniejsze niż jego ziemista skóra.

– Jak się czujesz, Papa-Nnukwu? – spytał Jaja. – Jak się czuje twoje ciało?

Dziadek wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że kiepsko, ale że nie ma wyboru.

– Dobrze, synu – odrzekł. – Jak każdy starzec, mogę tylko żyć w zdrowiu i czekać, aż połączę się z przodkami. – Zanurzył palce w miseczce i zrobił kulkę z *fufu*. Obserwowałam jego uśmiechniętą twarz, podziwiałam swobodę, z jaką zaprasza do stołu Ani, boga ziemi, wrzucając *fufu* do ogródka, w którym na lekkim wietrze kołysały się spieczone słońcem zioła. – Często bołą mnie nogi. Ciocia Ifeoma przywozi mi lekarstwa, kiedy tylko zdoła odłożyć trochę pieniędzy. Ale jestem już stary i kiedy nie bołą mnie nogi, bołą ręce.

– Czy ciocia przyjedzie z dziećmi na święta? – spytałam.

Papa-Nnukwu podrapał się po kłaczkach białych włosów, które przywarły do jego łysej głowy.

– *Ehye*, spodziewam się ich jutro.

– W zeszłym roku nie przyjechali – zauważył Jaja.

– Ifeoma nie mogła sobie na to pozwolić. – Dziadek pokręcił głową. – Odkąd umarł jej mąż, bardzo im ciężko, ale w tym roku na pewno przyjedzie. Spotkacie się. To niedobrze, że nie znacie swoich kuzynów. Niedobrze.

Milczeliśmy. Nie znaliśmy dobrze cioci Ifeomy i jej dzieci, bo ciocia pokłóciła się z Tata o dziadka. Mama nam powiedziała. Kiedy Tata zabronił dziadkowi do nas przychodzić, ciocia przestała z nim rozmawiać i minęło kilka lat, zanim w końcu zaczęli się do siebie odzywać.

– Gdyby w zupie było mięso – powiedział Papa-Nnukwu – poczęstowałbym was.

– Nie szkodzi – odrzekł Jaja.

Dziadek powoli przełykał jedzenie. Widziałam, jak *fufu* sunie mu gardłem

za obwisłym jabłkiem Adama, które sterczało z szyi jak pomarszczony orzech. Nie miał nic do popicia, nawet wody.

– Zaraz przyjdzie Chinyelu, dziewczyna, która mi pomaga. Wyślę ją do sklepu Ichiego i kupi wam coś do picia.

– Nie, Papa-Nnukwu, dziękujemy – powiedział Jaja.

– *Ezi okwu!* Wiem, że ojciec nie pozwala wam u mnie jeść, bo dzielę się jedzeniem z przodkami, ale pić? Czyż nie kupuję picia w sklepie, tak jak inni?

– Papa-Nnukwu, jedliśmy tuż przed wyjściem – odparł Jaja. – Jeśli zachce nam się pić, na pewno się napijemy.

Dziadek uśmiechnął się. Miał pozółkłe zęby i dużo szpar, bo wiele zębów już mu wypadło.

– Dobrze to powiedziałaś, synu. Musisz być drugim wcieleniem mojego ojca, Ogbuefi Oloke, on zawsze mówił mądrze.

Popatrzyłam na emaliowany talerz z odłupanym zielonym szlaczkiem na brzegu i wyobraziłam sobie, jak suche, wysuszone przez gorące harmat-tany *fufu* drapie dziadka w gardle. Jaja trącił mnie łokciem w bok. Ale nie chciałam jeszcze wychodzić. Chciałam zostać, żebym mogła pobiec i przynieść dziadkowi wody, gdyby *fufu* utknęło mu w gardle i gdyby zaczął się dławić. Tylko że nie wiedziałam nawet, gdzie ta woda jest. Ławka przytrzymywała mnie, wsysała. Popatrzyłam na szarego koguta, który wszedł do krytej strzechą świątyni w rogu podwórka, gdzie mieszkał bóg Papa-Nnukwu i dokąd Tata zakazał nam podchodzić. Była to niska, otwarta budka o pokrytych palmowymi liśćmi ścianach i glinianym dachu. Przypominała grootę za Świętą Agnieszką, tę poświęconą Najświętszej Paniencie z Lourdes.

– Pójdziemy już, Papa-Nnukwu – powiedział Jaja, wstając.

– Dobrze, synu – odrzekł dziadek. Nie spytał: „Co? Tak szybko?” ani „Czy mój dom was odstrasza?” Już przywykłam, że wychodzimy ledwie kilka minut po przyjściu. Gdy podpierając się niepewnie krzywą laską z patyka, doszedł do furki, z samochodu wysiadł Kevin. Pozdrowił go i dał mu cienki zwitek banknotów.

– Oj, a co to? Podziękuj ode mnie Eugeneowi – powiedział z uśmiechem dziadek. – Podziękuj mu.

Pomachał nam, gdy odjeżdżaliśmy. Ja też mu pomachałam i patrzyłam za nim, dopóki nie poczłapał do furki. Jeśli nawet miał coś przeciwko temu, że syn przekazuje mu tak bezosobowo te liche pieniądze, nie dał tego po so-

bie poznać. Ani w ostatnie święta, ani w święta przed dwoma laty. Nigdy. Jakże inaczej Tata traktował ojca Mamy, dopóki ten dziadek nie zmarł przed pięciu laty! Kiedy przyjeżdżaliśmy do Abba na Boże Narodzenie, zatrzymywał się w naszym *ikwu nne*, panińskim domu Mamy, zanim jeszcze dojechaliśmy do swego. Dziadek miał bardzo jasną skórę, prawie jak albinos, i podobno dlatego tak bardzo spodobał się misjonarzom. Zawsze mówił po angielsku, zawsze z ciężkim akcentem igbo. Znał też łacinę, często cytował postanowienia Pierwszego Soboru Watykańskiego i spędzał większość czasu u Świętego Pawła, gdzie był głównym katechetą. Kazał nam nazywać się dziadkiem, a nie Papa-Nnukwu czy Nna-Ochie. Tata wciąż wspominał go z wielką dumą, jakby dziadek był jego własnym ojcem. Otworzył oczy wielu ludziom, mówił. To właśnie on, wraz z małą garstką innych, powitał tu misjonarzy. Wiecie, jak szybko nauczył się angielskiego? A kiedy już został tłumaczem, wiecie, ile dusz pomógł zbawić? Nawrócił prawie całą wieś! Postępował tak jak trzeba, tak jak postępują biali, a nie jak nasi! Tak mówił. Miał jego zdjęcie w odświętnym stroju joannitów, oprawione w gruby mahon; wisiało na ścianie w Enugu. Ale nie musiałam patrzeć na zdjęcie, żeby przypomnieć sobie, jak wyglądał. Kiedy umarł, miałam tylko dziesięć lat, ale dobrze pamiętałam jego niemal zielone oczy i to, że prawie w każdym zdaniu używał słowa „grzesznik”.

– Papa-Nnukwu wygląda gorzej niż w zeszłym roku – szepnęłam do ucha bratu, gdy już jechaliśmy. Nie chciałam, żeby usłyszał mnie Kevin.

– Jest stary – odrzekł Jaja.

Sisi przyniosła nam obiad na górę – smażoną wołowinę z ryżem na eleganckich beżowych talerzach – i zjedliśmy sami. Rozpoczęło się zebranie rady kościelnej, więc słyszeliśmy podniesione głosy mężczyzn, którzy się o coś kłócili, oraz podnoszące się i opadające głosy kobiet na podwórzu, żon członków naszej *umunna*, które oliwiły kotły, żeby łatwiej je można było potem umyć, rozcierały przyprawy w drewnianych moździerzach i rozpałały ogień.

– Wypowiadasz się z tego? – spytałam.

– Z czego?

– Powiedziałaś, że jeśli zachce się nam pić, to napijemy się u dziadka.

– Chciałem sprawić mu przyjemność.

– Dobrze to znosi.

– Dobrze to ukrywa.

Otworzyły się drzwi i wszedł Tata. Nie słyszałam, jak szedł po schodach, poza tym nie przypuszczałam, że wejdzie na górę podczas narady.

– Dzień dobry, Tato – powiedzieliśmy razem.

– Kevin mówi, że byliście u dziadka dwadzieścia pięć minut. Czy tak wam kazałem?

– To moja wina – odparł Jaja. – Za długo zwlekałem.

– Co tam robiliście? Jedliście jedzenie dla bożków? Zbzcześciliście swój chrześcijański język?

Zamarłam. Nie wiedziałam, że języki też mogą być chrześcijańskie.

– Nie – odrzekł Jaja.

Tata podszedł do niego. Mówił teraz w igbo, bez słowa po angielsku. Myślałam, że wytarga brata za uszy, że mówiąc, będzie ciągnął za nie i szarpał, że go spoliczkuje, że zabrzmiałoby to jak trzask ciężkiej książki spadającej z półki w szkolnej bibliotece. Że potem wyciągnie rękę i spoliczkuje mnie, tak od niechcenia, jakby sięgał po pieprzniczkę. Ale on powiedział:

– Skończcie jeść, idźcie do siebie i módlcie się o przebaczenie. – Potem wyszedł, a cisza, która zapadła, była jak znoszony, kłujący sweter w chłodny poranek.

– Nie dojadłś ryżu – powiedział w końcu Jaja.

Kiwnęłam głową i wzięłam widelec. Wtedy za oknem usłyszałam podniesiony głos Taty i natychmiast odłożyłam widelec.

– Co on robi w moim domu? Co Anikwenwa robi w moim domu?! – Bijąca z głosu wściekłość zmroziła mi czubki palców. Podbiegliśmy do okna, a ponieważ nic stamtąd nie zobaczyliśmy, wypadliśmy na werandę i stanęliśmy za kolumnami.

Tata stał pod drzewem pomarańczowym i krzyczał na pomarszczonego starca w porwanym podkoszulku i zawijce na biodrach. Wokół Taty stało jeszcze kilku mężczyzn.

– Co Anikwenwa robi w moim domu?! Co ten bałwochwalca tu robi? Natychmiast stąd wyjdź!

– Wiesz, że mam tyle lat co twój ojciec, *gbo*? – spytał starzec. Zakrzywionym palcem chciał wycelować w twarz Taty, ale sięgał mu tylko do piersi. – Wiesz, że ssałem pierś matki, gdy twój ojciec ssał pierś swojej?

– Wyjdź z mojego domu! – Tata wskazał mu bramę. Dwóch mężczyzn powoli poprowadziło Anikwenwę w stronę ogrodzenia. Nie stawiał oporu, był na to za stary. Ale cały czas oglądał się za siebie i powtarzał:

– *Ifukwa gi!* Jesteś jak mucha, która na oślepięci leci za trupem do grobu!
Śledziłam go wzrokiem, dopóki nie zniknął za murem.

Ciocia Ifeoma przyjechała nazajutrz wieczorem, gdy drzewa pomarańczowe zaczęły rzucać długie, falujące cienie na fontannę od frontu. Właśnie czytałam i jej serdeczny, jazgotliwy śmiech dotarł aż na górę, do salonu. Nie słyszałam go od dwóch lat, ale rozpoznałabym go zawsze i wszędzie. Była wysoka jak Tata i proporcjonalnie zbudowana. Chodziła szybko, jak ktoś, kto wie, dokąd idzie i co będzie tam robił. Mówiła tak, żeby w jak najkrótszym czasie wyrzucić z ust jak najwięcej słów.

– Dzień dobry, ciociu – powiedziałam, wstając.

Nie objęła mnie tak jak inni, tak lekko, jakby z boku.

Zarzuciła mi ręce aż na plecy i mocno przytuliła do swego miękkiego ciała. Szerokie klapy jej niebieskiej sukienki pachniały lawendą.

– Kambili, *kedu?* – Jej ciemną twarz rozjaśnił szeroki uśmiech, odsłaniając szparę między przednimi zębami.

– Dobrze, ciociu.

– Wyrosłaś. A to co? – Pociągnęła mnie za pierś. – No proszę! Jak szybko ci rosną!

Uciekłam wzrokiem w bok i wzięłam głęboki oddech, żeby nie zacząć się jękać. Nie umiałam sobie poradzić z takimi żartami.

– Gdzie Jaja? – spytała.

– Śpi. Boli go głowa.

– Głowa? Na trzy dni przed świętami? Wykluczone. Obudzę go i wyleczę.

– Wybuchła śmiechem. – Byliśmy tu już przed południem. Wyjechaliśmy z Nsukka o świcie i zjawilibyśmy się dużo wcześniej, ale zepsuł się nam samochód. Dzięki Bogu, że na Dziewiątej Mili, bo szybko znaleźliśmy mechanika.

– Tak, dzięki Bogu – powtórzyłam i po krótkiej pauzie dodałam: – Jak się miewają moi kuzyni? – Musiałam spytać, bo tak było grzecznie, mimo to dziwnie się poczułam, pytając o kogoś, kogo prawie nie znałam.

– Niedługo przyjdą. Są u Papa-Nnukwu i pewnie zaczął im coś opowiadać. Wiesz, jaki on jest. Jak zacznie, to nie może skończyć.

– Aha. – Nie wiedziałam, że Papa-Nnukwu lubi długo opowiadać. Nie wiedziałam nawet, że zna jakieś opowieści.

Weszła mama z tacą zastawioną butelkami z napojami gazowanymi i na-

pojami z mleka w proszku, zaprawionymi słodem. Na butelkach stał talerz z *chin-chin*.

– *Nwunye m*, dla kogo to? – spytała ciocia Ifeoma.

– Dla was i dla dzieci. Mówiłaś, że przyjdą, *okwia*?

– Niepotrzebnie zwracałaś sobie głowę, naprawdę. Po drodze kupiliśmy *okpa* i właśnie ją zjedliśmy.

– W takim razie dam wam *chin-chin* do torby. – Mama ruszyła do drzwi. Miała na sobie elegancką spódnicę w żółte wzorki i bluzkę z żółtą koronką na krótkich, bufiastych rękawach.

– *Nwunye m!* – zawołała ciocia i Mama się odwróciła. Gdy przed dwoma laty pierwszy raz usłyszałam, że ją tak nazywa, dosłownie osłupiałam, bo *nwunye m* znaczy „moja żona”. Spytałam o to Tatę, a on wyjaśnił mi, że jest to pozostałość po bezbożnej tradycji, wedle której mężczyzna poślubiał nie tylko żonę, ale i jej rodzinę, a potem, chociaż ciocia Ifeoma już wyszła i zostałyśmy same, Mama szepnęła mi do ucha: „Jestem jej żoną, ponieważ jestem żoną twego ojca”.

– *Nwunye m*, chodź, usiądź z nami – poprosiła ciocia. – Wyglądasz na zmęczoną. Dobrze się czujesz?

Na twarzy Mamy pojawił się lekki uśmiech.

– Dobrze, bardzo dobrze. Pomagam żonom z naszej *umunna* w gotowaniu.

– Usiądź – powtórzyła ciocia. – Usiądź i odpocznij. Zony mogą poszukać soli same i na pewno ją znajdą. Ostatecznie przyszły tylko po to, żeby coś podwędzić, owinąć mięso w liście banana i kiedy nikt nie patrzy, zanieść je do domu. – Ciocia roześmiała się głośno.

Mama usiadła obok mnie.

– Eugene załatwia dodatkowe krzesła, zwłaszcza na pierwszy dzień świąt. Tylu ludzi już przyszło.

– Wiesz, w pierwszy dzień świąt nasi nie robią nic innego, tylko chodzą od domu do domu – odparła ciocia Ifeoma. – Ale nie możesz im tak usługiwać. Jutro powinniśmy zabrać dzieci do Abagana, żeby zobaczyły *mmuo*.

– Eugene nie pozwoli im pójść na pogański festyn.

– Pogański festyn, *kwa*? Wszyscy jeżdżą do Aro, żeby popatrzeć na *mmuo*.

– Wiem, ale znasz go.

Ciocia Ifeoma powoli pokręciła głową.

– Powiem mu, że jedziemy się przejechać, żeby pobyć trochę razem,

zwłaszcza z dziećmi.

Mama bez słowa bawiła się przez chwilę palcami. Potem spytała:

– Kiedy zabierzesz dzieci do rodzinnego miasta ich ojca?

– Może dzisiaj, chociaż nie wiem, czy wystarczy mi sił na użeranie się z rodziną Ifediory. Z każdym rokiem coraz bardziej głupiej. Ci z jego *ummuna* powiedzieli, że Ifediora zostawił mi dużo pieniędzy i że gdzieś je ukrywam. W zeszłym roku jakaś kobieta z ich zagrody powiedziała nawet, że pewnie go zabiłam. Miałam ochotę zapchać jej usta piaskiem. Potem pomyślałam, że może ją jednak posadzić i wytłumaczyć jak komu dobremu, że nie zabija się męża, którego się kocha, że nie finguje się wypadku, w którym ciężarówka taranuje jego samochód, ale właściwie po co miałam to mówić? Czysta strata czasu. Zamiast normalnego mózgu ci ludzie mają mózg perliczki.

– Z ust cioci wydobył się głośny syk. – Nie wiem, jak długo jeszcze będę dzieci tam zabierać.

Mama zacmokała ze współczuciem.

– Ludzie nie zawsze mówią rozsądnie. Ale to dobrze, że dzieci tam jeżdżą, zwłaszcza chłopcy. Muszą znać dom ojca i jego *ummuna*.

– Naprawdę nie wiem, skąd Ifediora wytrzasnął taką rodzinę.

Obserwowałam ich usta, gdy mówiły. Niepomalowane wargi Mamy były blade w porównaniu z pociągniętymi błyszczącą brązową szminką wargami cioci.

– Rodzina zawsze mówi rzeczy, które boją – powiedziała Mama. – Czy członkowie naszej *ummuna* nie namawiali Eugenea, żeby wziął sobie inną żonę, bo mężczyzna z jego statusem nie może mieć tylko dwojga dzieci? Gdyby nie wspierali mnie wtedy ludzie tacy jak ty...

– Przestań, skończ z tą wdzięcznością. Gdyby Eugene to zrobił, to on byłby stratny, nie ty.

– Tylko tak mówisz. Dzieciata kobieta bez męża: kto to jest?

– Ja.

Mama pokręciła głową.

– Znowu zaczynasz. Dobrze wiesz, o czym mówię. Jak kobieta może tak żyć? – Jej oczy zrobiły się okrągłe i zajmowały teraz więcej miejsca na twarzy.

– *Nwunye m*, czasami jest tak, że życie zaczyna się dopiero wtedy, gdy kończy się małżeństwo.

– Ty i ta twoja uniwersytecka gadka. Studentkom też tak mówisz? – spytała Mama z uśmiechem.

– Żebyś wiedziała. Ale one wychodzą za mąż coraz wcześniej i wcześniej. Po co nam dyplom, mówią, skoro i tak nie ma pracy?

– Przynajmniej ktoś się nimi zajmie, kiedy wyjdą za mąż.

– Nie jestem pewna, kto zajmuje się kim. Na pierwszorocznym seminarium mam sześć mężatek. Ich mężowie przyjeżdżają co weekend mercedesami i lexusami, kupują im stereo, podręczniki i lodówki, a kiedy dziewczyny kończą studia, przechodzą na ich własność, one i ich dyplomy. Czy ty tego nie widzisz?

Mama pokręciła głową.

– Znowu mówisz jak na wykładzie. Mąż jest ukoronowaniem życia kobiety, Ifeomo. Męża: tego właśnie chcą.

– Tylko tak myślą. Ale czyż mamy prawo je winić? Spójrz tylko, co ten wojskowy tyran robi z naszym krajem. – Ciocia zamknęła oczy jak ktoś, kto chce przywołać nieprzyjemne wspomnienia. – Od trzech miesięcy w Nsukka nie ma benzyny. W zeszłym tygodniu przez całą noc czekałam na stacji. I nie przywieźli. Niektórzy zostawili samochody, bo nie starczyłoby im paliwa na powrót do domu. Gdybyś tylko widziała, jak pogryzły mnie komary. Pęcherze miałam wielkie jak orzechy.

Mama współczująco pokręciła głową.

– Jak tam teraz u was jest, na tym uniwersytecie? – spytała.

– Właśnie odwołaliśmy kolejny strajk, chociaż od dwóch miesięcy wykładowcy nie dostają pensji. Mówią nam, że rząd nie ma pieniędzy. – Ciocia smutno zachichotała. – *Ifukwa*, ludzie wyjeżdżają z kraju. Dwa miesiące temu wyjechała moja przyjaciółka Phillipa. Pamiętasz ją?

– Przyjechała z tobą na święta kilka lat temu. Taka ciemna i pulchna?

– Tak. Teraz wykłada w Ameryce. Mieszka w ciasnym pokoiku z inną adiuńtką, ale mówi, że przynajmniej dobrze im płacą.

Ciocia zamilkła i strzepnęła coś z bluzki Mamy. Obserwowałam każdy jej ruch, uważnie wsłuchiwałam się w każde słowo. W tym, jak gestykulowała, jak uśmiechała się, odsłaniając tę dużą szczerbę między zębami, było coś nieustraszonego.

– Wyciągnęłam moją starą kuchenkę naftową – mówiła. – Oto na czym teraz gotujemy. Już nawet nie czujemy tego smrodu. Wiesz, ile kosztuje butla gazowa? Coś koszmarnego!

Mama poruszyła się na sofie.

– Czemu nie powiesz Eugeneowi? Ma w fabryce tyle butli, że...

Ciocia wybuchnęła śmiechem i czule poklepała ją po ramieniu.

– *Nwunye m*, ciężko nam, ale jeszcze nie umieramy. Mówię ci to tylko dlatego, że to ty. Gdybym rozmawiała z kimś innym, wysmarowałabym moją wychudzoną twarz wazeliną, aż by lśniła.

Wtedy wszedł Tata. Szedł do sypialni, na pewno po grube pliki banknotów, żeby rozdać je gościom na święta i powiedzieć: „To nie ode mnie, to od Boga”, gdy zaczną wyśpiewywać podziękowania.

– Eugene! – zawołała ciocia Ifeoma. – Właśnie mówiłam Kambili i Jaja, że powinni spędzić trochę czasu z moimi dziećmi.

Tata mruknął coś i nawet nie zwolnił kroku.

– Eugene!

Ilekcio ciocia się do niego zwracała, zamierało mi serce, a potem zaczynało bić jeszcze szybciej niż przedtem. Wszystko przez ten impertynencki ton jej głosu. Mówiła tak, jakby nie wiedziała, że to Tata, że Tata jest inny, wyjątkowy. Miałam ochotę zacisnąć jej usta i usmarować sobie palce tą błyszczącą brązową szminką.

– Gdzie chcesz ich zabrać? – spytał Tata, przystając przed drzwiami.

– Na przejazdzkę.

– Chcecie tu coś zwiedzać? – On mówił cały czas po angielsku, a ciocia cały czas w igbo.

– Pozwól im pojechać z nami! – Ciocia się chyba zirytowała, bo lekko podniosła głos. – Przecież są święta. Prawie nigdy się nie widują. *Imakwa*, mój mały Chima nie zna nawet imienia twojej córki.

Tata popatrzył na mnie, a potem na Mamę. Sondował nas wzrokiem, jakby pod naszymi nosami, nad czołem i na ustach szukał liter układających się w słowa, które by się mu nie spodobały.

– Dobrze. Mogą jechać, ale pamiętaj, żeby nie zbliżały się do niczego, co bezbożne. Jeśli będziecie przejeżdżać koło *mmuo*, podnieście szyby w oknach.

– Słyszałam cię, Eugene – odparła ciocia Ifeoma przesadnie oficjalnym tonem głosu.

– Może zjemy razem obiad w pierwszy dzień świąt?

– zaproponował Tata. – Dzieci mogłyby pobyć razem.

– Przecież wiesz, że w pierwszy dzień świąt idziemy do Papa-Nnukwu.

– Co ten bałwochwalcza może wiedzieć o Bożym Narodzeniu?

– Eugene... – Ciocia wzięła głęboki oddech. – Dobrze, przyjedziemy w pierwszy dzień świąt.

Tata wrócił na dół, a ja wciąż siedziałam na sofie, obserwując, jak ciocia rozmawia z Mamą, gdy przyszli moi kuzyni. Amaka była szczuplejszą, nastoletnią kopią swojej matki. Chodziła i mówiła jeszcze szybciej niż ona, z większą stanowczością. Tylko oczy miała inne; biło z nich mniej bezgranicznego ciepła niż z oczu cioci. Były to oczy kpiące, oczy, które zadawały dużo pytań i nie akceptowały wielu odpowiedzi. Obiorą był rok młodszy. Nosił grube okulary, miał bardzo jasną skórę, oczy koloru miodu i zakrzywione do góry kąciki ust, jakby ciągle się uśmiechał. Skóra Chimy była czarna jak spód przepalonego garnka do gotowania ryżu i jak na siedmiolatka, chłopiec był bardzo wysoki. Wszyscy czworo śmiali się jednakowo, śmiechem gardłowym, jazgotliwym i pełnym entuzjazmu.

Przywitali się z Tatą, a kiedy dał im pieniądze na święta, Amaka i Obiorą podziękowali mu, trzymając w wyciągniętych rękach grube pliki banknotów. Mieli układnie zdziwione oczy, żeby pokazać, że nie są aroganccy, że bynajmniej tego nie oczekiwali.

– Macie tu satelitarną, tak? – rzuciła Amaka. Była to pierwsza rzecz, o jaką spytała, gdy tylko się przywitałyśmy. Miała krótko obcięte włosy, zaczesane wyżej z przodu i opadające łagodnym łukiem do tyłu, gdzie było ich znacznie mniej.

– Tak.

– Możemy pooglądać CNN?

Zmusiłam się, żeby odkaszlnąć; miałam nadzieję, że nie będę się jąkać.

– A zresztą nie, może jutro – zmieniła zdanie Amaka.

– Zaraz jedziemy odwiedzić rodzinę taty w Ukpo.

– Rzadko oglądamy telewizję – wykrztusiłam.

– Dlaczego? – spytała. Było nieprawdopodobne, że jesteśmy w tym samym wieku, że mamy po piętnaście lat. Wydawała się dużo starsza, może przez to podobieństwo do cioci Ifeomy, a może dlatego, że tak dziwnie patrzyła mi w oczy. – Nudzi was? Gdyby tylko wszyscy mieli satelitarną i się tak nudzili.

Chciałam powiedzieć, że mi przykro, że nie chcę, żeby znieubiła nas za to, że nie oglądamy cnn. Chciałam powiedzieć, że chociaż na dachach naszych domów, tu i w Enugu, zamontowano wielkie anteny, w ogóle nie oglą-

damy telewizji. Ze Tata nie uwzględnił tego w naszym planie dnia.

Ale ona już odwróciła się do cioci Ifeomy wciąż pogrążonej w rozmowie z Mamą.

– Mamo, jeśli mamy jechać do Ukpo, powinniśmy już iść, bo Papa-Nnukwu zaraz zaśnie.

Ciocia wstała.

– Tak, *nne*, już idziemy.

Schodząc na dół, trzymała Chimę za rękę. Amaka powiedziała coś, wskazując naszą bogato zdobioną, ręcznie rzeźbioną balustradę, i Obiorą się roześmiała. Nie pożegnała się ze mną, ale chłopcy się pożegnali, a ciocia Ifeoma pomachała mi i powiedziała:

– Do jutra.

Wjechała na podwórze pod koniec śniadania. Gdy wparadowała do jadalni, pomyślałam, że właśnie tak musiały wyglądać dumne żony naszych przodków, które szły kilometrami, niosąc wodę w glinianych garnkach, które na plecach dźwigały dzieci i walczyły na wojnie maczetami naostrzonymi na gorących od słońca kamieniach. Wypełniała sobą cały pokój.

– Gotowi? – rzuciła. – *Nwunye m*, nie pojedziesz z nami?

Mama pokręciła głową.

– Wiesz, że Eugene lubi, kiedy jestem w domu.

– Kambili, wygodniej ci będzie w spodniach – powiedziała ciocia, gdy szliśmy do drzwi.

– Nie, tak jest dobrze – odrzekłam. Ciekawe dlaczego nie powiedziałam jej, że wszystkie moje spódnice sięgają daleko za kolana, że nie mam ani jednej pary spodni, bo wkładając spodnie, kobieta popełnia grzech.

Jej peugeot 504, kombi, był biały i miał zderzaki zardzewiałe na nieprzyjemnie brązowy kolor. Amaka siedziała z przodu, Obiorą i Chima z tyłu. Ja i brat usiedliśmy na środkowych siedzeniach. Mama patrzyła za nami, dopóki samochód nie zniknął jej z oczu. Wiedziałam o tym, bo czułam na sobie jej wzrok, czułam jej obecność. Peugeot trzeszczał i grzechotał, jakby poodkręcały się jakieś śruby, na każdym wyboju dygotaliśmy i podskakiwaliśmy. Zamiast nawiewów klimatyzacji na desce rozdzielczej, były duże prostokątne dziury, więc okna mieliśmy cały czas otwarte. Do ust, oczu i nosa wdzierał mi się pył.

– Najpierw wstąpimy po Papa-Nnukwu, pojedzie z nami – rzuciła przez

ramię ciocia Ifeoma.

Ścisnęło mnie w brzuchu i zerknęłam na brata. Spotkaliśmy się wzrokiem. Co powiemy Tacie? Jaja odwrócił głowę. On też nie wiedział.

Zanim ciocia zdążyła wyłączyć silnik, zatrzymawszy się przed domem dziadka, Amaka otworzyła drzwiczki i wyskoczyła z samochodu.

– Lecę po Papa-Nnukwu! – krzyknęła.

Jej bracia też wysiedli i pobiegli za nią do małej drewnianej furtki.

– Nie chcecie wysiąść? – spytała ciocia, odwracając się ku nam.

Wbiłam wzrok w podłogę. Jaja zamarł tak samo jak ja.

– Nie chcecie tam wejść? Przecież byliście tu dwa dni temu. – Ciocia aż wytrzeszczyła oczy.

– Jak już się z nim przywitamy, nie wolno nam tu przychodzić – odrzekł w końcu Jaja.

– Cóż to za nonsens! – Ciocia zamilkła; może przypomniało jej się, że to nie nasz wymysł. – Jak myślicie, dlaczego wasz ojciec nie chce, żebyście tu przychodzili?

– Nie wiem – odparł Jaja.

Possałam zeszywniały język, żeby go rozluźnić; w ustach miałam pełno grubego pyłu.

– Bo Papa-Nnukwu jest poganinem – powiedziałam. Tata byłby ze mnie dumny.

– Papa-Nnukwu nie jest poganinem, Kambili – odparła ciocia. – Papa-Nnukwu jest tradycjonalistą.

Patrzyłam na nią bez słowa. Poganin czy tradycjonalista, co to za różnica? Nie był katolikiem, i tyle; nie wierzył w Boga. Należał do ludzi, o których nawrócenie się modliliśmy, żeby nie trafili na wieczne męki w ogniu piekielnym.

Siedzieliśmy w milczeniu, dopóki nie otworzyła się furka i nie zobaczyliśmy Amaki, która szła tuż obok dziadka, żeby w razie potrzeby go podtrzymać. Chłopcy szli za nimi. Papa-Nnukwu był w luźnej wzorzystej koszuli i w sięgających do kolan brązowych szortach. Pierwszy raz widziałam go w takim ubraniu, bo gdy go odwiedzaliśmy, zawsze miał na sobie przetartą zawijkę.

– To ja kupiłam mu te szorty – powiedziała ze śmiechem ciocia Ifeoma. – Widzicie, jak młodo wygląda? Kto by uwierzył, że ma osiemdziesiąt lat?

Amaka pomogła mu usiąść na przednim siedzeniu, a sama usiadła obok

nas.

– Dzień dobry, Papa-Nnukwu – powitałam go z bratem.

– Kambili? Jaja? Czyżbym widział was ponownie? *Ehye*, to znak, że niedługo spotkam moich przodków.

– *Nna anyi*, nie masz dość przepowiadania swojej śmierci? – spytała ciocia Ifeoma, uruchamiając silnik.

– Lepiej wymyśl coś nowego! – Nazwała go *nna anyi*, naszym ojcem. Ciekawe, czy Tata też kiedyś tak go nazywał i jak zwracałby się do niego teraz, gdyby się do siebie odzywali.

– Lubi mówić, że niedługo umrze – powiedziała po angielsku Amaka; była wyraźnie rozbawiona. – Myśli, że będziemy dla niego milsi.

– Niedługo? Akurat – wtrącił po angielsku równie rozbawiony Obiorą. – Jeszcze nas przeżyje.

– O czym te dzieciaki rozmawiają, *gbo*, Ifeomo? – spytał Papa-Nnukwu. – Spiskują przeciwko mnie? Chcą podzielić się moim złotem i rozległymi ziemiami? Nie zaczekają nawet, aż umrę?

– Gdybyś miał złoto i ziemię, zabilibyśmy cię już dawno temu – odrzekła ciocia.

Moi kuzyni wybuchli śmiechem, a Amaka zerknęła na mnie i Jaja, zastanawiając się pewnie, dlaczego jesteśmy tacy poważni. Chciałam się uśmiechnąć, ale właśnie przejeżdżaliśmy koło naszego domu i na widok wielkiej, czarnej bramy i białych murów zdrętwiały mi wargi.

– Naszym najwyższym bogiem jest Chukwu – powiedział dziadek – i moi ziomkowie mówią do niego tak: Daj mi i bogactwo, i dziecko, ale jeśli już muszę wybierać, daj mi dziecko, bo wraz z nim będzie rosło moje bogactwo. – Popatrzył przez ramię na nasz dom.

– *Nekenem*, spójrzcie tylko na mnie. Mój syn ma dom, w którym zmieściłoby się wszyscy mieszkańcy naszej wsi, mimo to często nie mam co położyć na talerzu. Nie powinienem był pozwolić mu zadawać się z tymi misjonarzami.

– *Nna anyi* – odparła ciocia Ifeoma. – To nie misjonarze są winni. Przecież ja też chodziłam do ich szkoły, prawda?

– Ale ty jesteś kobietą, ty się nie liczysz.

– Tak? Ja się nie liczę? A czy Eugene spytał cię choć raz o twoją bolącą nogę? Jeśli się nie liczę, przestanę cię pytać, jak ci się spało i wstawało.

Papa-Nnukwu zachichotał.

- Gdy dołączę do przodków, będzie cię straszył mój duch.
- Najpierw postraszy Eugenea.
- To tylko żarty, *niua m*. Co bym teraz począł, gdyby *chi* nie dał mi córki?
- Dziadek umilkł. – Mój duch – dodał po chwili – wstawi się za tobą i Chukwu ześle ci dobrego mężczyznę, który zaopiekuje się tobą i dziećmi.
- Lepiej niech poprosi Chukwu, żeby przyspieszyli mój awans na starszego wykładowcę – odparła ciocia.

Papa-Nnukwu ponownie umilkł i pomyślałam, że płynąca z radia wesoła muzyka, grzechotanie poluzowanych śrub i harmattanowa mgiełka za oknem ukołysały go do snu.

– A jednak uważam, że to misjonarze zepsuli mi syna – odezwał się tak nagle i niespodziewanie, że aż się przestraszyłam.

– Słyszeliśmy to wiele razy – odparła ciocia. – Lepiej powiedz nam coś nowego.

Ale Papa-Nnukwu jakby jej nie słyszał i mówił dalej:

– Pamiętam tego, który przyjechał do Abba jako pierwszy, tego, którego nazywali Ojcem Johnem. Twarz miał czerwoną jak olej palmowy; podobno w krainie białego człowieka świeci zupełnie inne słońce. Miał pomocnika z Nimo, którego nazywali Sędzią. Po południu zbierał dzieci pod drzewem ukwa w misji i uczył ich swojej religii. Nie przyłączyłem się do nich, ale czasami chodziłem zobaczyć, co tam robią. I pewnego dnia spytałem: Gdzie mieszka bóg, którego czcicie? Oni na to, że jest jak Chukwu, że mieszka w niebie. Wtedy spytałem: Kim jest ten, którego zabili, ten, który wisi na kawałku drewna przed misją? Oni na to, że to jego syn, ale że syn i ojciec są sobie równi. I już wiedziałem, że ten biały oszalał. Ojciec i syn równymi sobie? *Tufia!* Nie rozumiecie? Właśnie dlatego Eugene może mnie lekceważyć, bo uważa, że jesteśmy sobie równi.

Moi kuzyni zachichotali. Ciocia Ifeoma też, ale szybko przestała się śmiać i powiedziała:

– Dość, wystarczy. Zamknij usta i odpocznij. Prawie dojeżdżamy i musisz mieć siłę, żeby opowiedzieć dzieciom o mmuo.

– Wygodnie ci, Papa-Nnukwu? – spytała Amaka, nachylając się ku niemu.

– Poprawić ci fotel, żebyś miał więcej miejsca?

– Nie, nie trzeba. Jestem już stary i się skurczyłem. Kiedy byłem w sile wieku, nie wsiadłbym do tego samochodu. Byłem tak wysoki, że podchodziłem do drzewa, wyciągałem rękę i zrywałem icheku, nie musiałem się nawet

wspinać.

– Tak, tak – odrzekła ze śmiechem ciocia. – Naturalnie. Nieba też mogłeś dotknąć?

Tak łatwo się śmiała, tak często. Oni wszyscy się często śmiali, nawet mały Chima.

Pobocza dróg w Ezi Icheke były zastawione samochodami, i to prawie zderzak w zderzak. A kłębiące się wokół samochodów tłumy były tak gęste, że ludzie nie mieli na nic miejsca, że się ze sobą zlewali, że zawijki zlewały się z podkoszulkami, spodnie ze spódnicami, sukienki z koszulami. Ale ciocia Ifeoma zdołała w końcu zaparkować. Przez jezdnię przechodzili już *mmuo* i robiły się korki, bo samochody przystawały, żeby ich przepuścić. Na każdym rogu czyhali handlarze z przykrytymi szklanymi kloszami *akara* i *suya*, z pieczonymi udkami kurczęcia, z tacami pełnymi obranych pomarańczy, z wielkimi jak wanna termosami pełnymi bananowych lodów. Wszystko to razem przypominało kolorowy obraz, który nagle ożył. Nigdy nie widziałam prawdziwego *mmuo*, nigdy nie siedziałam w samochodzie wśród tysięcy ludzi, którzy też przyjechali popatrzeć. Raz, przed kilku laty, Tata przewiózł nas przez tłum w Ezi Icheke, mamrocząc coś o ignorantach biorących udział w pogańskiej maskaradzie. Mówił, że te wszystkie opowieści o *mmuo*, duchach, które wylazą z dziur i mogą sprawić, że krzesła zaczynają biegać, a kosze nosić wodę, że to wszystko diabelski folklor. Diabelski folklor. W jego ustach brzmiało to niebezpiecznie.

– Patrzcie tam – powiedział Papa-Nnukwu. – To duch kobiety, ale duchy kobiet są niegroźne. Z tymi największymi nie mają nawet co się równać. – *Mmuo*, którego nam pokazał, był mały i ładny; miał kwadratową, wyrzeźbioną w drewnie twarz i pomalowane na czerwono usta. Często przystawał, żeby zatańczyć, zarzucić biodrami to w lewo, to w prawo, i zamieść wokoło sznurkiem paciorków na biodrach. Ludzie wesoło krzyczeli, niektórzy rzucali mu pieniądze. Mali chłopcy – ci, którzy chodzili za *mmuo* grającym na metalowych *ogenes* i drewnianym *ichakas* – zbierali z ziemi zmięte banknoty. Ledwo nas minęli, gdy Papa-Nnukwu krzyknął:

– Odwróćcie się! Kobiety nie mogą na niego patrzeć!

Idącego drogą *mmuo* otaczało kilku starszych mężczyzn z przeraźliwie dzwoniącymi dzwoneczkami. Zamiast twarzy miał prawdziwą ludzką czaszkę z zapadniętymi oczodołami. Na jego czole rozpaczliwie poruszał nogami żywy żółw. Całe ciało pokrywała mu trawa, a u pasa kołysał się wąż i trzy

martwe kury na sznurku. Stojący przy drodze ludzie odsunęli się szybko i lekliwie. Kilka kobiet uciekło na podwórze pobliskiego domu.

Ciocia Ifeoma była wyraźnie rozbawiona, ale spojrzała na nas i po angielsku powiedziała:

– Nie patrzcie, dziewczęta. Zróbcie dziadkowi przyjemność.

Amaka już odwróciła głowę. Ja też popatrzyłam w drugą stronę, na tłoczących się wokół samochodu ludzi. Uczestniczyłam w pogańskiej maskaradzie: to grzech. Ale uczestniczyłam bardzo krótko, więc może – technicznie rzecz biorąc – nie uczestniczyłam wcale.

– To nasz *agwonatumbe* – powiedział z dumą Papa-Nnukwu, gdy *mmuo* już przeszedł. – Najpotężniejszy *mmuo* w okolicy, dlatego wszystkie pobliskie wsie boją się Abba jak ognia. W zeszłym roku *agwonatumbe* podniósł na festynie laskę i to wystarczyło, pozostali *mmuo* od razu uciekli, nie zaczęli nawet, żeby zobaczyć, co się stanie!

– Popatrzcie! – Obiorą wskazał kolejnego *mmuo*. Szedł drogą i wyglądał jak płynąca w powietrzu biała płachta, płaska, wyższa niż wielkie drzewa awokado na naszym podwórzu. Na jego widok Papa-Nnukwu mruknął coś pod nosem. Czułam się niesamowicie. Patrzyłam na białego *mmuo* i myślałam o biegnących krzesłach, o ich zderzających się ze sobą nogach, o koszach, w których można nosić wodę, i o zmorach w kształcie człowieka wyłazających z mrówczych norek.

– Jak oni to robią, Papa-Nnukwu? – spytał Jaja. – Jak się w to wciskają?

– Ciii! To są *mmuo*, to są duchy! Gadasz jak baba! – warknął dziadek, piorunując go wzrokiem.

Ciocia Ifeoma roześmiała się i po angielsku powiedziała:

– Jaja, nie wolno mówić, że pod tymi maskami kryją się ludzie. Nie wiedziałeś?

– Nie – odrzekł Jaja.

Ciocia spojrzała na niego przez ramię.

– Nie przechodziłeś *ima mmuo*, prawda? Obiorą przeszedł inicjację dwa lata temu, w rodzinnym mieście swego ojca.

– Janie – wymamrotał Jaja.

Popatrzyłam na niego, zastanawiając się, czy ten cień w jego oczach to wstyd. I nagle zrobiło mi się go żal, nagle zapragnęłam, żeby przeszedł *ima mmuo*, żeby wtajemniczono go w świat duchów. Niewiele o tej ceremonii wiedziałam; kobiety nie miały do tego prawa, ponieważ był to pierwszy

krok do męskości. Ale Jaja mówił mi kiedyś, że chłopcy dostawali wtedy chłostę i musieli się kąpać na oczach szydzącego z nich tłumu. O ima *mmuo* Tata powiedział raz tylko tyle, że chrześcijanie, którzy pozwalają uczestniczyć w niej swoim synom, nie wiedzą, co robią, że skończą w piekle.

Niedługo potem odjechaliśmy. Najpierw ciocia Ifeoma podrzuciła do domu sennego Papa-Nnukwu; jego zdrowe oko było na wpół zamknięte, ale to ślepnące cały czas pozostawało otwarte, a przesłaniające go bielmo było teraz chyba mniej przezroczyste i wyglądało jak skondensowane mleko. Potem pojechaliśmy do nas i gdy zatrzymaliśmy się na dziedzińcu, ciocia spytała swoje dzieci, czy chcą wstąpić do domu. Amaka odparła, że nie, i powiedziała to bardzo głośno, chyba po to, żeby jej bracia też tak powiedzieli. Ciocia odprowadziła nas, pomachała Tacie, który właśnie prowadził jakąś naradę, i wyściskała nas na pożegnanie.

Tej nocy śniło mi się, że się śmieję, ale chyba nie był to mój śmiech, chociaż z drugiej strony nie wiedziałam, jak mój śmiech brzmi. Ten ze snu przypominał gardłowy, jazgotliwy i serdeczny śmiech cioci Ifeomy.

Na świąteczną mszę Tata zawiózł nas do Świętego Pawła. Gdy wjechaliśmy na wielki kościelny dziedziniec, ciocia i jej dzieci właśnie wsiadały do samochodu. Zaczekali, aż Tata zaparkuje mercedesa, i podeszli się przywitać. Ciocia powiedziała, że byli na wcześniejszej mszy i że przyjdą do nas na obiad. W czerwonej zawijce i butach na wysokim obcasie zdawała się jeszcze wyższa niż poprzedniego dnia, jeszcze bardziej nieustraszona. Amaka miała na ustach jaskrawoczerwoną szminkę, taką samą jak ona, dlatego gdy powiedziała: „Wesołych świąt”, jej odsłonięte w uśmiechu zęby były bielsze niż zwykle.

Chociaż próbowałam skupić się na mszy, cały czas myślałam o tej szmince, cały czas zastanawiałam się, jak to jest, gdy przeciąga się nią po ustach. Było mi tym trudniej się skupić, że wygłaszający kazanie ksiądz, który w trakcie nabożeństwa mówił tylko w igbo, ani słowem nie wspomniał o ewangelii. Zamiast tego mówił o blasze cynkowej i cemencie.

– Myślicie, że przejadłem pieniądze na blachę, *okwia*?

– krzyczał, gwałtownie gestykułując i oskarżycielsko celując w nas palcem. – A ilu z was daje na kościół, *gbo*? Z czego zbudujemy plebanię, skoro nic nie dajecie? Myślicie, że blacha i cement kosztują dziesięć kobo?

Tata wolałby na pewno, żeby ksiądz mówił o czymś innym, o narodzinach

w żłobku, o pasterzach i gwieździe betlejemskiej; poznałam to po tym, że zbył kurczowo ścisnął mszał w rękach i za bardzo wiercił się w ławce. Siedzieliśmy w pierwszym rzędzie. Wskazując nam miejsce, kościelna w białej bawełnianej sukni z medalikiem Błogosławionej Dziewicy Maryi na piersi szepnęła, że pierwszy rząd jest zarezerwowany dla ważnych osobistości; po naszej lewej stronie siedział wódz Umeadi, jedyny mieszkaniec Abba, którego dom był większy od naszego, a po prawej Jego Królewska Wysokość, Igwe. Gdy przekazywaliśmy sobie znak pokoju, Igwe uściśnął Tacie rękę i powiedział:

– *Nno nu*, wpadnę do was później, żeby przywitać się, jak należy.

Po mszy poszliśmy z Tata na zbiórkę pieniędzy w wielofunkcyjnym budynku przy kościele. Zbierano datki na budowę nowej plebanii. Kościelna z czołem mocno przewiązanym białą chustą rozdawała obecnym broszurki ze zdjęciem starej, na którym niepewnym pociągnięciem długopisu ktoś wyrysował strzałki wskazujące miejsca, gdzie przeciekał dach i przeżarte przez termity futryny. Tata wypisał czek, wręczył go jej i powiedział, że nie chce przemawiać. Gdy prowadzący zbiórkę ogłosił zebranym, jak wysoki otrzymał datek, ksiądz wstał i zatańczył, rzucając głową to w prawo, to w lewo. Inni też wstali i wiwatowali tak głośno, że brzmiało to jak przetaczający się po niebie grzmot pod koniec pory deszczowej.

– Chodźmy – powiedział Tata, gdy prowadzący zbiórkę ogłosił wysokość kolejnego datku. Szedł do drzwi, uśmiechając się i machając ludziom, którzy wyciągali ręce, żeby dotknąć jego białej tuniki, jakby dotyk ten mógł wyleczyć ich z jakiejś choroby.

W domu na wszystkich fotelach i kanapach w salonie siedzieli goście; niektórzy przysiedli nawet na brzegu stołów i stolików. Gdy weszliśmy, wstali i zewsząd buchnęły okrzyki: „*Omelora!*” Tata ścisnął im rękę, obejmował i mówił: „Wesołych świąt” i „Niech cię Bóg błogosławi”. Ktoś zostawił otwarte drzwi, te na podwórzu za domem, i w całym pokoju wisiał ciężki sinawy dym, który zamazywał rysy twarzy. Z podwórza dochodziły głosy kobiet, które zawzięcie trajkocząc, rozlewały do mis zupę i gulasz na poczęstunek dla gości.

– Chodźcie – powiedziała Mama. – Przywitajcie się z nimi.

Gdy wyszliśmy na podwórzu i powiedzieliśmy: „*Nno, nu*, witajcie”, kobiety zaczęły klaskać w dłonie i głośno pohukiwać. W źle dopasowanych bluzkach, w przetartych podkoszulkach i chustkach na głowie, wszystkie wy-

glądały podobnie. Uśmiechały się takim samym uśmiechem, miały takie same, białe jak kreda zęby i taką samą, wysuszoną przez słońce skórę koloru łupin orzeszka ziemnego.

– *Nekene*, oto chłopiec, który odziedziczył bogactwa swojego ojca! – zawołała któraś, pohukując tak głośno, że jej usta ułożyły się w kształt wąskiego tunelu.

– Gdyby w naszych żyłach nie płynęła ta sama krew, sprzedałabym ci moją córkę – dodała druga; kucała przy palenisku, układając polana pod kotłem. Pozostałe wybuchnęły śmiechem.

– A dziewczynka jest jak dojrzałe *agboghoh* Niedługo jakiś młody, silny mężczyzna przyjdzie do nas z winem palmowym! – krzyknęła jeszcze inna. Była w brudnej, źle zawiązanej spódnicy i niosąc tacę z kawałkami smażonego kurczaka, powłóczyła skrajem po ziemi.

Mama objęła nas i powiedziała:

– Idźcie się przebrać. Zaraz przyjadą kuzyni.

Sisi nakryła na osiem osób, ustawiając na stole osiem dużych, brązowych talerzy i kładąc obok każdego zaprasowaną w trójkąt brązową serwetkę. Cio-cia Ifeoma przyjechała, gdy jeszcze się przebierałam. Jej donośny śmiech długo niósł się echem po całym domu i dopiero gdy zeszłam na dół, zdałam sobie sprawę, że śmiały się tak jej dzieci, moi kuzyni. Mama, która wciąż miała na sobie bogato zdobioną cekinami różową spódnicę, tę do kościoła, siedziała z cicią na otomanie. Jaja, Amaka i Obiorą stali przy etażerze i rozmawiali. Idąc w ich stronę, zaczęłam regularnie oddychać, żeby się nie jąkać.

– To stereo, tak? – spytała Amaka, spoglądając łagodnie to na mnie, to na mojego brata. – Puścimy coś? A może i stereo wam się znudziło?

– Tak, stereo – odrzekł Jaja. Nie wspomniał, że nigdy nie puszczałyśmy żadnych płyt, że nawet o tym nie myślimy, że słuchamy jedynie dziennika radiowego w porze czasu dla rodziny. Amaka otworzyła szufladę z płytami. Obiorą stanął obok niej.

– Nic dziwnego, że niczego nie słuchacie – powiedziała. – Same nudy!

– Wcale nie – odparł Obiorą, przeglądając płyty i nieustannie poprawiając grube okulary; miał taki nawyk. W końcu puścił *O Come All Ye Faithful* w wykonaniu irlandzkiego chóru kościelnego. Płyta obracała się, a on, wyraźnie tym zafascynowany, stał i patrzył na nią, jakby chciał zbadać wnętrze chromowanego adaptera samym tylko wzrokiem.

Do salonu wszedł Chima.

– Mamusiu, jaką oni mają ładną łazienkę, taką z wielkimi lustrami i słoiczkami z kremem.

– Mam nadzieję, że niczego nie stłukłeś – odrzekła ciocia Ifeoma.

– Nie. Możemy włączyć telewizor?

– Nie. Zaraz przyjdzie wujek Eugene i siądziemy do stołu.

Pachnąc jedzeniem i przyprawami, weszła Sisi, by powiedzieć Mamie, że przyjechał Igwe i że Tata prosi nas wszystkich na dół. Mama wstała, poprawiła spódnicę i przepuściła przodem ciocię.

– Myślałam, że Igwe siedzi tylko w pałacu i przyjmuje gości. Nie wiedziałam, że kogoś odwiedza – powiedziała na schodach Amaka. – Przyjechał, bo wasz ojciec to gruba ryba, pewnie dlatego.

Wolałabym, żeby nazwała go wujkiem Eugene. I mówiąc, nawet na mnie nie spojrzała. Ilekroć na nią patrzyłam, czułam się tak bezradnie, jakbym patrzyła na bezcenny piasek przesypujący mi się przez palce.

Do pałacu Igwe można było dojść w parę minut. Raz u niego byliśmy, przed kilku laty. Ale tylko raz, bo Tata powiedział, że chociaż Igwe się nawrócił, jego pogańscy krewni wciąż składają w jego pałacu ofiary pogańskim bożkom i że on na to pozwala. Mama powitała go wtedy w tradycyjny sposób, tak jak kobieta wita dostojnika, pochylając się nisko, żeby mógł klepnąć ją w plecy wachlarzem z miękkiego zwierzęcego ogona koloru słomy. Potem, wieczorem tego samego dnia, Tata powiedział, że to grzech. Ze człowiek nie powinien kłaniać się tak innemu człowiekowi. Ze to bezbożna tradycja. Więc kilka dni później, gdy pojechaliśmy odwiedzić biskupa w Awka, nie przyklekłam, żeby ucałować jego pierścień. Chciałam, żeby Tata był ze mnie dumny. Ale on wytargał mnie w samochodzie za ucho i powiedział, że brakuje mi wyczucia: biskup był sługą bożym, a Igwe tylko zwyczajowym władcą.

– Dzień dobry panu, *nno* – powiedziałam, gdy zeszliśmy na dół.

Igwe uśmiechnął się i zafalowały mu włosy sterczące z szerokiego nosa.

– Nasza córeczka, *kedu*?

Uprzątnięto jeden z mniejszych salonów, specjalnie dla niego, jego żony i czterech pomocników, z których jeden cały czas wachlował go połączanym wachlarzem, chociaż włączyliśmy klimatyzator. Drugi pomocnik wachlował jego żonę, kobietę o żółtawej skórze: na szyi miała mnóstwo złotych łańcuchów i łańcuszków, złotych wisiorów, paciorków i koralików. Szeroka chustka na jej głowie sterczała do góry jak wielki liść bananowca i pomyślałam, że ktoś, kto siedziałby za nią w kościele, musiałby wstać, żeby zobaczyć ołtarz.

Patrzyłam, jak ciocia Ifeoma przyklęka na jedno kolano, jak pozdrawia go donośnym, pełnym szacunku głosem i jak Igwe klepie ją wachlarzem w plecy. W blasku popołudniowego słońca skrzyły się złote cekiny na jego tunice. Amaka też się mu pokłoniła. Mama, Jaja i Obiorą uściśniły mu dłoń, z szacunkiem ujmując ją obiema rękami. Ja zostałam w drzwiach, żeby Tata widział, że nikomu nie zamierzam się kłaniać.

Potem Mama i ciocia poszły do pokoju Mamy. Chima i Obiorą grali na dywanie w karty, które Obiorą znalazł w swojej kieszeni. Amaka chciała zobaczyć książkę, którą Jaja przywiózł z domu, i poszli razem do jego pokoju. Usiadłam na sofie, żeby popatrzeć, jak chłopcy grają. Nie rozumiałam tej gry, nie wiedziałam nawet, dlaczego to jeden, to drugi krzyczy co chwila: „Dureń!” i wybuchają śmiechem. Płyta się skończyła. Wstałam, wyszłam na korytarz i przystanąłam przed drzwiami do pokoju Mamy. Chciałam tam wejść i posiedzieć z nimi, ale nie weszłam. Stałam i słuchałam. Mama mówiła szeptem, coś, że w fabryce jest mnóstwo butli. Pewnie próbowała namówić ciocię, żeby porozmawiała z Tatą.

Ciocia też mówiła szeptem, ale ją słyszałam bardzo dobrze. Jej szept był taki jak ona, głośny, nieustraszony, donośny, pełen werwy i rozmachu.

– Zapomniałaś już, że przed śmiercią Ifediora chciał kupić mi samochód? Ale pod warunkiem, że wstąpimy do joannitów. Chciał, żebyśmy posłali Amakę do szkoły zakonnej. Zażądał nawet, żebym przestała się malować! Tak, chcę mieć nowy samochód, *rnuunye m*, chcę znowu gotować na kuchence gazowej, chcę mieć nową lodówkę i pieniądze, żebym nie musiała pruć i podłuzać spodni Chima, kiedy z nich wyrośnie. Ale żeby to wszystko mieć, nie zamierzam całować go w tyłek.

– Ifeomo, gdybyś tylko...

– Wiesz, dlaczego Ifediora i Eugene nie mogli się dogadać? – Znowu szept cioci, jeszcze bardziej zawzięty i głośniejszy niż przedtem. – Bo Ifediora zawsze mówił mu prosto w oczy to, co czuł. Nie bał się mówić prawdy. A Eugene odrzuca prawdy, które mu nie pasują. Nasz ojciec umiera. Słyszysz? Umiera. Jest już stary, ile jeszcze mu zostało, *gbo*? Mimo to Eugene nie wpuszcza go do domu, nie chce się nawet z nim przywitać. *Ojoka!* Musi przestać pomagać Bogu. Bóg poradzi sobie sam. Jeśli osądzi naszego ojca za to, że żył życiem swoich przodków, niechaj będzie to osąd boski, a nie jego.

Mama coś powiedziała, ale usłyszałam tylko jedno słowo: *ummuna*. Ciocia

roześmiała się gardłowo.

– Dobrze wiesz, że te baby, że chyba wszyscy mieszkańcy Abba mówią mu tylko to, co chce usłyszeć. Masz ich za głupców? Czy ktoś ugryzie rękę, która go karmi?

Z pokoju Jaja wyszła Amaka, ale usłyszałam ją dopiero wtedy, gdy poczułam na karku jej oddech; pewnie dlatego, że korytarz był szeroki.

– Co robisz?

Aż podskoczyłam.

– Nic.

Patrzyła na mnie. Tak dziwnie, prosto w oczy.

– Wasz ojciec przyszedł już na obiad – powiedziała w końcu.

Tata zaczekał, aż wszyscy usiądziemy, i rozpoczął modlitwę. Trwała trochę dłużej niż zwykle, bo ponad dwadzieścia minut, a gdy w końcu powiedział: „Poprzez Pana naszego Jezusa Chrystusa”, odpowiedzieliśmy: „Amen”, z tym że „Amen” cici Ifeomy było najgłośniejsze.

– Chciałeś, żeby ryż nam ostygł czy co? – mruknęła.

Ale Tata dalej rozkładał serwetkę, jakby jej nie usłyszał.

Pokój wypełniło pobrzękiwanie widelców i łyżek do nakładania jedzenia. Sisi zaciągnęła zasłony i zapaliła światło, chociaż było dopiero popołudnie. W żółtawym blasku żyrandola oczy Obiory nabrały barwy ciemnego złota albo wyjątkowo słodkiego miodu. Chociaż szumiał klimatyzator, było mi gorąco.

Amaka nałożyła sobie niemal wszystkiego – ryżu, *fufu*, smażonego kurczaka, wołowiny, sałatki, śmietany, nałała nawet dwóch rodzajów zup – jak ktoś, kto wie, że nieprędko będzie tak jadł. Liście sałaty zwisały z talerza aż na stół.

– Zawsze jecie ryż sztućcami? I zawsze używacie serwetek? – spytała.

Kiwnęłam głową i wbiłam wzrok w ryż. Wolałabym, żeby mówiła ciszej. Nie przywykłam do takich rozmów przy stole.

– Eugene – powiedziała ciocia. – Musisz puścić do mnie dzieci. Nie mamy wielkiego domu, ale poznają przynajmniej swoich kuzynów.

– Jaja i Kambili nie lubią wyjeżdżać – odparł Tata.

– Bo nigdy nie wyjeżdżali. Na pewno spodoba im się w Nsukka. Jaja, Kambili, chcielibyście nas odwiedzić?

Wymamrotałam coś do talerza i zaczęłam kaszleć, jakbym nie mogła mówić.

– Jeśli Tata się zgodzi, to tak – odrzekł Jaja. Tata uśmiechnął się do niego i pożałowała, że to nie ja to powiedziałam.

– Może w następne święta – rzekł stanowczo Tata. Myślał, że ciocia Ifeoma zrezygnuje.

– Eugene, *biko*, pozwól im spędzić u nas chociaż tydzień. Do szkoły idą dopiero pod koniec stycznia. Niech twój szofer ich przywiezie.

– *Ngwanu*, zobaczymy – oparł Tata. Po raz pierwszy powiedział coś w igbo, marszcząc przy tym czoło tak mocno, że prawie zetknęły mu się brwi.

– Ifeoma mówi, że właśnie odwołali strajk – powiedziała Mama.

– Polepszyło się tam u was? – spytał Tata, przechodząc na angielski. – Uniwersytet żyje dzisiaj minioną chwałą.

Ciocia zmrużyła oczy.

– Czy kiedykolwiek podniosłeś słuchawkę telefonu, żeby zadać mi to pytanie? Czy ręka by ci uschła, gdybyś któregoś dnia zadzwonił do rodzonej siostry, *gbo*? – Mówiła w igbo, z szyderyczym zaśpiewem, ale słysząc twardość jej głosu, poczułam, że ściska mnie w żołądku.

– Dzwoniłem do ciebie.

– Tak? Kiedy? Pytam cię, kiedy ostatnio do mnie dzwoniłeś? – Ciocia odłożyła widelec. Przez długą, pełną napięcia chwilę siedziała zupełnie nieruchomo, tak samo jak Tata, jak my wszyscy. W końcu Mama odchrząknęła i spytała, czy wypiliśmy już cały sok.

– Tak – odrzekł Tata. – Każ jej przynieść kilka butelek.

Mama wstała, żeby zadzwonić po służącą. Smukłe butelki, które przyniosła Sisi, wdzięcznie przewężone, niczym szczupłe, kształtne kobiety, wyglądały jak butelki szlachetnego trunku. Tata rozlał do szklanek sok i wzniosł toast.

– Za ducha święt Bożego Narodzenia i na chwałę Pana naszego.

Powtórzyliśmy to chórem, Obiorą ze wznoszącą się intonacją, tak że wypadło to jak pytanie: „Na chwałę Pana naszego?”

– I za nas, za ducha rodziny – dodała ciocia Ifeoma.

– Ten sok jest z twojej rozlewni, wujku? – spytała Amaka, mrużąc oczy, żeby przeczytać napis na naklejce.

– Tak – odrzekł Tata.

– Jest trochę za słodki. Gdyby dać mniej cukru, byłby smaczniejszy. – Amaka powiedziała to grzecznie, normalnie, jak podczas rozmowy z kimś

starszym. Nie byłam pewna, czy Tata kiwnął głową, czy tylko poruszył nią, żując jedzenie. Teraz z kolei ścisnęło mnie w gardle i nie mogłam przełknąć ryżu. Sięgając po szklanę, przewróciłam ją i zalałam koronkowy obrus czerwonym jak krew sokiem. Mama szybko przykryła płamę serwetką, a kiedy ją podniosła, przypomniała mi się jej krew na schodach.

– Słyszałeś o Aokpe, wujku? – spytała Amaka. – To maleńka wioska w Benue. Objawia się tam Błogosławiona Dziewica. Jak ona to robi, myślałam, jak może tak po prostu otwierać usta i mówić?

Tata pozuł jeszcze trochę, wreszcie przełknął.

– Tak, słyszałem – odparł.

– Chcemy pojechać tam na pielgrzymkę – powiedziała ciocia Ifeoma. – Może Kambili i Jaja pojedą z nami?

Zaskoczona Amaka podniosła wzrok. Zaczęła coś mówić, ale urwała.

– Kościół nie potwierdził autentyczności tych objawień – powiedział Tata, patrząc w zadumie w talerz.

– Zanim potwierdzi, wszyscy zdążymy pomrzeć – odrzekła ciocia. – A nawet jeśli uzna, że objawienia są nieprawdziwe, ważne jest to, dlaczego tam jedziemy, a jedziemy, kierując się wiarą.

Zupełnie nieoczekiwanie słowa te sprawiły Tacie wyraźną przyjemność. Powoli skinął głową i spytał:

– Kiedy chcecie jechać?

– W styczniu, zanim rozpocznie się szkoła.

– Dobrze. Po powrocie do Enugu zadzwonię do ciebie, wszystko omówimy, i Jaja i Kambili przyjadą do was na parę dni.

– Na tydzień, Eugene, na tydzień. W naszym domu nie ma potworów, które odgryzają ludziom głowy! – Ciocia roześmiała się, jej dzieci też, gardłowo i serdecznie, tak jak ona, i zęby błysnęły im w ustach niczym jądro rozłupanego orzecha palmowego. Tylko Amaka się nie śmiała.

Nazajutrz była niedziela. Ale zupełnie się tego nie odczuwało, może dlatego, że pierwszego dnia świąt byliśmy w kościele. Mama weszła do sypialni, delikatnie potrząsnęła mnie za ramię i poczułam zapach jej miętowego dezodorantu.

– Dobrze spałaś? Idziemy na wcześniejszą mszę, bo zaraz potem ojciec ma spotkanie. *Kunie*, idź do łazienki, już po siódmej.

Ziewnęłam i usiadłam. Na prześcieradle widniała czerwona plama, szeroka jak otwarty zeszyt.

– Masz okres – powiedziała Mama. – Zabrałaś podpaski?

– Tak.

Szybko ochlapałam się wodą i wyszłam spod prysznica, żeby się nie spóźnić. Tego dnia wybrałam biało-niebieską sukienkę i niebieską chustkę. Chustkę zawiązałam dwa razy na karku i wetknęłam pod nią końce warkoczy. Raz Tata przytulił mnie z dumą i pocałował w czoło, bo ksiądz Benedykt powiedział mu, że na mszy miałam dobrze przykryte włosy, że nie jestem jak inne dziewczęta, które nie wiedzą, że pokazywanie włosów w kościele jest bezbożne.

Mama i Jaja czekali już w salonie. Miałam silne skurcze i czułam się tak, jakby ktoś siedział mi w brzuchu i rytmicznie wgryzał się zębami w żołądek.

– Mamo, masz panadol?

– Boli, *abia*?

– Tak. I nic nie jadłam.

Mama zerknęła na ścienny zegar, dar od jakiejś fundacji charytatywnej, taki owalny, z nazwiskiem Taty wypisanym wypukłymi, złotymi literami. Była siódma trzydzieści siedem. Post eucharystyczny nakazywał, żeby na godzinę przed mszą wierni nie spożywali stałego pokarmu. Zawsze tego przestrzegaliśmy i chociaż na stole stały już filiżanki i miseczki, do śniadania mieliśmy usiąść dopiero po powrocie z kościoła.

– Zjedz trochę płatków, szybko – powiedziała Mama niemal szeptem. – Inaczej panadol nie podziała.

Jaja nalał do miseczki mleka z kartonu, dodał mleka w proszku, łyżeczkę cukru i trochę wody. Miseczka była przezroczysta, więc widziałam, jak na jej dnie osiadają kredowe kłaczkę.

– Tata ma gości – powiedział. – Usłyszemy, jak będzie wchodził na górę.

Zaczęłam zachłannie jeść, tak na stojąco. Mama dała mi panadol w srebrzystej folii, która głośno zatrzeszczała, gdy ją rozdarłam. Mleka było mało i już kończyłam jeść, gdy wtem otworzyły się drzwi i wszedł Tata.

Jego biała koszula, choć idealnie skrojona i dopasowana, nie potrafiła zamaskować wielkiego brzucha. On patrzył na szklaną miseczkę w moich rękach, a ja, spoglądając na pływające w resztkach mleka rozmokłe płatki, zastanawiałam się, jakim cudem nadszedł tak bezszelestnie.

– Co ty robisz, Kambili?

Z trudem przełknęłam ślinę.

– Ja... ja...

– Jesz na dziesięć minut przed mszą? Na dziesięć minut przed mszą?!

– Dostała okresu, ma bóle... – zaczęła Mama.

– Kazałem jej zjeść płatki, żeby mogła wziąć panadol – przerwał jej Jaja. – Sam jej zrobiłem.

– Diabeł was opętał? – Wypowiedziane w igbo słowa buchały mu z ust jak lawa. – Diabeł koczuje w moim domu? – Spojrzał na Mamę. – A ty spokojnie siedzisz i patrzysz, jak twoja córka bezcześci święty post, *maka nnidi*?

Powoli rozpiął pas, taki gruby, z kilku warstw brązowej skóry, z gładką skórzaną klamrą. Najpierw uderzył Jaja w bark. Gdy uderzył ponownie, Mama podniosła ręce i trafił ją w ramię osłonięte bufiastym, obszytym cekinami rękawem bluzki. Ja dostałam w plecy i odstawiłam miseczkę. Czasami widywałam nomadów Fulani w białych dzellabach, które trzepotały na wietrze i owijały im się wokół nóg, gdy głośno cmokając językiem, pędzili krowy przez Egnu. Poganiali je szybkimi, precyzyjnymi uderzeniami różeg. Bijąc nas pasem, mamrocząc, że diabeł go nie pokona, Tata, choć niższy i cięższy od nich, był dokładnie taki sam jak oni, jak ci nomadzi. Skórzany pas ze świstem przecinał powietrze, ale my nie odsunęliśmy się dalej niż na dwa kroki. Wreszcie pas znieruchomiał i Tata spuścił głowę. Skurczyła mu się twarz, opadły powieki.

– Dlaczego ulegacie grzechowi? – spytał. – Dlaczego tak go lubicie?

Mama zabrała mu pas i położyła go na stole.

Tata objął mnie i brata, i przytulił nas ze wszystkich sił.

– Zraniłem was? Skaleczyłem? – pytał, przypatrując się naszym twarzom.

Bolały mnie plecy, ale powiedziałam, że nie, że nic mi nie jest. Mówiąc o uleganiu grzechowi, Tata zawsze kręcił głowę, jakby przygniatał go jakiś ciężar, coś, czego nie mógł zrzucić z barków.

Poszliśmy na późniejszą mszę. Ale najpierw przebraliśmy się, nawet on, i obmyliśmy sobie twarze.

Wyjechaliśmy zaraz po Nowym Roku. Kobiety zabrały resztki jedzenia, nawet ugotowany ryż i fasolę, według Mamy, już zepsutą, i uklęły na podwórzu, żeby podziękować za wszystko naszym rodzicom. Gdy przejeżdżaliśmy przez bramę, odźwierny machał nam obiema rękami. Miał na imię Haruna i kilka dni wcześniej z silnym akcentem hausa, zastępując głoskę „f” głoską „p”, powiedział nam po angielsku, że nasz „pather” jest największym człowiekiem, jakiego zna, najlepszym „emfloyerem”, jakiego kiedykolwiek

miał. Czy wiemy, że nasz „pather faid pees” za szkołę jego dzieci? Ze załatwił jego „wipe” pracę gońca w biurze rady miejskiej? Taki „pather” to prawdziwe szczęście.

Gdy wjechaliśmy na szosę, Tata zaczął odmawiać różaniec. Niecałe pół godziny później natrafiliśmy na blokadę i utknęliśmy w korku. Ruchem kierowali policjanci; było ich więcej niż zwykle i cały czas wymachiwali bronią. Okazało się, że nie jest to zwykła blokada, tylko wypadek, chociaż sczeplone ze sobą samochody zobaczyliśmy dopiero w połowie korka. Jeden zatrzymał się na punkcie kontrolnym, a drugi na niego wpadł. Wpadł i zmiażdżyło go do tego stopnia, że ten pierwszy był teraz połowę krótszy. Na poboczu leżał zakrwawiony trup – mężczyzna w niebieskich džinsach.

– Niechaj jego dusza spoczywa w pokoju. – Tata się przeżegnał.

– Nie patrzcie tam – powiedziała Mama.

Ale my już patrzyliśmy. Tata mówił o policjantach, o tym, że stawiają blokady w buszu – chociaż to niebezpieczne dla kierowców – żeby łatwiej im było ukryć pieniądze z łapówek i wymuszeń. Ale ja go nie słuchałam. Myślałam o martwym mężczyźnie w niebieskich džinsach. O tym, dokąd jechał i co zamierzał tam robić.

Tata zadzwonił do cioci Ifeomy dwa dni później. Może by nie zadzwonił, gdybyśmy tego dnia nie poszli do spowiedzi. I może wtedy nie pojechalibyśmy do Nsukka i nic by się nie zmieniło.

Było Trzech Króli, święty dzień Objawienia Pańskiego, więc Tata nie pojechał do pracy. Rano poszliśmy na mszę i chociaż tego dnia zwykle nie odwiedzamy księdza Benedykta, po nabożeństwie poszliśmy na plebanię. Tata chciał, żeby ksiądz nas wyspowiadał. Nie pojechalibyśmy do Abba, bo nie lubił spowiadać się w igbo, po za tym uważał, że ksiądz z Abba jest za mało uduchowiony. Na tym właśnie polega nasz problem, powiedział: poodwracaliśmy priorytety i w przeciwieństwie do białych, za bardzo zależy nam na wielkich kościołach i posągach.

Na plebanii Jaja, Mama i ja usiedliśmy w salonie, i podczas gdy on rozmawiał z księdzem w gabinecie, przeglądaliśmy gazety i czasopisma, rozłożone jak na sprzedaż na niskim stoliku do kawy. Niedługo potem wyszedł i kazał nam przygotować się do spowiedzi; on miał iść pierwszy. Poszedł i mimo że dobrze zamknął za sobą drzwi, słyszałam jego głos, słowa zlewające się ze sobą w monotony pomruk, jak cichy warkot silnika. Potem poszła Mama,

ale chociaż drzwi były lekko uchylone, nie słyszałam, jak mówi. Jaja spowiadał się najkrócej. Gdy wyszedł – wychodząc, przeżegnał się szybko, jakby chciał stamtąd uciec – spytałam go wzrokiem, czy nie zapomniał wypowiadać się z tego, że skłamał dziadkowi, a on kiwnął głową. Weszłam do gabinetu, w którym ledwo mieściło się biurko i dwa krzesła, i dobrze zamknęłam za sobą drzwi.

– Poblógosław mnie, ojcze, bo zgrzeszyłam – powiedziałam, siadając na brzegu krzesła. Brakowało mi konfesjonału, poczucia bezpieczeństwa, jakie miałam w drewnianej budce ze spowiednikiem za zieloną zasłoną. Najpierw miałam ochotę uklęknąć, a zaraz potem zasłonić sobie twarz papierową teczką z biurka. Spowiadanie się twarzą twarz z księdzem zawsze kojarzyło mi się z Dniem Sądu Ostatecznego i zawsze wtedy czułam, że jestem nieprzygotowana.

– Mów, Kambili – powiedział ksiądz Benedykt; siedział prosto na krześle, bawiąc się fioletową stułą.

– Ostatni raz byłam u spowiedzi świętej trzy tygodnie temu – zaczęłam, wbijając wzrok w ścianę, tuż poniżej oprawionego w ramki zdjęcia papieża z niewyraźnym podpisem na dole. – Od tamtego czasu obraziłam Pana Boga następującymi grzechami: dwa razy skłamałam. Raz złamałam nakaz postu eucharystycznego. Trzy razy zdekoncentrowałam się, odmawiając różaniec. Więcej grzechów nie pamiętam, za wszystkie serdecznie żałuję, obiecuję poprawę i proszę cię, ojcze, o rozgrzeszenie.

Ksiądz Benedykt poruszył się na krześle.

– Mów dalej, Kambili, dalej. Dobrze wiesz, że nie wolno niczego zatajać, że to grzech przeciwko Duchowi Świętemu.

– Tak, ojcze.

– W takim razie mów.

Popatrzyłam na niego. Miał zielone oczy jak wąż, którego widziałam kiedyś pod hibiskusami. Ogrodnik powiedział, że to niegroźny wąż ogrodowy.

– Kambili, musisz wyznać wszystkie grzechy.

– Wiem, ojcze, już je wyznałam.

– Niedobrze jest ukrywać coś przed Panem Bogiem. Dam ci chwilę do namysłu.

Kiwnęłam głową i znowu wbiłam wzrok w ścianę. Czyżbym zrobiła coś, o czym on wie, a ja nie? Tata mu coś powiedział?

– Byłam w domu dziadka dłużej niż piętnaście minut – odparłam w końcu.

– Dziadek jest poganinem.

– Czy jadłaś tam jedzenie poświęcone bożkom?

– Nie, ojcze.

– Czy uczestniczyłaś w pogańskich obrządkach?

– Nie, ojcze. – Zawahałam się. – Ale widziałam *mmuo*. Na festynie.

– Podobali ci się?

Patrzyłam na zdjęcie i zastanawiałam się, czy naprawdę podpisał je sam papież.

– Tak, ojcze.

– Ale rozumiesz, że czerpanie radości z pogańskich rytuałów jest złem, ponieważ narusza pierwsze przykazanie. Pogańskie obrządki są ciemnymi przesadami i bramą do piekła. Rozumiesz to, prawda?

– Tak, ojcze.

– Jako pokutę odmówisz dziesięć razy Ojcie Nasz, sześć razy Zdrowaś Mario i raz Wierzę w Boga. I musisz zrobić świadomy wysiłek, żeby nawrócić wszystkich tych, którym podobają się pogańskie zwyczaje.

– Tak, ojcze.

– Dobrze. Odmów Akt Skruchy.

Ja wyrecytowałam Akt Skruchy, a on wymruczał błogosławieństwo i zrobił znak krzyża.

Gdy wyszłam, Mama i Tata siedzieli na sofie z pochylonymi głowami. Usiadłam obok brata i też pochylałam głowę, żeby odprawić pokutę.

W drodze do domu jak zwykle słuchaliśmy *Ave Maria* i Tata musiał mówić bardzo głośno.

– Jestem czysty jak łza, wszyscy jesteście czysti. Jeśli Bóg wezwie nas teraz do siebie, pójdziemy prosto do nieba. Prosto do nieba. Nie będziemy musieli iść do czyścica. – Miał jasne oczy i uśmiechał się, lekko bębniąc palcami w kierownicę.

Nie przestał się uśmiechać nawet wtedy, gdy przed herbatą zadzwonił do cioci Ifeomy.

– Rozmawiałem z księdzem Benedyktem. Ksiądz uważa, że dzieci mogą pojechać na pielgrzymkę do Aokpe, ale musisz im wyraźnie powiedzieć, że wszystko to, co się tam dzieje, nie zostało potwierdzone przez Kościół. – Słuchał przez chwilę. – Mój szofer ich przywiezie. – Znowu krótka pauza. – Jutro? To za wcześnie. Pojutrze. – Kolejna pauza, tym razem dłuższa. – No dobrze. Niech Bóg błogosławi cię i twoje dzieci. Do widzenia.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na nas.

– Pojedziecie jutro, więc idźcie się spakować. Weźcie rzeczy na pięć dni.

– Tak, Tato – odrzekliśmy razem.

– Może, *anam asi* – wtrąciła Mama – nie powinni jechać z pustymi rękami?

Tata popatrzył na nią jakby zdziwiony, że w ogóle się odezwała.

– Tak, oczywiście. Zabiorą trochę jedzenia, ryżu i jamu.

– Ifeoma wspomniała, że w Nsukka nie można dostać butli gazowych.

– Butli gazowych?

– Tak, do gotowania. Używa teraz starej kuchenki naftowej. Pamiętasz tę historię z naftą, do której dolewali wody? Kuchenki wybuchały, ginęli ludzie. Pomyślałam, że może dasz jej ze dwie butle z fabryki.

– Prosiła cię o to?

– *Kpa*, to tylko sugestia. Sam zdecydujesz.

Przez chwilę Tata badał wzrokiem jej twarz.

– Dobrze – odrzekł w końcu i popatrzył na nas. – Idźcie się spakować. Możecie skrócić czas na naukę o dwadzieścia minut.

Powoli wchodziliśmy na górę. Zastanawiałam się, czy bratu burczy w brzuchu tak samo jak mnie. Po raz pierwszy w życiu mieliśmy spać poza domem, bez Taty.

– Chcesz tam jechać? – spytałam na półpiętrze.

– Tak – odparł i po jego oczach poznałam, że naprawdę chce. Nasz wzrokowy język był za ubogi i nie mogłam znaleźć w nim słów, które powiedziałyby mu, jak bardzo ściska mnie w gardle na myśl o pięciu dniach bez głosu Taty, bez jego kroków na schodach.

Nazajutrz rano Kevin przywiózł z fabryki dwie butle gazowe i włożył je do bagażnika samochodu razem z woreczkami ryżu i fasoli, jamem, kiściami bananów i ananasami. Czekałam z bratem przy hibiskusach. Ogrodnik wyrównywał bugenwille, przycinając niesfornie sterczące kwiaty. Przedtem grabił pod uroczynami i na ziemi leżały kupki martwych liści i różowych kwiatów, które miał wywieźć taczka.

– Tu jest wasz plan dnia na pobyt w Nsukka – powiedział Tata. Kartka papieru, którą wcisnął mi do ręki, wyglądała podobnie jak ta ze ściany nad biurkiem na górze, z tym że na tej dopisał ołówkiem dwie godziny na „czas z kuzynami”. – Nie obowiązuje was tylko w dniu wyjazdu z ciotką do Aokpe. –

Drżącymi ramionami objął najpierw Jaja, potem mnie. – Nigdy dotąd nie zostawiałem was na dłużej niż dwa dni.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, ale brat kiwnął głową i odrzekł:

– Zobaczymy się za tydzień.

– Jedź ostrożnie, Kevin. Rozumiesz? – rzekł Tata, gdy już wsiedliśmy.

– Tak, proszę pana.

– W drodze powrotnej weź benzynę na Dziewiątej Mili. Tylko nie zapomnij o rachunku.

– Dobrze, proszę pana.

Wtedy Tata poprosił, żebyśmy wysiedli. Ponownie objął nas, pogłaskał po karku i poprosił, żebyśmy nie zapomnieli odmówić całego różańca podczas podróży. Mama też nas objęła i wreszcie ruszyliśmy.

– Tata ciągle nam macha – powiedział Jaja, gdy skręciliśmy w stronę bramy; patrzył w górne lustro.

– Płacze – dodałam.

– Ogrodnik też macha – rzucił Jaja, jakby mnie nie usłyszał. Wyjęłam z kieszeni różaniec, pocałowałam krzyżyk i zaczęłam się modlić.

Patrzyłam w okno i liczyłam szerniałe wraki samochodów na poboczu, z których dużo stało tam tak długo, że pokrywała je czerwona rdza. Myślałam o jadących nimi ludziach, o tym, co czuli tuż przed wypadkiem, tuż zanim roztrzaskało się szkło, zazgrzytał metal i buchnęły płomienie. Nie mogłam skupić się na cudownych tajemnicach różańca i wiedziałam, że Jaja też nie może, bo ciągle zapominał, kiedy ma zacząć swoją dziesiątkę. Czterdzieści minut po wyjeździe z domu zobaczyłam tablicę z napisem UNIWERSYTET NIGERYJSKI W NSUKKA i spytałam Kevina, czy to już tu.

– Nie – odparł. – Jeszcze kawałek.

Pod Opi – nazwę miasteczka odczytałam z pokrytych pyłem tabliczek wskazujących drogę do kościoła i szkoły – był policyjny punkt kontrolny. Prawie przez całą szerokość drogi ciągnął się rząd starych opon samochodowych i nabitych gwoździami kłód, tak że na przejazd został tylko wąski prześmyk. Gdy podjechaliśmy bliżej, jeden z policjantów dał nam znak, żebyśmy stanęli. Kevin jęknął. Potem zwolnił, otworzył schowek na mapy, wyjął dziesięć naira i rzucił banknot w jego stronę. Policjant teatralnie zsalutował, uśmiechnął się i przepuścił nas machnięciem ręki. Kevin nie zrobiłby tego, gdyby jechał z Tata. Ilekroć zatrzymywała ich policja albo żołnierze, Tata

długo okazywał im wszystkie dokumenty i pozwalał przeszukać samochód, robiąc wszystko, żeby tylko nie płacić łapówki. Nie możemy przykładać ręki do tego, z czym walczymy, mówił.

– Wjeżdżamy do Nsukka – powiedział Kevin kilka minut później.

Mijaliśmy rynek, zatłoczone przydrożne sklepiki z nielicznymi półkami, z których towary wysypywały się prawie na pobocze zastawione podwójnym rzędem samochodów, mijaliśmy handlarzy z tacami na głowie, motocyklistów, chłopców pchających taczki z jamem, kobiety z koszami, żebraków, którzy spoglądali na nas ze swoich mat i machali nam ręką. Kevin zwolnił; na środku jezdni pojawiły się nagle dziury i jechał teraz zygzakiem, za samochodem przed nami. Za rynkiem, gdzie nadgryziona przez erozję droga nieco się zwężała, na chwilę przystanął, żeby przepuścić inne samochody.

– Jesteśmy na uniwersytecie – powiedział wreszcie.

Górował nad nami szeroki łuk z czarnymi metalowymi literami układającymi się w napis UNIWERSYTET NIGERYJSKI W NSUKKA. Przed otwartą na oścież bramą stali strażnicy w ciemnobrązowych mundurach i takich samych беретach. Kevin zatrzymał samochód i opuścił szybę.

– Dzień dobry – powiedział. – Gdzie jest Marguerite Cartwright Avenue?

Strażnik stojący najbliżej miał twarz pomarszczoną jak wymięta sukienka.

– Jak się macie? – rzucił i odrzekł, że Marguerite Cartwright Avenue jest niedaleko, że musimy jechać prosto, skręcić w pierwszą ulicę w prawo i będziemy prawie na miejscu.

Kevin podziękował mu i ruszyliśmy. Wzdłuż drogi ciągnął się trawnik koloru szpinaku, a pośrodku trawnika stał czarny kamienny lew na tylnych łapach, taki z zakręconym do góry ogonem i wypiętą pierśią. Myślałam, że Jaja patrzy w drugą stronę, ale on też zobaczył lwa i przeczytał na głos napis na cokole.

– „Przywrócić godność człowiekowi”. – I jakbym tego nie wiedziała, dodał: – To dewiza uniwersytetu.

Marguerite Cartwright Avenue była wysadzana wysokimi drzewami. Wyobraziłam sobie, jak podczas burzy w porze deszczowej drzewa wyginają się i nachylają ku sobie, tworząc ciemny tunel. Bliźniaki z wyźwirowanymi podjazdami i tabliczkami z napisem UWAGA ZŁY PIES! szybko ustąpiły miejsca bungalowom z podjazdami, na których z trudem mieściły się dwa samochody, a te z kolei blokom mieszkalnym z pustymi placami zamiast podjazdu. Kevin jechał powoli, mrużąc pod nosem numer domu cioci Ifeomy, jakby

dzięki temu mógł go szybciej znaleźć. Ciocia mieszkała w czwartym bloku za bungalowami, wysokim, nijakim, obłożącym z niebieskiej farby budynku z antenami telewizyjnymi sterczącymi z werand i balkonów. Z każdej strony blok miał trzy mieszkania, a ciocia mieszkała na parterze po lewej. Od frontu, otoczony drutem kolczastym, buchał gejzer jaskrawych kolorów: okrągły ogródek, w którym róże, hibiskusy, lilie i liściaste krzewy rosły obok siebie jak malowany wieniec. Ciocia Ifeoma wyszła z domu w szortach, wycierając ręce w przód podkoszulka. Na kolanach miała bardzo ciemną skórę.

– Jaja! Kambili! – Ledwo wysiedliśmy, a ona już objęła nas oboje, przytuliła i mocno wyściskała.

– Dzień dobry pani – powitał ją Kevin i otworzył bagażnik.

– Och! Och! – ucieszyła się ciocia. – Czy Eugene myśli, że tu głodujemy? Nawet ryż nam przysłał?

– Oga prosił przekazać, że to gościniec – odrzekł z uśmiechem Kevin.

– A to co?! – wykrzyknęła ciocia, wciąż zaglądając do bagażnika. – Butle gazowe? Och, *nwunye m* nie powinna była zawracać sobie głowy. – Po czym odtańczyła krótki taniec, wymachując rękami, jakby wiosłowała, i mocno przytupując nogami.

Zadowolony z siebie Kevin patrzył na nią i zacierał ręce, jakby to on zrobił jej niespodziankę. Wyjął butlę z bagażnika i Jaja pomógł mu zanieść ją do mieszkania.

– Wasi kuzyni niedługo wrócą. Poszli złożyć życzenia urodzinowe księdzu Amadiemu; to nasz przyjaciel, duszpasterz. A ja gotuję. Na wasz przyjazd zabiłam nawet kurczaka! – Ciocia roześmiała się i znowu mnie przytuliła. Pachniała gałką muszkatołową.

– Gdzie to położyć? – spytał Kevin.

– Na werandzie. Amaka i Obiorą się tym zajmą.

Ciocia wprowadziła mnie do saloniku. Najpierw zauważyłam sufit, to, że jest bardzo niski. Gdybym wyciągnęła rękę, mogłabym chyba go dotknąć; jakże inaczej było w naszym domu, gdzie dzięki wysokim sufitom we wszystkich pomieszczeniach nie było duszno. Tutaj ostry zapach nafty mieszał się zapachem curry i gałki muszkatołowej z kuchni.

– Oj, ryż mi się przypali! – Ciocia zabrała rękę z mojego ramienia i pobiegła do kuchni.

Usiadłam na brązowej sofie. Miała wystrzępione, rozłazące się szwy. I była jedyną sofą w pokoju; tuż obok stały wyplatane trzcina krzesła z brązo-

wymi poduszkami na siedzeniu. Stół też był z trzciny i stał na nim orientalny wazon z malunkiem ubranej w kimono tancerki. Z wazonu strzelały w górę trzy długie róże, tak jaskrawoczerwone, że zastanawiałam się przez chwilę, czy nie są sztuczne.

– *Nne*, nie zachowuj się jak gość – powiedziała ciocia, wychodząc z kuchni. – Chodź, wejdź dalej.

Na ścianach krótkiego korytarza były szare drewniane półki, ciasno zastawione książkami. Miałam wrażenie, że gdyby dołożyć jeszcze jedną, od razu by się zawaliły. Wszystkie były czyste, więc albo dużo tu czytano, albo często odkurzano.

– To mój pokój – powiedziała ciocia, otwierając pierwsze drzwi. – Śpię tu z Chimą. – Pod ścianą za drzwiami stały worki z ryżem. Dalej taca z olbrzymimi puszkami mleka w proszku i bournvity, stolik z lampką do czytania, buteleczki z lekarstwami i książki. W drugim rogu jedna na drugiej leżały walizki. W sąsiednim pomieszczeniu stały dwa łóżka, tuż przy ścianie, bardzo blisko siebie, żeby zmieściły się tam przynajmniej trzy osoby; były też dwie toaletki, lustro, biurko i krzesło. Zastanawiałam się, gdzie będziemy spali – ciocia jakby czytała w moich myślach.

– Będiesz tu spała z Amaką, *nne* – powiedziała. – Obiorą śpi w saloniku, więc twój brat pójdzie do niego.

Weszli Kevin i Jaja.

– Już skończyliśmy – powiedział Kevin. – Muszę jechać. – Stał w saloniku, ale mieszkanie było tak małe, że nie musiał nawet głośniej mówić.

– Podziękuj ode mnie Eugeneowi. Powiedz mu, że u nas wszystko dobrze. I jedź ostrożnie.

– Tak, proszę pani.

Patrzyłam, jak Kevin wychodzi, i nagle ścisnęło mnie w piersi. Chciałam wybiec za nim, powiedzieć mu, żeby zaczekał, wziąć torbę i wskoczyć do samochodu.

– *Nne*, Jaja, chodźcie ze mną do kuchni. – Ciocia Ifeoma powiedziała to tak swobodnie, jakby nasze odwiedziny były czymś zupełnie normalnym, jakbyśmy często tu bywali. Jaja wszedł pierwszy i usiadł na niskim drewnianym taborecie. Ja stanęłam w drzwiach, bo kuchnia była bardzo ciasna i nie chciałam przeszkadzać cioci, która odławszy ryż do zlewu, zajrzała do garnków i zaczęła rozcierać pomidory w moździerzu. Błękitne kafelki na ścianach były zniszczone i poobijane na rogach, za to czyściutkie, podobnie jak garnki

z niepasującymi, zapadającymi się do środka pokrywkami. Na drewnianym stoliku pod oknem stała kuchenka naftowa. Sąsiadujące z oknem ściany i przetarte zasłony poszarzały od dymu. Ciocia postawiła ryż na kuchence i zaczęła kroić czerwoną cebulę. Nie przestawała mówić i co chwila śmiała się tym swoim hałaśliwym śmiechem. Śmiała się i jednocześnie płakała od cebuli, często wycierając oczy wierzchem dłoni.

Kilka minut później przyszli moi kuzyni. Wyglądali tak jakoś inaczej, może dlatego, że pierwszy raz widziałam ich w rodzinnym domu, a nie w Abba, gdzie byli gośćmi Papa-Nnukwu. Wchodząc, Obiorą zdjął przeciwsłoneczne okulary i schował je do kieszeni szortów. Zobaczył mnie i się roześmiał.

– Jaja i Kambili przyjechali! – zapiszczał Chima.

Objęliśmy się na powitanie, ale tylko tak krótko.

Amaka ledwo się o mnie otarła i natychmiast się cofnęła. Miała umalowane usta, tym razem jaśniejszym odcieniem czerwieni, i była w sukience mocno opinającej jej szczupłe ciało.

– Jak minęła podróż? – spytała, patrząc na mojego brata.

– Dobrze – odrzekł Jaja. – Myślałem, że będzie dłuższa.

– Do Enugu nie jest tak daleko.

– Mamo, nie kupiliśmy nic do picia – powiedział Obiorą.

– Przecież mieliście kupić przed wyjściem. – Ciocia Ifeoma wrzuciła pokrojoną cebulę na gorący olej.

– To ja pójdę. Jaja, idziesz ze mną? Kiosk jest niedaleko, po sąsiedzku.

– Tylko nie zapomnijcie zabrać pustych butelek – rzuciła ciocia.

Patrzyłam, jak Jaja wychodzi z Obiorą. Nie widziałam jego twarzy i nie wiedziałam, czy jest tym wszystkim tak samo oszołomiony jak ja.

– Przebiorę się i usmażę banany – oznajmiła Amaka.

– *Nne*, idź z nią – powiedziała ciocia.

Stawiając lękliwie nogę za nogą, poszłam za kuzynką.

Cementowa podłoga była chropowata i stopy nie ślizgały się na niej jak na marmurowej posadzce u nas w domu. Amaka zdjęła klipsy, położyła je na toalecie i przejrzała się w dużym lustrze. Przysiadłam na brzegu łóżka, obserwując ją i zastanawiając się, czy w ogóle wie, że tu jestem.

– Myślisz pewnie, że w porównaniu z Enugu Nsukka to zabita deskami dziura – powiedziała, wciąż przeglądając się w lustrze. – Mówiłam mamie, żeby nie zmuszała was do przyjazdu.

– Ja... Nie, my chcieliśmy tu przyjechać.

Amaka uśmiechnęła się lekkim, protekcyjnym uśmiechem, jakby chciała powiedzieć, żebym darowała sobie te kłamstwa.

– Może jeszcze tego nie zauważyłaś, ale nie ma tu żadnego dobrego lokalu. Wy macie Genesis, Nike Lake...

– Co?

– Genesis i Nike Lake, te odjazdowe kluby w Enugu. Pewnie często tam bywacie, co?

– Nie.

Amaka popatrzyła na mnie dziwnym wzrokiem.

– Nawet raz na jakiś czas?

– Ja... Tak. – W Genesis nie byłam ani razu, a w hotelu Nike Lake tylko raz, bo wspólnik Taty miał tam wesele. Tata sfotografował się z młodą parą, dał im prezent i od razu wyszliśmy.

Amaka przeczesła grzebieniem swoje krótkie włosy, spojrzała na mnie i spytała:

– Dlaczego ciągle znizasz głos?

– Co?

– Mówisz bardzo cicho, prawie szeptem.

– Nie, ja... – Skupiłam wzrok na biurku, na książkach, na pękniętym lusterku i mazakach.

Amaka odłożyła grzebień i ściągnęła sukienkę przez głowę. W białym koronkowym staniku i niebieskich majtkach wyglądała jak koza Hausa, długa, brązowa i chuda. Szybko spuściłam oczy. Nigdy dotąd nikt się przy mnie nie rozbierał; patrzenie na czyjąś nagość było grzechem.

– Na pewno masz u siebie lepszy sprzęt. – Wskazała mały magnetofon kasetowy pod toaletką. Chciałam jej powiedzieć, że nie mam w pokoju żadnego sprzętu, ale pomyślałam, że pewnie się jej to nie spodoba, tak samo jak nie spodobałoby się jej, gdybym powiedziała, że mam.

Włączyła magnetofon i zaczęła kiwać głową w rytm bicia bębnów.

– Słucham głównie naszych muzyków. Są świadomi kulturowo i zawsze mają do powiedzenia coś prawdziwego. Moi ulubieńcy to Fela, Osadebe i Onyeka. No tak, pewnie nawet nie wiesz, kto to jest, bo słuchasz tylko amerykańskiego popu, jak inne nastolatki. – Słowo „nastolatki” wypowiedziała tak, jakby był to rodzaj ludzi, którzy nie słuchając muzyki świadomej kulturowo, byli o krok za nią. A „świadomi kulturowo” jak ktoś, kto nigdy nie

przypuszczał, że tego wyrażenia użyje i zrobi to z wyraźną dumą.

Siedząc na brzegu łóżka z zaciśniętymi rękami, chciałam jej powiedzieć, że nie mam nawet magnetofonu kasetowego i że nie rozróżniam rodzajów muzyki pop. Ale zamiast tego spytałam:

– To ty malowałaś?

Akwarela kobiety z małym dzieckiem przypominała obraz Dziewicy z Dzieciątkiem w gabinecie Taty, z tym że kobieta i dziecko z obrazka Amaki mieli czarną skórę.

– Tak. Trochę maluję.

– Ładny. – Żałowałam, że nie wiedziałam o tym wcześniej. I wolałabym, żeby Amaka nie patrzyła na mnie jak na dziwne zwierzę doświadczalne, które trzeba zbadać i skatalogować.

– Co wy tam robicie tak długo? – zawołała ciocia Ifeoma.

Wróciłyśmy do kuchni i przez jakiś czas patrzyłam, jak Amaka kroi i smaży banany. Niedługo potem wrócili chłopcy z napojami w czarnej plastikowej torbie. Ciocia poprosiła Obiorę, żeby nakrył do stołu.

– Dzisiaj Kambili i Jaja są naszymi gośćmi, ale od jutra, jako członkowie rodziny, będą musieli trochę popracować.

Stół był z popękanego od słońca drewna. Pełen brązowych zadziórów blat łuszczył się jak liniejący świerszcz. Przy stole stały niedobre krzesła, cztery ze zwykłego drewna, jak te w mojej klasie, i dwa czarne, obite materiałem. Ja i brat usiedliśmy obok siebie. Ciocia Ifeoma odmówiła modlitwę i chociaż kuzyni powiedzieli już „Amen”, wciąż miałam zamknięte oczy.

– *Nne*, już skończyliśmy – zachichotała ciocia. – Przed jedzeniem nie odprawiamy mszy, tak jak twój ojciec.

Otworzyłam oczy i poczułam na sobie wzrok Amaki.

– Ale wyżerka. – Obiorą poprawił okulary. – Kurczak i cola. Moglibyście przyjeżdżać do nas codziennie.

– Mamusiu, ja chcę udko! – zawołał Chima.

– Nalewają coraz mniej coli, zauważyliście? – spytała Amaka, przyglądając się butelce.

Patrzyłam na ryż, na smażone banany, na udko kurczaka na moim talerzu i próbowałam się skoncentrować, przełknąć jedzenie. Talerze też były niedobre. Chima i Obiorą mieli plastikowe, a pozostali szklane, takie zwyczajne, bez drobnych kwiatków czy srebrzystych szlaczków na brzegu. W pokoju rozbrzmiewał śmiech. Wszyscy coś mówili, często tylko po to, żeby mówić,

nie oczekując odpowiedzi. W naszym domu każda rozmowa miała jakiś zamysł czy cel, zwłaszcza przy stole, tymczasem moi kuzyni po prostu mówili, mówili i mówili.

– Mamo, *biko*, daj mi szyjkę – poprosiła Amaka.

– O ile pamiętam, ostatnim razem też ją ode mnie wyciągnęłaś. – Ciocia wzięła szyjkę z talerza i dała ją córce.

– Kiedy ostatni raz jedliśmy kurczaka? – spytał Obiorą.

– Obiorą, nie żuj jak koza! – ofuknęła go ciocia.

– Kozy żują inaczej, gdy rozmyślają, inaczej, gdy jedzą. O które żucie ci chodzi?

– Nie smakuje ci, Kambili? – spytała ciocia tak nagle, że się przestraszyłam. Czułam się tak, jakbym była gdzie indziej, jakbym tylko obserwowała stół i ludzi, którzy mogą w każdej chwili odezwać się, do kogo tylko zechcą, jakbym widziała pokój, w którym można swobodnie oddychać.

– Ryż jest bardzo smaczny, ciociu, dziękuję.

– Skoro smakuje ci ryż, jedz ryż.

– Może nie jest tak dobry jak ten luksusowy, który jedzą w domu – wtrąciła Amaka.

– Daj kuzynce spokój, dobrze? – skarciła ją ciocia Ifeoma.

Milczałam do końca obiadu, ale wsłuchiwałam się w każde ich słowo, każdy żart, wsłuchiwałam się w ich śmiech. Mówili głównie moi kuzyni, a ciocia siedziała, patrzyła na nich i niespiesznie jadła. Wyglądała jak zadowolony z siebie trener drużyny futbolowej, który stoi na osiemnastym jardzie i obserwuje swoich zawodników w akcji.

Po obiedzie spytałam Amakę, gdzie mogę się załatwić, chociaż wiedziałam, że ubikacja jest naprzeciwko sypialni. Chyba ją tym zirytowałam, bo machnęła ręką w stronę korytarza i rzuciła:

– A jak myślisz?

Ubikacja była tak wąska, że gdybym rozłożyła ręce, mogłabym dotknąć obu ścian. Nie było tam miękkich dywaników ani puszystej wykładziny na muszli klozetowej, jaką mieliśmy w domu. Zrobiłam siusiu i chciałam spuścić wodę, ale zbiornik był pusty i dźwignia tylko zaklekotała. Stałam tam chwilę, wreszcie poszłam poszukać cioci Ifeomy. Była w kuchni; szorowała kuchenkę namydloną gąbką.

– Oszczędzam gaz – rzuciła z uśmiechem na mój widok. – Będę gotowała na nim tylko same frykasy, żeby butle na dłużej starczyły. Kuchenki jeszcze

nie schowam.

Odczekałam chwilę, bo chciałam powiedzieć coś zupełnie niezwiązanego z gazem i kuchenką. Z werandy dobiegał śmiech Obiory.

– Ciociu, w ubikacji nie ma wody.

– Zrobiłaś siusiu?

– Tak.

– Wodę mamy tylko z rana, *o di egwu*. Dlatego spuszcza ją tylko wtedy, kiedy jest co spłukać. Czasami bywa, że wody nie ma przez kilka dni, wtedy zamykamy klapę i kiedy wszyscy się załatwią, spłukujemy muszlę jednym wiadrem. Żeby zaoszczędzić wodę. – Ciocia uśmiechnęła się smutno.

– Aha.

Weszła Amaka. Patrzyłam, jak podchodzi do lodówki.

– W domu na pewno spuszcza wodę co godzinę, żeby była świeża, ale tutaj tak nie robimy – powiedziała.

– Amaka, *O gini?* Nie podoba mi się ten ton! – skarciła ją ciocia.

– Przepraszam – mruknęła Amaka. Wyjęła plastikową butelkę i nalała wody do szklanki.

Przysunęłam się bliżej szarej od dymu ściany, pragnąc wtopić się w nią i zniknąć. Chciałam przeprosić Amakę, ale nie bardzo wiedziałam za co.

– Jutro zabiorę Kambili i Jaja na przejażdżkę po kampusie. – Ciocia powiedziała to tak normalnie, że przez chwilę zastanawiałam się, czy naprawdę podniosła głos, czy tego sobie nie wyobraziłam.

– Tam nie ma nic do oglądania, zanudzą się na śmierć.

Wtedy zadzwonił telefon, głośno i natarczywie, nie jak u nas, gdzie wszystkie telefony cichutko mrucały. Ciocia Ifeoma szybko weszła do sypialni, żeby odebrać.

– Kambili! Jaja! – zawołała chwilę później.

Od razu wiedziałam, że to Tata. Zaczekałam na brata i gdy wrócił z werandy, poszliśmy tam razem. Jaja stanął z tyłu i dał mi znak, żebym porozmawiała pierwsza.

– Halo? Dobry wieczór, Tato – zaczęłam, bojąc się, że pozna, że jadłam coś po zbyt krótkiej modlitwie.

– Jak się masz?

– Dobrze, Tato.

– Dom jest bez was bardzo pusty.

– Tak?

– Potrzebujesz czegoś?

– Nie, Tato.

– Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, natychmiast dzwoń, wyślę Kevina. Będę telefonował codziennie. Pamiętaj o modlitwie i nauce.

– Dobrze, Tato.

Potem do telefonu podeszła Mama i chociaż w domu zwykle mówiła szeptem, teraz miała znacznie silniejszy głos, ale może tylko tak mi się zdawało. Powiedziała, że Sisi zapomniała, że wyjechaliśmy, i ugotowała obiad na cztery osoby.

Gdy tego wieczoru jedliśmy kolację, pomyślałam o Mamie i Tacie siedzących samotnie przy naszym szerokim stole. Zjedliśmy reszkę kurczaka z ryżem. I piliśmy wodę, bo cola, którą kupiliśmy po południu, już się skończyła. Przypomniały mi się zawsze pełne skrzynki coli i fanty w naszej spiżarni i szybko przełknęłam wodę, jakbym chciała zmyć nią te myśli. Wiedziałam, że gdyby Amaka je znała, na pewno by się jej nie spodobały. Rozmów i śmiechu było mniej niż podczas obiadu, ponieważ grał telewizor i kuzyni przeszli z talerzami do saloniku. Zamiast na sofie czy krześle, Amaka i Obiorą usiedli na podłodze, a na sofie przysiadł tylko Chima z plastikowym talerzem na kolanach. Ciocia Ifeoma powiedziała, żebyśmy do nich dołączyli i pooglądali telewizję. Czekałam, aż Jaja odmówi, aż powie, że dobrze nam przy stole, ale nie doczekałam się i kiwnęłam głową.

Ciocia też przyszła do nas z talerzem.

– Nie rozumiem – mruknęła – dlaczego ciągle pokazują te wszystkie meksykańskie gnioty, ignorując potencjał naszych rodzimych twórców.

– Mamo, przestań, tu nie sala wykładowa – odparła Amaka.

– Bo taniej jest kupić telenowelę od Meksykanów – powiedział Obiorą z oczami przyklejonymi do ekranu.

Ciocia wstała.

– Jaja, Kambili, przed pójściem spać zwykle odmawiamy różaniec. Oczywiście potem możecie jeszcze posiedzieć, pooglądać telewizję czy co tam chcecie.

Jaja poruszył się niespokojnie na krześle i wyjął z kieszeni plan dnia.

– Według planu wieczorem powinniśmy się uczyć, zabraliśmy książki...

Ciocia popatrzyła na niego i nagle wybuchła tak gwałtownym śmiechem, że aż się zachwiała i zgięła w pół jak gwizdząca sosna w wietrzny dzień.

– Eugene kazał wam przestrzegać jakiegoś... harmonogramu? Tutaj? Ne-

kwanu. anya, jak to? – Pośmiała się jeszcze trochę, wyciągnęła rękę i spytała, czy może go obejrzeć. Potem spojrzała na mnie i wyjęłam z kieszeni swój, dokładnie złożony na cztery równe części.

– Przechowam to do waszego wyjazdu – oznajmiła ciocia.

– Ale ciociu... – wykrztusił Jaja.

– Jeśli nic nie powiecie ojcu, to się nie dowie, *gbo*? Macie ferie i spędzacie je w moim domu, więc musicie przestrzegać mojego regulaminu.

I poszła do sypialni. Patrzyłam za nią, czując, że zaschło mi w ustach, że język przywarł mi do podniebienia.

– Macie plan dnia i codziennie musicie go przestrzegać? – spytała Amaka.

Leżała na plecach na podłodze, z głową na poduszce z krzesła.

– Tak – odrzekł Jaja.

– To ciekawe. A więc bogacze nie wiedzą już, co robić, i muszą teraz zaglądać do harmonogramu...

– Amaka! – krzyknął Obiorą.

Wróciła ciocia z olbrzymim różańcem z niebieskich paciorków i z metalowym krzyżykiem. Gdy na ekranie pokazały się napisy końcowe, Obiorą wyłączył telewizor i poszedł z siostrą do sypialni po swój, a Jaja i ja wyjęliśmy z kieszeni swoje. Uklękliśmy obok trzciniowych krzeseł i ciocia zaczęła pierwszą dziesiątkę. Odmówiwszy ostatnią *Zdrowaś Mario*, drgnęłam i gwałtownie podniosłam głowę, bo nagle usłyszałam dźwięczny, melodyjny głos Amaki. Amaka śpiewała!

– *Ka m bunie afa gi enu...*

Dołączyli do niej ciocia i Obiorą, i ich głosy zlały się ze sobą w harmonijny chór. Popatrzyłam na brata i spotkaliśmy się wzrokiem. Oczy miał załzawione i pełne zachęty. Nie! – zabroniłam mu gwałtownym mrugnięciem. Tak nie wolno. Nie przerywa się różańca pieśnią. I nie zaśpiewałam, on też nie. Amaka po każdej dziesiątce śpiewała, podnoszące na duchu pieśni *Igbo*, a ciocia wtórowała jej dźwięcznym echem, mocno pracując przeponą, jak operowa śpiewaczka.

Po różańcu spytała nas, czy znamy którąś z tych pieśni.

– Nie, w domu nie śpiewamy – wyjaśnił Jaja.

– A my tak. – Ciocia chyba się lekko zirytowała, bo zmarszczyła brwi.

Kiedy pożegnała się i poszła do siebie, Obiorą ponownie wyłączył telewizor. Siedziałam obok brata, ale chociaż patrzyłam na ekran, nie mogłam odróżnić jednej postaci o oliwkowej skórze od drugiej. Czułam się tak, jakby

mój cień był tutaj, w domu cioci i jej rodziny, a prawdziwa ja w moim pokoju w Enugu, z podręcznikiem przed oczami i planem dnia na ścianie. Zaraz potem wstałam i poszłam do sypialni, żeby przygotować się do snu. Chociaż ciocia zabrała plan, wiedziałam, o której Tata każe nam się kłaść.

Zasnęłam, zastanawiając się, kiedy przyjdzie Amaka i czy znowu pogardliwie wykrzywi usta na mój widok.

Śniło mi się, że Amaka zanurza mnie w muszli klozetowej pełnej skawalanej, zielonkawobrazowej brei. Najpierw zanurzyła mi głowę, a wtedy muszla rozszerzyła się, tak że zmieściła się w niej reszta ciała. „Chlust, chlust, chlust!”

– powtarzała Amaka, gdy próbowałam się uwolnić. Szarpałam się, szarpałam, wreszcie się obudziłam. Amaka już wstała i właśnie zawiązywała spódnice na koszuli nocnej.

– Idziemy po wodę – powiedziała. Nie poprosiła, żebym z nią poszła, mimo to wstałam, owinęłam się spódnicą i ruszyliśmy do wyjścia.

Jaja i Obiorą stali już przy kranie na maleńkim podwórku, w rogu którego leżał stos starych opon samochodowych, części rowerowych i połamanych skrzynek. Obiorą podstawił baniaki pod kran, dokładnie pod silny strumień wody. Jaja zaproponował, że zanieś pierwszy baniak do kuchni, ale on powiedział: „Spokojnie”, i sam go zaniósł. Amaka wzięła drugi, a wtedy Jaja podstawił pod kran kolejny. Powiedział, że spał w saloniku, na materacu, który Obiorą wyjął zza drzwi, rozłożył i oblekł. Słuchałam go i zdumiewał mnie wyraz zadziwienia w jego głosie, widok jego brązowych, ale dużo jaśniejszych niż zwykle oczu. Chciałam zanieść do kuchni baniak, ale Amaka roześmiała się tylko i powiedziała, że mam za miękkie kości.

Skończywszy nosić wodę, odmówiliśmy w saloniku kilka krótkich, przerywanych pieśniami modlitw. Ciocia modliła się za uniwersytet, za wykładowców, za pracowników administracyjnych i za Nigerię, a potem za to, że byśmy zaznali spokoju i mogli się często śmiać. Przeżegnałam się i zerknęłam na brata, żeby sprawdzić, czy jego też zdumiało to, że ciocia Ifeoma i jej dzieci modlą się akurat o śmiech.

Wykapaliśmy się po kolei w ciasnej łazience, każde z nas w połowie wiadra wody lekko podgrzanej zwykłą grzałką. W rogu idealnie czystej wanny był trójkątny otwór i spływając, woda jęczała jak trawiony boleściami człowiek.

Namydliłam się własną gąbką – Mama nie zapomniała o moich przyborach toaletowych – ale chociaż nabierałam wody małym kubkiem i powoli się nią polewałam, gdy wyszłam z wanny i stanęłam na starym ręczniku na podłodze, wciąż czułam się śliska od mydła.

Ciocia Ifeoma stała przy stole, mieszając mleko w proszku w dzbanku zimnej wody.

– Gdybym pozwoliła robić to dzieciom – powiedziała – po tygodniu zabrakłoby mleka. – Potem wzięła puszkę i wyniosła ją do sypialni, gdzie nic jej nie groziło.

Miałam nadzieję, że Amaka nie spyta mnie, czy moja Mama robi tak samo, bo gdybym musiała powiedzieć, że zawsze bierzemy tyle mleka, ile tylko chcemy, na pewno zaczęłabym się jękać.

Na śniadanie były placki z gotowanego na parze fasolnika z olejem palmowym, a więc zwykła *okpa*, po którą Obiorą podskoczył gdzieś po sąsiedzku. Nigdy dotąd nie jadłam okpy na śniadanie, najwyżej na przekąskę w drodze do Abba. Popatrzyłam, jak Amaka i ciocia Ifeoma kroją wilgotne żółte ciasto i pokroiłam swoje. Ciocia kazała nam się pospieszyć. Chciała pokazać nam kampus i wrócić do domu, żeby ugotować coś na obiad, bo zaprosiła księdza Amadięgo.

– Starczy ci benzyny? – spytał Obiorą.

– Powinno, przynajmniej na przejażdżkę po kampusie. Mam nadzieję, że w przyszłym tygodniu dowiozą, bo jeśli nie, będę musiała chodzić piechotą, kiedy rozpoczną się zajęcia.

– Albo jeździć *okada* – podsunęła ze śmiechem Amaka.

– Jak tak dalej pójdzie, to na pewno.

– Co to jest *okada*? – spytał Jaja. Popatrzyłam na niego zaskoczona. Nie spodziewałam się, że zada to pytanie. Ani to, ani żadne inne.

– Motocykl – wyjaśnił Obiorą. – Są teraz popularniejsze od taksówek.

W drodze do samochodu ciocia przystanęła, żeby zerwać kilka zbrązowiałych liści z jakiegoś krzewu w ogródku. Mruczała przy tym, że przez ten harmattan wszystko jej uschnie.

Amaka i Obiorą głośno jęknęli.

– Mamo, tylko nie ogródek, nie teraz.

– To hibiskus, prawda? – spytał Jaja, patrząc na kwiat rosnący tuż przy kolczastym drucie. – Nie wiedziałem, że mogą być fioletowe.

Ciocia Ifeoma roześmiała się i dotknęła ciemnoczerwonego kwiatu. Czer-

wień była tak głęboka, tak intensywna, że wpadała niemal w fiolet.

– Wszyscy tak mówią. Moja przyjaciółka Phillipa wykłada botanikę; kiedyś tu pracowała i bardzo lubiła eksperymentować. Popatrz, to biała ixora. Ale nie kwitnie tak bujnie jak czerwona.

Jaja podszedł jeszcze bliżej, a my czekaliśmy z tyłu.

– *O maka*, jest piękna – powiedział, muskając palcami płatek kwiatu.

Ciocia znowu się roześmiała i śmiejąc się, odrzekła:

– Tak, bardzo. Musiałam ogrodzić ogródek siatką, bo ciągle zrywały je dzieci. Teraz wpuszczam tu tylko dziewczynki z kościoła, naszego albo protestanckiego.

– Mamo, *o zugo*. Chodźmy już – ponagliła ją Amaka.

Ale ciocia wciąż pokazywała bratu te niezwykle kwiaty i dopiero po dłuższej chwili wsiedliśmy do samochodu i pojechaliśmy. Ulica, w którą skręciliśmy, była bardzo stroma. Ciocia wyłączyła silnik i wóz potoczył się przed siebie, pobrzękując poluzowanymi śrubami.

– Oszczędzam benzynę – rzuciła ciocia przez ramię.

Wzdłuż domów, które mijaliśmy, ciągnęły się słonecznikowe żywopłoty, więc długa ściana zieleni była upstrzona żółtymi kwiatami jak wielkimi kropkami. W żywopłotach było dużo dziur i widzieliśmy przez nie podwórza: metalowe zbiorniki na wodę na szarych betonowych blokach, zwisające z gujaw huśtawki ze starych opon samochodowych, ubranie schnące na rozciągniętych między drzewami sznurach. Na końcu ulicy stromizna się skończyła i ciocia ponownie uruchomiła silnik.

– To jest nasza podstawówka – powiedziała. – Chima tu chodzi. Kiedyś wyglądała dużo lepiej, ale teraz? Popatrzcie tylko na te okna bez żaluzji, na te brudne ściany.

Duży plac za przystrzyżonym żywopłotem był zabudowany długimi barakami, zupełnie bez ładu i składu, na oślep, bez żadnego planu. Ciocia wskazała barak obok szkoły, Instytut Afrykanistyczny, gdzie miała gabinet i gdzie prowadziła większość zajęć. Barak był stary; poznałam to po kolorze ścian i po oknach pokrytych pyłem z tyłu harmattanów, że już nigdy nie miały załśnić w słońcu jak nowe. Przejechaliśmy przez rondo wysadzone różowym barwinkiem i obmurowane ceglami, na zmianę to białymi, to czarnymi. Za rondem niczym zielone prześcieradło rozciągała się łąka upstrzona mangowcami, których wypłowiałe liście próbowały zachować kolor na suchym wietrze.

– Tu organizujemy kiermasze – powiedziała ciocia.

– A tam są żeńskie akademiki. Akademik Mary Slessor, Okpara i Bello. Bello jest najślynniejszy i Amaka poprzysięgła sobie, że w nim zamieszka, kiedy już zda na uniwersytet i zostanie wielką aktywistką.

Amaka parsknęła śmiechem, ale nie zaprotestowała.

– Może będziecie studiować razem, Kambili.

Sztywno kiwnęłam głową, chociaż ciocia mnie nie widziała. Nigdy nie myślałam o uniwersytecie, o tym, czy będę gdzieś zdawała i czy w ogóle będę studiowała. Kiedy nadejdzie pora, zdecyduje o tym Tata.

Skrećając, ciocia zatrąbiła klaksonem i pomachała dwóm łysiejącym mężczyznom w batikowych podkoszulkach. Znowu wyłączyła zapłon i popędziliśmy w dół gęsto wysadzonej drzewami ulicy. Samochód wypełnił się ostrym, szczypiącym w nos zapachem drzew dogonyaro i Amaka głęboko wciągnęła powietrze, mówiąc, że zapach ten leczy malarię. Jechaliśmy przez dzielnicę mieszkalną, mijając bungalowy na dużych posesjach z różnymi krzewami, drzewami owocowymi i wypalonymi przez słońce trawnikami. Jezdnia stopniowo traciła gładkość. Znikły starannie utrzymane pobocza, domy zmniejszyły się i zwięzły, ich frontowe drzwi były teraz tak blisko siebie, że stojąc w jednych, dosięgnęłyby się sąsiednich. Żywopłoty przestały udawać, że cokolwiek osłaniają czy oddzielają; prywatność też zniknęła i zostały tylko niskie, stojące ściana w ścianę domy pośród rzadkich kęp skarłowaciałych krzewów i nerkowców. Ciocia Ifeoma powiedziała, że mieszkają w nich młodszy pracownicy naukowcy, sekretarki i kierownicy.

– Jeśli mają szczęście i dostaną tam mieszkanie – dodała Amaka.

Gdy je minęliśmy, ciocia wskazała w prawo.

– Wzgórze Odim. Widok ze szczytu zapiera dech w piersiach. Gdy się tam stoi, widać, jak Bóg rozmieścił wszystkie wzgórza i doliny, *ezi okwu*.

Gdy zawróciła i skręciła w ulicę, z której wyjechaliśmy, odpłynęłam myślą w dal, wyobrażając sobie, jak Bóg rozmieszcza wzgórza i doliny Nsukka, jak chwyta je wielkimi białymi rękami – pod paznokciami miał półksiężyc, tak jak ksiądz Benedykt – i kładzie je to tu, to tam. Minęliśmy zagajnik wokół wydziału inżynierii i porośniętą mangowcami łąkę przed akademikami. Gdy byliśmy już blisko domu, ciocia skręciła nagle w przeciwną stronę. Chciała pokazać nam, jak wygląda drugi koniec ich ulicy, gdzie w bliźniakach z szerokimi podjazdami mieszkali starzy profesorowie.

– Słyszałam, że kiedy zaczęto je budować, niektórzy biali profesorowie,

a wtedy wszyscy profesorowie byli biali, zażądali kominów i kominków. – Ciocia powiedziała to z pobłażliwym śmiechem, takim samym, jakim śmiała się mama, mówiąc o ludziach, którzy chodzą do szamanów. Potem pokazała nam wysoki mur ogradzający dom rektora i powiedziała, że kiedyś był tam starannie utrzymany trześniowo-ixorowy żywopłot, ale podczas jednego ze strajków studenci przeskoczyli go i spalili stojący na podwórzu samochód.

– Dlaczego strajkowali? – spytał Jaja.

– Domagali się światła i wody – odrzekł Obiorą.

– Przez miesiąc nie było ani światła, ani wody – wyjaśniła ciocia Ifeoma.

– Twierdzili, że nie mogą się uczyć, i prosili o przełożenie egzaminów, ale im odmówiono.

– Te mury są ohydne – powiedziała po angielsku Amaka. Ciekawe, co pomyślałaby o naszych, gdyby nas odwiedziła. Mury nie były wysokie i wystawał zza nich fragment dużego bliźniaka w kępie drzew o zielonkawożółtych liściach. – Zresztą stawianie murów to tylko powierzchowna kosmetyka. Gdybym była rektorem, studenci by nie strajkowali. Mieliby wodę i światło.

– Co ten facet może zrobić, skoro jakaś fisza z Abudży zwinęła całą kasę? – powiedział Obiorą. – Ma rzygać forszą?

Popatrzyłam na niego, wyobrażając sobie siebie w wieku czternastu lat, wyobrażając siebie teraz.

– Nie miałabym nic przeciwko temu, gdyby ktoś obrzygał mnie pieniędzmi – odrzekła ciocia Ifeoma, śmiejąc się jak zadowolona z siebie trenerka drużyny futbolowej. – Podskoczmy do miasta, może kupimy na rynku trochę *ube* po przyzwoitej cenie. Książdz Amadi lubi *ube*, a w domu mamy jeszcze kukurydzę, będzie pasowała.

– Starczy nam benzyny? – spytał Obiorą.

– *Amarom*, zobaczymy.

Na wyłączonym silniku jechaliśmy ulicą prowadzącą do uniwersyteckiej bramy. Jaja spojrzał na pyszniącego się lwa i bezgłośnie poruszył ustami. „Przywrócić godność człowiekowi”. Obiorą też przeczytał napis na piedestale. Nagle zachichotał i rzucił:

– A kiedy człowiek tę godność stracił?

Za bramą ciocia Ifeoma ponownie przekręciła kluczyk w stacyjce, ale silnik nie odpalił.

– Matko święta, tylko nie teraz – wymruczała i spróbowała jeszcze raz.

Jęknął rozrusznik, samochód zadygotał. Ktoś za nami zatrąbił klaksonem.

Odwróciłam się i zobaczyłam kobietę w żółtym peugeocie 504. Wsiadła i podeszła do nas; była w długiej spódnicy, która łopotała na wysokości jej guzowatych jak pataty kostek.

– Wczoraj też utknęłam pod sklepem. – Stała przy oknie cioci i jej nieokiełznane włosy – miała trwałą – falowały na wietrze. – Dziś rano syn odeśsał litr z wozu męża, żebym mogła dojechać przynajmniej na rynek. *O di egwu*. Mam nadzieję, że niedługo przywiozą benzynę.

– Poczekamy, zobaczymy, siostrzyczko. Jak tam rodzina? – spytała ciocia Ifeoma.

– Dobrze, dziękuję. Jeźdźcie z Bogiem.

– Popchnijmy go – zaproponował Obiorą, otwierając drzwiczki.

– Zaczekaj. – Ciocia ponownie przekręciła kluczyk w stacyjce i tym razem silnik zaskoczył. Ruszyliśmy z piskiem opon, jakby ciocia bała się, że jeśli pojedziemy wolniej, samochód znowu odmówi posłuszeństwa.

Zatrzymaliśmy się na poboczu, gdzie stała handlarka z piramidami sinawych owoców *ube* na emaliowanej tacy, i ciocia dała Amace kilka zmiętych banknotów z torebki. Amaka wysiadła, potargowała się chwilę z handlarką, uśmiechnęła się i wskazała te, które chciała kupić. Ciekawe, jakie to uczucie tak się targować.

Poszłam z ciocią i Amaką do kuchni, a Jaja z Obiorą pobiegli pograć w piłkę z chłopcami z góry. Ciocia wyjęła jeden z olbrzymich jamów, które przywieźliśmy z domu, i Amaka położyła go na podłodze; dźwignąć go i położyć na stół byłoby znacznie trudniej. Gdy zaczęła go kroić i kłaść plastry do plastikowej miski, zaproponowałam, że je obiorę, a ona bez słowa podała mi nóż.

– Ksiądz Amadi ci się spodoba, Kambili – powiedziała ciocia. – Jest tu nowy, ale szybko zdobył popularność na całym kampusie. Wszyscy go zapraszają, na obiady i w ogóle.

– Ale u nas czuje się najlepiej – powiedziała Amaka.

Ciocia wybuchła śmiechem.

– Twoja kuzynka jest o niego zazdrosna.

– Marnujesz jam! – warknęła nagle Amaka. – Czy tak obieracie jam w domu?

Podskoczyłam i upuściłam nóż. Upadł parę centymetrów od mojej stopy.

– Przepraszam – powiedziałam, nie wiedząc, czy przepraszam ją za to, że

upuściłam nóż, czy za to, że wraz z brązową skórką ścięłam za dużo kremowego mięszu.

Ciocia obserwowała nas przez chwilę.

– Amako, *ngwa*, pokaż Kambili, jak się obiera.

Amaka popatrzyła na nią z odętymi wargami i uniesionymi brwiami, jakby nie mogła uwierzyć, że ktoś tego nie potrafi. Podniosła nóż, wzięła plaster i zaczęła go cieniutko obierać. Obserwowałam pewne ruchy jej rąk i coraz dłuższą skórkę, chcąc ją przeprosić, żałując, że tak nie umiem. Robiła to tak wprawnie, że skórka nie pękła i zwijała się jak ubrudzona ziemią tasiemka.

– Obieranie jamu – mruknęła. – Może trzeba dopisać to wam do planu dnia?

– Amaka! – krzyknęła ciocia Ifeoma. – Kambili, przynieś trochę wody z baniaka na podwórzu.

Wdzięczna cioci za ratunek, wzięłam wiadro i szybko wyszłam z kuchni, żeby nie widzieć naburmuszonej miny Amaki. Nie odzywała się do mnie prawie przez całe popołudnie, aż do przyjścia księdza Amadiego, który wszedł, ciągnąc za sobą orzeźwiający zapach wody kolońskiej. Chima od razu wskoczył na niego i się przytulił. Ksiądz ucisnął rękę Obiorze. Ciocię i Amakę krótko objął na powitanie, a potem ciocia Ifeoma przedstawiła mnie.

– Dobry wieczór – powiedziałam i dodałam: – ...ojcze. – Brzmiało to niemal jak świętokradztwo, mówić „ojcze” do takiego młodego mężczyzny; w podkoszulku i w dzinsach, wypłowiałych tak bardzo, że nie wiadomo było, czy są czarne czy brązowe, wyglądał jak chłopiec.

– Kambili, Jaja – rzucił, jakby dobrze nas znał. – Jak wam się podoba w Nsukka?

– Wcale – mruknęła Amaka i natychmiast pomyślałam, że niepotrzebnie tak powiedziała.

– Nsukka ma swoje uroki – odrzekł z uśmiechem ksiądz Amadi. Miał głos śpiewaka, głos, który działał na moje uszy jak wcierana przez Mamę oliwka na moje włosy. Nie całkiem go rozumiałam – mówił w igbo, ale z silnym angielskim akcentem – bo zamiast w słowa, cały czas wsłuchiwałam się w brzmienie jego głosu. Jedząc jam i fasolę, kiwał głową i odzywał się dopiero wtedy, gdy już przełknął i popił łykiem wody. Czuł się u cioci jak w domu, wiedział nawet, z którego krzesła sterczy gwóźdź, na którym można rozedrzeć spodnie.

– Myślałem, że już go pani wbiła – powiedział. Potem porozmawiał o pił-

ce z Obiorą, o niedawno aresztowanych dziennikarzach z Amaką, o katolickiej organizacji kobiecej z ciocia Ifeomą i o grze wideo z Chimą.

Kuzyni trajkotali tak jak przedtem, ale zawsze czekali, aż ksiądz coś powie, i dopiero wtedy prześcigali się z komentarzem. W pewnym momencie pomyślałam o tuczonych kurczakach, które Tata kupował czasem na ofiarę: składaliśmy je na ołtarzu razem z winem komunijnym, jamem, a czasem nawet z kozami, które skubały trawę na naszym podwórzu aż do niedzielnego ranka. Sisi rzucała kurczakom okruszki chleba, a one pędziły ku niej żywiołowo i z entuzjazmem. Właśnie tak Amaka, Obiorą i Chima chłonęli słowa księdza Amadiego.

Ksiądz próbował wciągnąć nas do rozmowy pytaniami. Wiedziałam, że zwraca się do nas obojga, do brata i do mnie, bo mówił *unu*, „wy”, a nie *gi*, mimo to milczałam, ciesząc się, że odpowiada za mnie Jaja. Spytał, do jakiej chodzimy szkoły, jakie lubimy przedmioty, czy uprawiamy jakiś sport. Potem spytał, do jakiego chodzimy kościoła, i Jaja mu powiedział.

– Do Świętej Agnieszki? Kiedyś odprawiałem tam mszę.

I wtedy go sobie przypomniałam, młodego księdza, który w połowie kazania zaczął śpiewać i o którym Tata powiedział, że przez takich jak on Kościół może mieć kłopoty. W ciągu roku odwiedzało nas wielu księży, ale wiedziałam, że to on. Po prostu wiedziałam. Pamiętałam nawet, jaką pieśń wtedy śpiewał.

– Naprawdę? – spytała ciocia Ifeoma. – Mój brat Eugene utrzymuje ten kościół niemal w pojedynkę. Uroczy kościółek.

– *Chelukwa*. Chwileczkę. Eugene Achike? Wydawca „Standardu”?

– Tak, to mój starszy brat. Nie wspominałam o tym?

– Ciocia uśmiechnęła się, ale jakoś tak smutno.

– *Ezi okwui* Nie wiedziałem. – Ksiądz Amadi pokręcił głową. – Podobno to on podejmuje najważniejsze decyzje wydawnicze. „Standard” to dzisiaj jedyna gazeta, która ma odwagę głosić prawdę.

– Tak – potwierdziła ciocia. – I ma genialnego redaktora, Ade’a Cokera, chociaż nie wiem, ile jeszcze popracuje, zanim na dobre go zamkną. Nawet mając tyle pieniędzy, ile ma Eugene, nie można kupić wszystkiego.

– Czytałem, że Amnesty World przyznała mu nagrodę. – Ksiądz Amadi znowu kiwał głową, tak powoli, z podziwem, i poczułam, że robi mi się ciepło z dumy i pragnienia, żeby skojarzył go sobie ze mną. Chciałam coś powiedzieć, chciałam uświadomić temu przystojnemu księdzu, że Tata jest nie

tylko wydawcą „Standardu” i bratem cioci Ifeomy, ale i moim ojcem. Pragnęłam, żeby chociaż część tego ciepłego jak obłok ciepła w jego oczach spłynęła na mnie, żeby mnie otuliła.

– Nagrodę? – powtórzyła Amaka z rozpromienionymi oczami. – Mamo, powinniśmy kupować „Standard” chociaż raz na jakiś czas, żebyśmy wiedzieli, co się dzieje.

– Albo przełknąć dumę i poprosić wujka, żeby zafundował nam prenumeratę – dodał Obiorą.

– Nic nie wiedziałam o tej nagrodzie – przyznała ciocia. – Ale on i tak nic by mi nie powiedział, *igasikwa*. Nie umiemy ze sobą normalnie rozmawiać. Żeby Kambili i Jaja mogli nas odwiedzić, musiałam mu powiedzieć, że jedziemy na pielgrzymkę do Aokpe, inaczej by się nie zgodził.

– A więc zamierza pani tam jechać? – spytał ksiądz Amadi.

– Tak naprawdę to niczego nie planowałam, ale myślę, że teraz pojedziemy. Trzeba tylko sprawdzić datę kolejnego objawienia.

– Ludzie to wszystko zmyślają – wtrącił Obiorą.

– Poprzednim razem mówili, że Najświętsza Panienka ukaze się w szpitalu imienia biskupa Shanahana, a potem że w Transekulu. Tak było?

– Aokpe to co innego – zaprotestowała Amaka. – Tamtejsze objawienia mają wszelkie znamiona objawień w Lourdes. Poza tym najwyższa pora, żeby Najświętsza Panienka odwiedziła Afrykę. Nie zastanawia was, dlaczego zawsze ukazuje się w Europie? Ostatecznie pochodzi z Bliskiego Wschodu.

– To kim ona teraz jest? Dziewicą Polityczną? – spytał Obiorą.

Znowu na niego popatrzyłam. Był odważny. W wieku czternastu lat nigdy taka nie byłam, nie byłam taka i teraz.

– Amako, przecież Najświętsza Panienka objawiła się w Egipcie – odparł ze śmiechem ksiądz Amadi. – W każdym razie ludzie jeździli tam tak tłumnie, jak teraz jeżdżą do Aokpe. *O bugodi*, są jak szarańcza.

– Mówi ksiądz tak, jakby nie wierzył w te objawienia – zauważyła Amaka, bacznie go obserwując.

– Nie wierzę, żebyśmy musieli jechać aż do Aokpe czy gdziekolwiek indziej, żeby Ją znaleźć. Ona jest tutaj, z nami, i cały czas prowadzi nas do swego Syna. – Powiedział to tak lekko, swobodnie, jakby jego usta były instrumentem muzycznym, który przy najlżejszym dotknięciu, przy każdym otwarciu warg wydaje piękny dźwięk.

– Ale co z Tomaszem, który tkwi w każdym z nas?

– spytała Amaka z takim wyrazem twarzy, że nie wiedziałam, żartuje czy mówi poważnie. – Z tym, który nie uwierzy, dopóki nie zobaczy?

Zamiast odpowiedzieć, ksiądz Amadi zrobił minę i Amaka wybuchła śmiechem. Ona też miała szczerbę między przednimi zębami, jeszcze szerszą niż ciocia, i wyglądało to tak, jakby ktoś rozszerzył jej zęby metalowym narzędziem.

Po obiedzie przeszliśmy do saloniku i ciocia Ifeoma kazała Obiorze zgasić telewizor, żebyśmy mogli się razem pomodlić. Chima zasnął na sofie i podczas różańca Obiorą się o niego opierał. Odmówiwszy pierwszą dziesiątkę, ksiądz Amadi zaczął śpiewać hymn pochwalny w igbo. Podczas gdy oni śpiewali, ja otworzyłam oczy i wbiłam wzrok w ścianę, w zdjęcie rodzinne ze chrztu Chimy. Potem przeniosłam wzrok na pietę w popękanej w rogach drewnianej ramce. Zacisnęłam usta i zagryzłam dolną wargę, żeby usta nie przyłączyły się do chóru, żeby mnie nie zdradziły.

Odłożyliśmy różańce i oglądając wiadomości, sięgnęliśmy po kukurydzę i *ube*. W pewnym momencie podniosłam głowę, zobaczyłam, że ksiądz Amadi na mnie patrzy, i nagle jakby sparaliżowało mi język. Nie mogłam już odzielić nasion *ube* od mięszu, nie mogłam przełykać. Za bardzo byłam świadoma jego oczu, tego, że na mnie patrzy, że mnie obserwuje.

– Nie śmiałaś się dzisiaj, nawet się nie uśmiechnęłaś, Kambili – powiedział.

Popatrzyłam na kukurydzę na talerzu. Chciałam powiedzieć, że mi przykro, ale słowa utknęły mi w gardle, a po chwili przestałam też cokolwiek słyszeć.

– Jest nieśmiała – powiedziała ciocia.

Wymamrotałam coś głupiego, wstałam, weszłam do sypialni i dokładnie zamknęłam za sobą drzwi na korytarz. Dźwięk głosu księdza Amadiego rozbrzmiewał mi w uszach, dopóki nie zasnęłam.

W domu cioci Ifeomy zawsze słychać było dźwięczny śmiech i bez względu na to, skąd dochodził, odbijał się echem od wszystkich ścian, wpadał do wszystkich pomieszczeń. Sprzeczki wybuchały nagle i szybko się kończyły. Poranną i wieczorną modlitwę zawsze urozmaicały pieśni w igbo, przy których trzeba było klaskać w dłonie. Mięsa jedliśmy mało, a jeśli już, to kawałeczki szerokości dwóch ściśniętych ze sobą palców i długości połowy palca. Mieszkanie zawsze lśniło czystością: Amaka szorowała podłogę

sztywną szczotką, Obiorą zamiatał, a Chima spulchniał poduszki na krzesłach. Naczynia zmywaliśmy na zmianę. My też i raz, kiedy zmyłam brudne od *garri* talerze, Amaka zdjęła je z tacy, gdzie się suszyły, i ponownie włożyła do wody.

– To tak zmywacie w domu? – spytała. – A może zmywanie naczyń nie figuruje w waszym planie dnia?

Stałam bez słowa, żałując, że nie ma cioci Ifeomy, która powiedziałaaby coś za mnie. Amaka spiorunowała mnie wzrokiem i odeszła. Nie odzywała się do mnie przez całe popołudnie, do chwili gdy przyszły jej koleżanki; ciocia i Jaja byli akurat w ogródku, a Chima grał z chłopcami w piłkę.

– Kambili, to są moje szkolne koleżanki – rzuciła obojętnie.

Dziewczęta przywitały się ze mną, a ja się uśmiechnęłam. Krótkowłose jak Amaka, obydwie miały na ustach błyszczącą szminkę i obydwie były w spodniach tak obcisłych, że gdyby chodziły w czymś wygodniejszym, na pewno poruszałyby się zupełnie inaczej. Patrzyłam, jak przeglądają się w lustrze, jak oglądają zdjęcia w amerykańskim czasopiśmie z brązowoskórą, złotowłosą kobietą na okładce, jak rozmawiają o nauczycielu matematyki, który nie umiał rozwiązać swoich własnych zadań na klasówkę, o dziewczynie, która nosiła minispódniczki, chociaż miała jam zamiast nóg, i o chłopcu, który był niezły.

– Niezły, ale nie przystojny – zaznaczyła ta z długim kolczykiem w uchu i z tombakowym świeczkiem w nosie.

– To wszystko twoje włosy? – spytała ta druga.

Nie wiedziałam, że mówi do mnie, i ocknęłam się dopiero wtedy, gdy Amaka krzyknęła:

– Kambili!

Chciałam jej powiedzieć, że tak, że nie są sztukowane, ale słowa znowu utknęły mi w gardle. Wiedziałam, że rozmawiają o moich włosach, o tym, jakie są długie i gęste. Chciałam z nimi porozmawiać, pośmiać się tak głośno i radośnie, że aż zaczęłabym podskakiwać tak jak one, ale nie mogłam rozezwierać ust. Żeby się nie jąkać, zaczęłam kaszleć i wybiegłam do łazienki.

Tego wieczoru gdy nakrywałam do stołu, usłyszałam, jak Amaka mówi:

– Mamo, czy oni na pewno są normalni? Kiedy przyszły moje koleżanki, Kambili zachowywała się jak *atulu*.

– Ani nie podniosła, ani nie zniżyła głosu i chociaż była w kuchni, dobrze ją słyszałam.

– Amako, masz prawo mieć swoje zdania, ale musisz traktować kuzynów z szacunkiem – odparła stanowczo ciocia Ifeoma. – Rozumiesz?

– Ja tylko pytałam...

– A nazywając Kambili kozą, masz ją za nic.

– Ale ona jest dziwna. Jaja też. Coś jest z nimi nie tak.

Właśnie próbowałam wyrównać fragment popękanego, krzywego blatu i zadrżała mi ręka. Po stole maszerowała kolumna maleńkich mrówek. Ciocia powiedziała, żeby się nimi nie przejmować, bo nie robią nikomu nic złego, poza tym nie sposób się ich pozbyć; były tak stare jak sam dom.

Zerknęłam na drugą stronę saloniku, żeby sprawdzić, czy Jaja słyszał słowa Amaki, ale on leżał na podłodze obok Obiory, pochłonięty czymś na ekranie telewizora. Wyglądał tak, jakby robił to przez całe życie. Podobnie naza-jutrz rano w ogródku cioci: miałam wrażenie, że chodzi tam od zawsze, a nie od kilku dni.

Ciocia poprosiła mnie, żebym pomogła im zrywać więdnące liście krotków.

– Czyż nie są piękne? – spytała. – Spójrz na te zielone, żółte i różowe plamki. Jakby Bóg bawił się w malarza.

– Tak – odrzekłam. Ciocia popatrzyła na mnie i pewnie pomyślała, że w moim głosie brakuje entuzjazmu, z jakim jej słowa chłonął Jaja.

Przyglądały się nam dzieci sąsiadów z góry. Miały około pięciu lat i w ubrudzonych jedzeniem ubrankach były jak ruchliwe plamy koloru i dźwięku. Rozmawiały ze sobą i z cicią, a jedno z nich spytało mnie, do jakiej chodzę szkoły. Zaczęłam się jąkać i zerwałam kilka zdrowych, ociekających lepkim sokiem liści. Wtedy ciocia powiedziała, że jeśli chcę, mogę wrócić do domu. Właśnie skończyła czytać ciekawą książkę; położyła ją na stoliku w sypialni i była pewna, że mi się spodoba. Weszłam tam i wzięłam ją do ręki. Na wypłowiałej, niebieskiej okładce widniał tytuł: *Podróże Equiano, czyli życie Gustavusa Vassa zwanego Afrykańczykiem*.

Usiadłam na werandzie i z książką na kolanach, obserwowałam małą dziewczynkę ścigającą motyla. Motyl fruwał to w górę, to w dół, machając leniwie żółtymi skrzydełkami w czarne kropki, jakby chciał się z nią trochę podroczyć. Gdy dziewczynka biegła, jej spięte w kok włosy gwałtownie podskakiwały. Obiorą też siedział na werandzie, tyle że w słońcu, więc musiał ciągle mrużyć oczy. Patrzył na dziewczynkę i powoli powtarzał imię mojego brata, akcentując to pierwszą sylabę, to drugą, to obie.

– *Aja* znaczy piasek albo wyrocznia, ale *Jaja*? Co to za imię? To nie w igbo – orzekł w końcu.

– Tak naprawdę mam na imię Chukwuka. *Jaja* to przezwisko z dzieciństwa. – Brat klęczał w ogródku. Był tylko w dżinsowych szortach i falowały mu mięśnie na plecach, gładkie i długie jak brzeg grządki, którą pieliał.

– Kiedy był malutki, mówił tylko „ja-ja”, więc zaczęliśmy go tak nazywać – wtrąciła ciocia Ifeoma. Spojrzała na niego i dodała: – Powiedziałam twojej mamie, że to dobre imię, że pójdiesz w ślady *Jaja* z Opobo.

– *Jaja* z Opobo? Upartego króla? – spytał Obiorą.

– Zbuntowanego – poprawiła go ciocia. – Zbuntowanego króla.

– Mamo, co znaczy „zbuntowanego”? Co ten król zbuntował? – spytał Chima. On też był w ogródku i robił coś na kolanach, chociaż ciocia często powtarzała: „*Kwusia*, przestań” albo „Jeśli zrobisz to jeszcze raz, dam ci klapsa”.

– Był królem ludu Opobo – odrzekła – i kiedy przyszli Anglicy, nie pozwolili im przejąć handlu. Nie zaprzedał duszy za garść prochu, tak jak inni królowie, więc Anglicy wygnali go do Indii Zachodnich. Już nigdy tu nie wrócił. – Ciocia polewała konewką rząd maleńkich, zbitych w kiście kwiatków koloru banana. Gdy ją przechylała, z dyszy tryskały strumyczki wody. Zużyła już największy baniak, który napełniliśmy z rana.

– To smutne – powiedział Chima. – Może nie powinien był się buntować.
– Przysunął się bliżej i przykucnął obok Jaja. Zastanawiałam się, czy wie, co znaczy „przejąć handel” i „zaprzedać duszę za garść prochu”. Ciocia powiedziała to tak, jakby wiedział.

– Czasem dobrze jest się zbuntować – odparła. – Bunt jest jak marihuana, w odpowiednich dawkach bywa pożyteczny.

Bardziej niż te świętokradcze słowa uderzył mnie ton jej głosu. Podniosłam głowę. Rozmawiała z Chimą i Obiorą, ale patrzyła na mojego brata. Obiorą uśmiechnął się i poprawił okulary.

– Tak czy inaczej, Jaja z Opobo nie był święty. Sprzedał swój lud w niewolę, poza tym Anglicy i tak w końcu zwyciężyli. Bunt, bunt i po buncie.

– Anglicy wygrali wojnę, ale przegrali wiele bitew – zauważył Jaja i z wrażenia pominęłam kilka linijek tekstu w książce. Jak on to robił? Skąd u niego ta łatwość mówienia? Czyżby nie miał w gardle bąbli powietrza, które zagraadzały drogę słowom, przepuszczając co najwyżej bełkotliwe dźwięki? Patrzyłam na niego, na jego ciemną skórę pokrytą błyszczącymi w słońcu kropelkami potu. Nigdy dotąd nie widziałam, żeby poruszał w ten sposób rękami, nigdy dotąd nie widziałam tego ostrego światła w jego oczach, które pojawiało się w nich, ilekroć był w ogródku.

– Co ci się stało w rękę? – spytał Chima i Jaja spojrział w dół, jakby dopiero teraz zauważył zdeformowany palec, wykrzywiony jak sucha gałązka.

– Jaja miał wypadek – powiedziała szybko ciocia.

– Chima, przynieś baniak. Jest prawie pusty, więc dasz radę.

Popatrzyłam na nią, spotkałyśmy się wzrokiem i spuściłam głowę. Ciocia wiedziała. Wiedziała, co się stało.

Kiedy Jaja miał dziesięć lat, opuścił dwa pytania na teście z katechizmu przed pierwszą komunią i nie zdobył pierwszej lokaty. Tata zaprowadził go na górę i zamknął drzwi. Jaja wrócił zapłakany, podtrzymując lewą rękę. Potem Tata zawiózł go do szpitala. On też płakał, niosąc go do samochodu jak małe dziecko. Jaja powiedział mi, że nie bił go w prawą rękę, bo to ręka do pisania.

– Niedługo rozkwitnie – powiedziała ciocia, wskazując pączek ixory. – Jeszcze dwa dni i ujrzy świat.

– Pewnie tego nie zobaczę – odrzekł Jaja. – Już nas tu nie będzie.

Ciocia uśmiechnęła się lekko.

– Powiadają, że kiedy jest się szczęśliwym, czas płynie szybciej. Prawda?

Wtedy zadzwonił telefon i poprosiła mnie, żebym odebrała, bo byłam najbliżej drzwi. Dzwoniła Mama. Od razu wiedziałam, że coś się stało, bo zawsze dzwonił Tata. Poza tym nigdy nie telefonował po południu.

– Ojca nie ma – zaczęła, mówiąc przez nos, jakby miała katar. – Rano musiał wyjechać.

– Dobrze się czuje? – spytałam.

– Tak, dobrze. – Słyszałam, jak rozmawia o czymś z Sisi, a wróciwszy do telefonu, powiedziała, że poprzedniego dnia żołnierze wdarli się do zakonspirowanego lokalu redakcji „Standardu”. Nikt nie wiedział, jak go znaleźli. Było ich tyłu, że przypominało to zdjęcia z czasów wojny domowej; tak ktoś powiedział Tacie. Zabrali wszystkie gazety, rozbili meble, zniszczyli prasę drukarską, zamknęli redakcję, zabrali klucze i zabili deskami drzwi i okna. I znowu aresztowali Adea Cokera.

– Martwię się o waszego ojca – dodała, zanim oddałam słuchawkę bratu. – Bardzo się o niego martwię.

Ciocia Ifeoma też była chyba zmartwiona, bo po rozmowie z Mamą poszła kupić „Guardiana”, chociaż nigdy nie kupowała gazet. Za dużo kosztowały; kiedy miała czas, czytała je na stoisku z prasą. Wzmiankę o żołnierzach i „Standardzie” zamieszczono na środkowej stronie, obok reklamy włoskich butów.

– Wujek Eugene zamieściłby ją na pierwszej – powiedziała Amaka i w jej głosie zabrzmiała nutka dumy.

Tata zadzwonił później i od razu poprosił do telefonu ciocię. Potem porozmawiał z bratem, a na końcu ze mną. Powiedział, że wszystko dobrze, że bardzo tęskni i bardzo nas kocha. Nie wspomniał o „Standardzie” ani o tym, co zaszło w redakcji. Gdy skończyliśmy rozmawiać, ciocia powiedziała:

– Wasz ojciec chce, żebyście zostali kilka dni dłużej.

Wtedy Jaja uśmiechnął się tak szeroko, że w policzkach pojawiły mu się dołeczki. Nie wiedziałam nawet, że je ma.

*

Telefon zadzwonił bardzo wcześnie, jeszcze przed poranną kąpielą. Natychmiast zaschło mi w ustach, bo byłam pewna, że chodzi o Tatę, że coś mu się stało. Ze do domu przyszli żołnierze, że go zastrzelili, żeby nie mógł już wydawać gazety. Czułam, że ciocia zaraz nas zawoła, chociaż mocno za-

cisnęłam pięści, żeby odwieść ją od tego siłą woli. Rozmawiała przez chwilę, a kiedy wróciła, robiła wrażenie przygaszonej. Tego dnia śmiała się znacznie rzadziej, a gdy Chima chciał usiąść obok niej, warknęła: „Daj mi spokój! *Nekwa anya*, nie jesteś już małym dzieckiem”. Gdy jadła, drżała jej szczęka.

Podczas obiadu wpadł ksiądz Amadi. Przystawił sobie krzesło z saloniku i popijał wodę ze szklanki, którą przyniosła mu Amaka.

– Grałem w piłkę na stadionie, a potem zabrałem kilku chłopców do miasta na *akara* i smażony jam – odrzekł, gdy Amaka spytała go, co robił przed południem.

– Dlaczego nie powiedział ksiądz, że dzisiaj gracie?

– spytał Obiorą.

– Przepraszam, zapomniałem, ale w przyszły weekend zabiorę ciebie i Jaja, i na pewno pogramy. – Przepraszająco zniżył głos.

Nie mogłam się powstrzymać i cały czas gapiłam się na niego, bo ten głos mnie przyciągał, bo nie wiedziałam, że ksiądz może grać w piłkę. Myślałam, że to bezbożne, prostackie. On też na mnie spojrzął i szybko spuściłam oczy.

– Może i Kambili z nami zagra – zaproponował.

Słyszając swoje imię wypowiedziane tym melodyjnym głosem, cała się w środku spięłam. Szybko wypchałam sobie usta jedzeniem, jakbym chciała coś powiedzieć, ale jakbym nie mogła. – Kiedyś grała z nami Amaka, ale teraz woli słuchać afrykańskiej muzyki i budować zamki z piasku.

Kuzyni wybuchli śmiechem. Najgłośniej śmiała się Amaka, nawet Jaja się uśmiechnął. Ale ciocia się nie śmiała. Skubiąc jedzenie, patrzyła gdzieś w dal.

– Ifeomo, czy coś się stało? – spytał ksiądz Amadi.

Ciocia pokręciła głową i westchnęła, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę, że nie jest sama.

– Dostałam wiadomość. Nasz ojciec jest chory. Podobno niedomaga już od trzech dni. Chcę go tu przywieźć.

– *Ezi okurn?* – Ksiądz zmarszczył brwi. – Tak, powinna pani.

– Papa-Nnukwu jest chory? – spytała piskliwym głosem Amaka. – Kiedy się dowiedziałas?

– Dziś rano, jego sąsiadka dzwoniła. Nwamgba to dobra kobieta. Żeby za-telefonować, poszła aż do Ukpo.

– Czemu nic nie powiedziałaś?! – krzyknęła Amaka.

– *O gini?* Przecież mówię, prawda? – warknęła ciocia.

– Kiedy jedziemy? – spytał spokojnie Obiorą i znowu, jak wiele razy przedtem, stwierdziłam, że jest o wiele doroślejszy niż Jaja.

– Nie starczy mi benzyny, nie dojadę nawet do Dziewiątej Mili i nie wiem, kiedy będzie transport. Nie stać mnie na taksówkę. Autobusem? Przewozić starego, schorowanego człowieka w tym tłoku, z głową pod czyjąś śmierdzącą pachą? – Ciocia ciężko westchnęła. – Jestem zmęczona. Jestem taka zmęczona...

– Mamy trochę benzyny – powiedział cicho ksiądz Amadi. – To nasz żelazny zapas, ale na pewno uda mi się załatwić cztery, pięć litrów. Ekwuzina, niech się pani nie smuci.

Ciocia podziękowała mu, ale twarz wciąż miała posępną, a potem, kiedy odmawialiśmy różaniec, śpiewała ciszej niż zwykle. Próbowałam medytować nad Tajemnicami Radosnymi, ale cały czas zastanawiałam się, gdzie Papa-Nnukwu będzie spał. Wybór był niewielki: w saloniku spali chłopcy, pokój cioci służył za spizarnię, bibliotekę i sypialnię jej i Chimy, pozostawał więc tylko pokój Amaki – i mój. Zastanawiałam się też, czy będę musiała wyświadczyć się z tego, że dzieliłam go z poganinem. Przestałam na chwilę medytować i pomodliłam się do Boga, żeby Tata nigdy się o tym nie dowiedział, ani o odwiedzinach Papa-Nnukwu, ani o tym, że spałam w jednym pokoju z bezbożnikiem.

Pod koniec piątej dziesiątki, zanim zmówiliśmy Zdrowaś Mario, ciocia pomodliła się za swego ojca. Prosiła Boga, żeby uzdrowił go dotknięciem ręki, tak jak uzdrowił teściową apostoła Piotra. Prosiła Błogosławioną Dziewicę, żeby się za niego modliła. I anioły, żeby się nim zaopiekowały.

Powiedziałam „Amen” z lekkim opóźnieniem i zaskoczeniem. Modląc się za Papa-Nnukwu, Tata prosił Boga tylko o jego nawrócenie i zbawienie od mąk piekielnych.

Nazajutrz ksiądz Amadi przyjechał bardzo wcześnie i w sięgających tuż za kolana brązowych szortach wyglądał jeszcze bardziej jak nieksiądz. Nie ogolił się i w jasnych promieniach porannego słońca na jego policzkach widać było maleńkie kropeczki zarostu. Zaparkował obok samochodu cioci, wyjął kanister i kawałek ogrodowego węża.

– Ja poszę – powiedział Obiorą.

– Tylko nie połknij – odrzekł ksiądz.

Obiorą wetknął jeden koniec węża do kanistra, drugi włożył sobie do ust,

mocno nadął policzki, wciągnął powietrze, szybko wyjął z ust końcówkę węża i wsunął ją do wlewu paliwa w samochodzie cioci. Głośno przy tym prychał i kaszłał.

– Napileś się – spytał ksiądz Amadi, klepiąc go w plecy.

– Nie – wykrztusił Obiorą. Chyba był z siebie dumny.

– Dobra robota. *Imana*, spuszczenie benzyny to dzisiaj cenna umiejętność.

– Uśmiechnął się gorzko, lecz uśmiech ten nie zburzył jego rysów gładkich jak ulepione z gliny. Z domu wyszła ciocia Ifeoma w prostej, czarnej sukience. Nie umalowała sobie ust i miała spękane wargi. Objęła księdza na powitanie i powiedziała:

– Dziękuję, ojcze.

– Po południu, po pracy, mógłbym tam panią podrzucić.

– Nie, dziękuję, pojedę z Obiorą.

Obiorą usiadł na przednim siedzeniu i pojechali, a zaraz potem odjechał ksiądz. Chima poszedł do sąsiadów z góry, Amaka do siebie i puściła muzykę tak głośno, że słyszałam ją aż na werandzie. Umiałam już rozróżnić tych wszystkich świadomych kulturowo muzyków, rozpoznać czyste brzmienie utworów Onyeka Onwenu, krzykliwy wigor Feli czy kojącą mądrość Osadebe. Jaja wziął sekator i poszedł do ogródka, a ja obserwowałam go z werandy, kończąc książkę. Trzymał sekator wysoko nad głową, obiema rękami, i ciął.

– Myślisz, że jesteśmy nienormalni? – szepnęłam.

– *Gini*?

– Amaka powiedziała, że jesteśmy nienormalni.

Popatrzył na mnie, a potem spojrział na rząd pomarańczowych garaży przed domem.

– Co znaczy „nienormalni”? – I ponieważ pytanie to nie wymagało odpowiedzi – nie było nawet pytaniem – znowu zajął się przycinaniem krzewów.

Ciocia wróciła po południu, akurat gdy brzęczenie pszczół w ogródku zaczynało mnie usypiać. Obiorą pomógł dziadkowi wysiąść z samochodu i w drodze do drzwi cały czas go podtrzymywał. Amaka wybiegła z domu i lekko się do niego przytuliła. Papa-Nnukwu miał zwieszoną głowę i ciężkie jak ołów powieki, mimo to uśmiechnął się, powiedział coś i Amaka wesoło zachichotała.

– Papa-Nnukwu, *nno* – powiedziałam.

– Kambili – rzekł cicho.

Ciocia chciała, żeby położył się na łóżku Amaki, ale on wolał podłogę. Łóżko było za bardzo sprężyste. Obiorą i Jaja oblekli zapasowy materac i ciocia pomogła mu się położyć. Niemal od razu zamknął oczy, ale to ślep-nące pozostało lekko otwarte, jakby ukradkiem zerkało na nas z krainy chorego, udręczonego snu. Leżąc, wydawał się wyższy, bo zajmował prawie całą długość materaca i przypomniało mi się, jak mówił, że w młodości zrywał icheku, stojąc na ziemi. Jedyne drzewo icheku, które widziałam, było tak olbrzymie, że muskało gałęzmi dach domu. Mimo to wierzyłam mu, wierzyłam, że aby je zerwać, musiał tylko wyciągnąć rękę.

– Zrobię na obiad *ofe nsala* – oznajmiła Amaka. – Papa-Nnukwu lubi *ofe nsala*.

– Mam nadzieję, że coś zje. Chinyelu mówi, że od dwóch dni z trudem przełyka nawet wodę. – Ciocia popatrzyła na niego, nachyliła się i delikatnie pogłaskała białe, chropowate nagniotki na jego stopach. Podeszwy miał poprzecinane cienkimi rysami, które wyglądały jak pęknięcia w murze.

– Zawieziesz go jutro do przychodni? – spytała Amaka.

– Zapomniałaś, *imarozi*, że tuż przed świętami lekarze ogłosili strajk? Ale przed wyjazdem dzwoniłam do doktora Nduomy i ma dziś przyjść.

Doktor Nduoma też mieszkał przy Marguerite Cartwright Avenue, niedaleko, w jednym z bliźniaków z tabliczką z napisem UWAGA ZŁY PIES i dużym trawnikiem od frontu. Jest kierownikiem przychodni, powiedziała nam Amaka, gdy kilka godzin później wysiadał z peugeota 504. Ale odkąd lekarze zastrajkowali, prowadził małą klinikę w mieście. Klinika była bardzo zatłoczona i kiedy, zachorowawszy na malarię, Amaka chodziła tam na zastrzyki z chlorochiny, pielęgniarka gotowała wodę na kopcącej kuchence naftowej. Dlatego cieszyła się, że doktor przyjechał tutaj – w klinice udusiłaby się od samego tylko dymu.

Doktor Nduoma cały czas się uśmiechał i pewnie z takim samym uśmiechem przekazywał pacjentom złe nowiny. Objął na powitanie Amakę, uściśnął rękę mojemu bratu i mnie, i poszedł do sypialni zbadać Papa-Nnukwu.

– Dziadek jest taki chudy – powiedział Jaja.

Siedzieliśmy obok siebie na werandzie. Słońce już zaszło i wiał lekki wiatr. Dzieci sąsiadów grały w piłkę. Ktoś z góry krzyknął:

– *Nee anya*, jeśli narobicie piłką śladów na garażu, uszy wam poobcinam!

Dzieci roześmiały się i zakurzona piłka znowu uderzyła w cętkowaną ścia-

nę, pozostawiając na niej kolejny brązowy ślad.

– Myślisz, że Tata się dowie? – spytałam.

– Że co?

Splotłam palce. Nie wiedział, o czym mówię? Jak to możliwe?

– Że Papa-Nnukwu tu jest. Że mieszkamy w tym samym domu.

– Nie wiem.

Powiedział to tak, że aż na niego popatrzyłam. Myślałam, że jest zmar-twiony, że ma zmarszczone brwi, tak samo jak ja, tymczasem on był zupełnie spokojny.

– Powiedziałaś cioci o palcu? – Nie powinnam była pytać. Nie powinnam była do tego wracać. Ale stało się, zapytałam. Blokujące słowa bańki powie-trza pękały mi w gardle tylko wtedy, gdy byliśmy sami.

– Spytała, to powiedziałem. – Siedział i przytupywał nogą, wybijając ener-giczny rytm.

Popatrzyłam na swoje ręce, na paznokcie, które Tata obcinał mi bardzo krótko – siadałam wtedy między jego nogami, czując, jak delikatnie pociera policzkiem o mój policzek; było tak, aż podrosłam i mogłam robić to sama, ale sama też obcinałam paznokcie najkrócej, jak się tylko dało. Czy Jaja za-pomniał, że nigdy nic nie mówiliśmy, że nie mówiliśmy nikomu o tylu rze-czach? Gdy pytano go o ten palec, zawsze odpowiadał, że „w domu tak mi się zrobiło”. Dzięki temu nie popełniał grzechu kłamstwa, a ludzie myśle-li, że był jakiś wypadek, że na przykład zmiażdżyły mu go ciężkie drzwi. Chciałam spytać, dlaczego powiedział cioci, ale wiedziałam, że nie mam po co, że jest to jedno z pytań, na które brat nie zna odpowiedzi.

– Przetnę samochód cioci – rzucił, wstając. – Szkoda, że nie ma bieżącej wody, bobym go umył. Jest taki zakurzony.

Wszedł do mieszkania. W domu nigdy nie mył samochodu. I miał chyba szersze ramiona – czy to możliwe, żeby rozrosły się tak ledwie w tydzień? Wiatr niósł zapach pyłu i ściętych liści. Szczypał mnie w nos dochodzący z kuchni ostry zapach *ofe nsala*. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że Jaja wystukiwał nogą rytm pieśni, którą ciocia Ifeoma i jej dzieci śpiewały pod-czas wieczornego różańca.

Kiedy doktor wyszedł, wciąż siedziałam na werandzie i czytałam. W dro-dze do samochodu rozmawiał z ciocią i śmiał się, mówiąc, że ma ochotę za-pomnieć o czekających w klinice pacjentach i zostać na obiad.

– Zupa pachnie tak wspaniale, że przed gotowaniem Amaka musiała do-

brze umyć ręce – powiedział.

Ciocia Ifeoma stanęła na werandzie, żeby popatrzeć, jak odjeżdża.

– Dziękuję, *nna m!* – zawołała do swojego brata, który wciąż czyścił samochód przed domem. Nigdy dotąd nie słyszałam, żeby nazywała go *nna m*, ojcem. Czasem mówiła tak na swoich synów.

Jaja wszedł na werandę.

– Nie ma za co, ciociu – odrzekł i wyprostował ramiona jak ktoś, kto z dumą nosi za duże na niego ubranie.

– Co powiedział lekarz?

– Chce, żebyśmy zrobili badania. Jutro zawiozę Papa-Nnukwu do przychodni uniwersyteckiej. Przynajmniej laboratorium jest jeszcze otwarte.

Zawiozła go wczesnym rankiem, ale szybko wróciła. Była nie w humorze. Technicy z laboratorium też strajkowali i nie zrobili dziadkowi ani jednego badania. Patrząc w dal, powiedziała, że musi teraz poszukać prywatnego laboratorium, i cichym głosem dodała, że te prywatne pobierają tak wysokie opłaty, że zwykłe badanie na dur brzuszny kosztuje więcej niż lekarstwo. I że spyta doktora Nduoma, czy Papa-Nnukwu koniecznie musi zrobić wszystkie. W przychodni nie zapłaciłaby za badania ani kobo; przynajmniej taką miała korzyść z tego, że pracowała na uniwersytecie. Gdy Papa-Nnukwu się położył, ze zmarszczonym z niepokoju czołem poszła kupić przepisane przez doktora lekarstwa.

Ale tego wieczoru Papa-Nnukwu poczuł się na tyle dobrze, że wstał na kolarcję i ciocia trochę się uspokoiła. Jedliśmy *ofe nsala* z obiadu i *garri*, które Obiorą rozgniółł w mózdzierzu do lepkiej miękkości.

– Nie powinno się jeść *garri* na noc – powiedziała Amaka. Ale nie zmarszczyła brwi jak wtedy, gdy na coś narzekała. Na ustach miała ten świeży uśmiech, który odsłaniał szczerbę między jej zębami, uśmiech, którym uśmiechała się w obecności Papa-Nnukwu. – Jest ciężkostrawne.

Papa-Nnukwu zachichotał.

– A co jadal na noc nasi ojcowie, *gbo*? Czysty maniok. *Garri* jest dla tych nowoczesnych. Daleko mu do manioku.

– Ale i tak musisz wszystko zjeść, *nna anyi*. – Ciocia wzięła trochę *garri* z jego talerza, zrobiła palcem dziurkę, wetknęła do niej białą tabletkę, ugniotła z *garri* kulkę i położyła ją z powrotem na talerzu dziadka. Potem ugniotła jeszcze cztery kulki i powtykała w nie pozostałe cztery tabletki. – Inaczej nie

weźmie lekarstw – wyjaśniła po angielsku. – Mówi, że pigułki są gorzkie, a szkoda, że nie próbowaliście orzeszków kola, którymi się zajada. Smakują jak żółć.

Amaka, Obiorą i Chima wybuchli śmiechem.

– Poczucie moralności i smaku to pojęcia bardzo względne – zauważył Obiorą.

– Hę? Co wy o mnie gadacie, *gbo*? – spytał Papa-Nnukwu.

– *Nna anyi*, chcę widzieć, jak to połykasz – odparła ciocia Ifeoma.

Kulka po kulce, Papa-Nnukwu posłusznie brał *garri*, maczał je w zupie i połykał. Gdy połknął pięć, ciocia kazała mu popić wodą, żeby lekarstwo się rozpuściło i zaczęło działać. Dziadek popił i odstawił szklankę.

– Kiedy człowiek jest stary, traktują go jak dziecko – mruknął.

W tej samej chwili w telewizorze coś zaszemrało, jak sypiący się na papier piasek, i zgasło światło. W pokoju zapadła ciemność.

– No nie! – jęknęła Amaka. – Wyłączyli światło. Chciałam obejrzeć coś w telewizji.

Obiorą znalazł po omacku dwie lampy naftowe w kącie pokoju i je zapalił. Niemal natychmiast doszedł mnie zapach nafty; zaczęły mi łzawić oczy, drapało mnie w gardle.

– Papa-Nnukwu, opowiedz nam jakąś bajkę, tak jak w Abba – poprosił Obiorą.

– *O di mma*. Ale najpierw musicie mi powiedzieć, jak ci ludzie włączą do telewizora.

Moi kuzyni roześmiali się wesoło. Dziadek często ich tak rozśmieszał. Poznałam to po tym, że zaczęli się śmiać, zanim jeszcze skończył mówić.

– Opowiedz o żółwiu – zapiszczał Chima. – O tym, dlaczego ma pękniętą skorupę.

– Chciałbym wiedzieć, dlaczego w naszych bajkach tak często występują żółwie – powiedział po angielsku Obiorą.

– O żółwiu z pękniętą skorupą, opowiedz o żółwiu!

– powtórzył Chima.

Papa-Nnukwu odchrząknął.

– Dawno, dawno temu, kiedy zwierzęta jeszcze mówiły i kiedy było mało jaszczurek, w królestwie zwierząt zapanował wielki głód. Wyschły pola, popękała ziemia. Z głodu zmarło wiele zwierząt, a te, które przeżyły, nie miały nawet siły, żeby odtańczyć taniec żałobny na pogrzebie. Pewnego dnia samce

zwołały naradę, żeby zdecydować, co można zrobić, zanim głód ich wszystkich zabije.

Chude jak szkielet i osłabione, szły na zabranie, chwiejąc się i potykając. Nawet ryk lwa brzmiał teraz jak pisk myszy. Żółw z trudem dźwigał swoją skorupę. Tylko pies wyglądał dobrze. Był zdrowy, miał lśniąca sierść i nawet nie sterczały mu żebra, bo pod skórą miał tłuszcz. Wszystkie zwierzęta pytały go, jak zdołał zachować tak dobrą formę podczas głodu. „Jem odchody, jak zwykle”, odpowiadał pies. Kiedyś zwierzęta naśmiewały się z niego, bo on i jego rodzina byli z tego znani. Jeść odchody? Nie mogły sobie tego wyobrazić. Lew, który przewodniczył naradzie, powiedział: „Ponieważ nie możemy jeść odchodów, tak jak pies, musimy wymyślić coś innego, inaczej pomrzemy”. Zwierzęta myślały długo i intensywnie, wreszcie zając zaproponował, żeby zabić swoje matki i je zjeść. Wiele zwierząt nie chciało tego zrobić, bo wciąż pamiętały, jak słodko smakowało mleko, którym je karmiły. Ale w końcu uznały, że to najlepsze wyjście, że jeśli nic nie zrobią, wszystkie pomrą.

– Nie mógłbym zjeść mamy – zachichotał Chima.

– Kiepski pomysł, ma twardą skórę – dodał Obiorą.

– Matki nie zaprotestowały – kontynuował Papa-Nnukwu – poświęciły się dla dobra ogółu. Co tydzień zwierzęta zabijały jedną, dzieliły się mięsem i wkrótce wszystkie znowu wyglądały dobrze. Za kilka dni miały zabić matkę psa, ale wtedy pies przybiegł do nich, wyjąc żałobną pieśń. Okazało się, że jego matka zmarła na zarazę. Zwierzęta bardzo mu współczuły i zaproponowały, że pomogą mu ją pochować; ponieważ zmarła na zarazę, nie mogły jej zjeść. Ale pies odmówił i powiedział, że pochowa ją sam. Był zrozpaczony, że nie dostała zaszczytu poświęcenia się dla dobra wsi, tak jak inne matki.

Kilka dni później żółw wracał na swoje spalone słońcem gospodarstwo, żeby zobaczyć, czy nie zostało tam jakichś warzyw do zebrania. Przystanął w krzakach, żeby się załatwić, ale ponieważ krzaki uschły, prawie wcale go nie zasłaniały. Spojrzał więc przed siebie i zobaczył, że nieco dalej stoi pies. Pies stał i śpiewał z zadartym łbem. Śpiewa do nieba? – pomyślał żółw. Po co? Pewnie postradał rozum z rozpacz. Wyteżył słuch i usłyszał: „*Nne, nne, matko moja, matko*”.

– *Njemanze!* – odkrzyknęli chórem moi kuzyni.

– *Nne, nne, już jestem.*

– *Njemanze!*

– *Nne, nne*, spuść sznur, już przyszedłem.

– *Njemanze!*

Wtedy żółw podszedł bliżej i zażądał wyjaśnień. Pies przyznał, że jego matka wcale nie umarła, że poszła do nieba, gdzie mieszkała z zamożnymi przyjaciółmi. Wyglądał tak dobrze, bo codziennie go dokarmiała. „To potworne! – ryknął żółw. – A nam wmawiałeś, że jesz odchody! Zaczekaj tylko, aż wieś się dowie!”

Oczywiście żółw był chytry, jak to żółw. Nie miał zamiaru nikomu o tym mówić. Wiedział, że pies zechce go przekupić i zaproponuje mu wyprawę do nieba. Kiedy to zrobił, żółw udał, że się zastanawia, ale z pyska już ciekła mu ślinka. Pies zaśpiewał jeszcze raz, z nieba spuścił się sznur i weszli na górę.

Matka psa nie była zadowolona, że syn przyprowadził kolegę, ale nakarmiła obydwu. Żółw jadł jak zwierzę bez żadnego wychowania. Pożarł prawie całe *fufu* i zupę *onugbu*, a potem wlał sobie do gardła cały róg wina palmowego, chociaż miał w pysku pełno jedzenia. Zjedli i zeszli po sznurze na dół. Żółw obiecał psu, że nic nikomu nie powie, pod warunkiem że do końca głodu będzie mógł chodzić z nim do nieba. Pies na to przystał, bo co mógł zrobić? Im więcej żółw jadł, tym bardziej robił się żarłoczny, aż pewnego dnia postanowił, że pójdzie do nieba sam i zje porcję psa. Przyszedł na umówione miejsce w buszu i zaczął śpiewać, naśladując jego głos. Opadł sznur. Wtedy nadbiegł pies, zobaczył, co się dzieje i głośno zawył: „*Nne, nne*, matko moja, matko!”

– *Njemanze!* – odkrzyknęli chórem Amaka, Obiorą i Chima.

– *Nne, nne*, to nie twój syn wchodzi po sznurze!

– *Njemanze!*

– *Nne, nne*, przetnij sznur! To nie ja do ciebie idę, to żółw!

– *Njemanze!*

Matka natychmiast przecięła sznur i żółw, który był już w połowie drogi do nieba, runął w dół. Spadł na stertę kamieni i pękła mu skorupa. Od tamtego dnia żółwie mają pękniętą skorupę.

– Żółwie mają pękniętą skorupę! – zachichotał Chima.

– Nie zastanawia was, jak ta matka dostała się do nieba? – spytał po angielsku Obiorą.

– Albo kim byli jej zamożni przyjaciele – dodała Amaka.

– Pewnie przodkami psa – odparł Obiorą.

Roześmiali się moi kuzyni, roześmiał się Jaja. Papa-Nnukwu zachichotał, jakby rozumiał po angielsku, a potern oparł się wygodniej i zamknął oczy. Patrzyłam na nich, żałując, że nie przyłączyłam się do chóru.

Papa-Nnukwu obudził się najwcześniej. Chciał zjeść śniadanie, oglądając wschód słońca. Tak więc ciocia Ifeoma kazała Obiorze rozłożyć matę na werandzie i zjedliśmy razem z dziadkiem, słuchając jego opowieści o mężczyznach z wioski, którzy nacinali palmy i zbierali sok na wino, o tym, że musieli wstawać przed świtem, bo po wschodzie słońca sok robił się kwaśny, a wino podłe. Widać było, że bardzo tęskni za domem, za widokiem palm i ludzi, którzy wspinali się na nie, opasując pień rafiowym pasem.

Jedliśmy chleb i *okpa*, ale ciocia zrobiła też trochę *fufu* na lekarstwa Papa-Nnukwu, pięć miękkich kulek, które dziadek musiał przy niej zjeść. Uważnie go wtedy obserwowała, a gdy je zjadł, trochę się rozpogodziła.

– Wyzdrowieje – powiedziała po angielsku. – Niedługo zacznie zrzedzić, że chce już wracać do siebie.

– Musi trochę tu zostać – odrzekła Amaka. – Niech z nami pomieszka. Nie jestem pewna, czy ta dziewczyna dobrze się nim opiekuje.

– *Igasikwa!* Nigdy się na to nie zgodzi.

– Kiedy zawieziesz go na badania?

– Jutro. Doktor Nduoma powiedział, że zamiast czterech, można zrobić dwa. Prywatne laboratoria zawsze żądają całej zapłaty, więc najpierw muszę wpaść do banku, a w banku są takie kolejki, że dzisiaj się nie wyrobimy.

Wtedy nadjechał jakiś samochód i zanim Amaka zdążyła spytać: „Czy to nie ksiądz Amadi?”, poznałam, że to on. Jego małą toyotę widziałam tylko dwa razy, ale wypatryłabym ją zawsze i wszędzie. Zaczęły trząść mi się ręce.

– Mówił, że wpadnie przywitać się z Papa-Nnukwu – powiedziała ciocia.

Ksiądz był w sutannie, długiej, luźnej i przepasanej czarnym sznurem, mimo to szedł długim, swobodnym, przykuwającym uwagę krokiem. Uciekłam do mieszkania i wyjrzałam na podwórze przez okno w sypialni, to z dziurą w żaluzjach. Przytknęłam twarz do szyby, do siatki z małym rozdarcie, na które Amaka zrzucała winę za każdą wieczorną ćmę trzepoczącą wokół palącej się żarówki. Ksiądz Amadi stał tuż pod oknem, stał tak blisko, że widziałam jego włosy falujące jak woda we wzburzonym strumieniu.

– Szybko wyzdrowiał, *Chukwu aluka* – mówiła ciocia.

– Bóg nie opuszcza nas w potrzebie – odrzekł ksiądz tak radośnie, jakby Papa-Nnukwu był jego własnym krewnym. Jechał do Isieniu, żeby odwiedzić przyjaciela, który właśnie wrócił z misji w Papui-Nowej Gwinei. – Obiorą, Jaja, wpadnę po was wieczorem i pojedziemy na stadion. Zagramy z chłopakami z seminarium.

– Dobrze, ojcie – odrzekł silnym głosem Jaja.

– A gdzie Kambili?

Gwałtownie zafalowały mi piersi. Nie wiedziałam dlaczego, ale ucieszyłam się, że wypowiedział moje imię, że w ogóle je pamiętał.

– Chyba jest w domu – odparła ciocia Ifeoma.

– Jaja, powiedz jej, że jeśli chce, może zagrać z nami.

Gdy przyjechał wieczorem, udałam, że śpię. Odczekałam, aż odjadą, i dopiero wtedy wróciłam do saloniku. Nie chciałam jechać, ale gdy tylko ucichł warkot silnika, miałam ochotę za nimi pobiec.

Amaka powoli nacierała wazeliną rzadkie kępki włosów na głowie dziadka. Potem wygładziła mu talkiem twarz i pierś.

– Kambili – powiedział Papa-Nnukwu na mój widok. – Twoja kuzynka ładnie maluje. W dawnych czasach przyozdabiałały ołtarze naszych bogów.

Był senny, pewnie przez te lekarstwa. Amaka nawet na mnie nie spojrzała. Poklepała go po głowie – tak łagodnie, pieszczotliwie – i usiadła na podłodze. Obserwowałam płynne ruchy jej ręki, ruchy pędzla, którym przenosiła farbę na papier. Malowała tak szybko, że pomyślałam, iż wyjdą z tego jakieś bazgroły, ale gdy spojrzałam na papier, zamiast bazgrołów zobaczyłam wyraźny zarys postaci, smukłej i wdzięcznej. Słyszałam tykanie zegara na ścianie, tego ze zdjęciem papieża z pastorałem. Zapadła delikatna cisza. Ciocia Ifeoma skrobała przypalony garnek w kuchni i zgrzyt-zgrzyt-zgrzyt, zgrzytanie metalowej łyżki o dno brzmiało jak irytujący dysonans. Amaka i Papa-Nnukwu mówili coś od czasu do czasu, ich ciche głosy splatały się ze sobą i zlewały. Rozumieli się bez słów. Patrząc na nich, zatęskniłam za czymś, czego – dobrze o tym wiedziałam – nigdy nie będę miała. Chciałam wstać i wyjść, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa, przestały słuchać rozkazów. W końcu jednak wstałam i poszłam do kuchni; ani Amaka, ani Papa-Nnukwu nie zauważyli nawet, że już mnie nie ma.

Ciocia Ifeoma siedziała na niskim stołku. Zdejmowała brązową skórkę z gorących kokojamów i wrzucała lepki miąższ do drewnianego moździerza, od czasu do czasu chłodząc ręce w misce z zimną wodą.

– Czemu tak wyglądasz, o *gini*? – spytała.

– To znaczy jak, ciociu?

– Masz łzy w oczach.

Rzeczywiście, miałam.

– Pewnie je sobie zaproszyłam.

Chyba mi nie uwierzyła.

– Pomożesz mi?

Przystawiłam sobie stołek i usiadłam. Pod jej palcami skórka schodziła bardzo łatwo, ale kiedy ja ucisnęłam koniec jamu, skórka ani drgnęła i sparzyłam się tylko w palec.

– Najpierw namocz rękę w wodzie. – Ciocia pokazała mi, jak i gdzie uciskać, żeby skórka schodziła gładko i szybko. Sama rozcierała jam w mózdzierzu, często zanurzając tłuczek w wodzie, żeby miąższ się nie przyklejał, mimo to trochę się przyklejał i do tłuczka, i do jej ręki. Był lepki, ale to dobrze, powiedziała, bo dobrze zagęści *onugbu*.

– Widzisz, jak Papa-Nnukwu wydobrzeał? Tak długo pozuje Amace. To cud. Najświętsza Panienka nie opuściła nas w potrzebie.

– Ale jak Ona może wstawiać się za poganinem, ciociu?

Ciocia przełożyła gęsty miąższ z mózdzierza do garnka z zupą, potem spojrzała na mnie i powiedziała, że Papa-Nnukwu nie jest poganinem, tylko tradycjonalistą, że to, co obce, jest czasem równie dobre jak to, co znane, że *itu-nzu*, wyznanie niewinności, które odmawia co rano, jest tym samym co nasz różaniec. Mówiła coś jeszcze, ale jej nie słuchałam, bo dobiegł mnie śmiech Amaki i dziadka, i zastanawiałam się, z czego się śmieją i czy przestaliby się śmiać, gdybym tam weszła.

Ciocia obudziła mnie, gdy w pokoju było jeszcze ciemno i w oddali cichło granie nocnych świerszczy. Za oknem piał kogut.

– *Nne*. – Klepnęła mnie w ramię. – Papa-Nnukwu jest na werandzie. Idź i popatrz.

Poczułam się tak, jakbym wcale nie spała, chociaż powieki musiałam rozwierać palcami. Od razu przypomniało mi się to, co mówiła o nim poprzedniego dnia, że nie jest poganinem, tylko tradycjonalistą. Mimo to wciąż nie wiedziałam, dlaczego chce, żebym poobserwowała go na werandzie.

– *Nne*, tylko bądź cicho, pamiętaj – szepnęła, żeby nie obudzić Amaki. – Stój i patrz.

Nie zdejmując różowo-białej koszuli nocnej w kwiatki, owinełam się spódnicą i po cichu wyszłam z sypialni. Drzwi na werandę były uchylone, do saloniku wpadała smużka szkarłatnej poświaty, zapowiedź świtu. Nie chciałam zapalać światła, żeby Papa-Nnukwu nic nie zauważył, więc przystanąłam pod ścianą za drzwiami.

Papa-Nnukwu siedział ze skrzyżowanymi nogami na niskim drewnianym stołku. Rozwiązał mu się węzeł i wypłowiała niebieska zawijka zsunęła się na stołek i podłogę. Tuż obok niego stała lampa naftowa. Ledwo się tliła, zalewając migotliwym blaskiem wąską werandę, siwe, szczeciniaste włosy na jego piersi, zwiotczałą skórę na nogach. Nachylił się i narysował na podłodze krótką linię, która po chwili jakby zżółkła, i nie podnosząc głowy, zaczął do niej przemawiać, a przynajmniej tak to wyglądało. Ale wiedziałam, że modli się do swoich bogów albo do przodków; ciocia mówiła, że można do jednych i drugich.

– Chineke! Dziękuję ci za ten nowy poranek! Dziękuję za wschodzące słońce. – Drżała mu dolna warga. Może właśnie dlatego jego słowa się ze sobą zlewały i gdyby tę modlitwę spisać, powstałoby jedno długie słowo. Pochylił się i narysował drugą linię, szybko, z dziką zawziętością, tak że aż zadrżały mu mięśnie na ręku, która zaraz potem zwiśla jak długi brązowy kapciuch. – Chineke! Nikogo nie zabiłem, nikomu nie odebrałem ziemi, nie popełniłem cudzołóstwa. – Narysował na podłodze trzecią linię. Zatrzeszczał stołek. – Chineke! Nie życzyłem innym tego, co dla mnie niemiłe. Dzieliłem się z potrzebującymi tym, czym mogłem, choć miałem niewiele.

Gdzieś w pobliżu znowu zapiał kogut, długo i żałośnie.

– Chineke! Pobłogosław mnie. Daj mi tyle jedzenia, żebym mógł napełnić sobie brzuch. Pobłogosław moją córkę, Ifeomę. Niechaj ona i jej rodzina też nie chodzą głodni. – Poruszył się na stołku. Pępek, który musiał być kiedyś wystający, skurczył mu się i opadł jak pomarszczony bakłazan. – Chineke! Pobłogosław mojego syna Eugenea. Niechaj nad jego włoskami zawsze świeci słońce. I zdejmij z niego klątwę, którą na niego rzucili. – Papa-Nnukwu nachylił się i narysował na podłodze jeszcze jedną linię. Zaskoczyło mnie, że modli się za Tatę z taką samą gorliwością jak za siebie i ciocię Ifeomę. – Chineke! Pobłogosław dzieci moich dzieci. Prowadź ich wzrokiem od złego ku dobremu. – Mówiąc, cały czas się uśmiechał. W złotawym blasku lampy naftowej jego przednie zęby były ciemnożółte jak ziarna świeżej kukurydzy, a dziąsła w szerokich szczerbach zabarwione na złotawobrązowo.

– Chineke! Spraw, żeby ci, którzy życzą dobrze innym, dobrze się miewali. I żeby ci, którzy życzą innym źle, miewali się jak najgorzej. – Zamaszywym gestem narysował ostatnią linię, dłuższą niż pozostałe. Skończył.

Gdy wstał i się przeciągnął, w bruzdach i zmarszczkach na jego ciele, sękatym jak kora drzew na naszym podwórzu, zagrały złociste refleksy światła lampy naftowej. Grały nawet na starczych plamach na jego rękach i nogach. Nie odwróciłam wzroku, chociaż patrzeć na czyjś nagość jest grzechem. Teraz miał jakby mniej pomarszczony brzuch i podniósł mu się pępek ukryty między fałdami skóry. Między nogami zwisał mu wiotki kokon, chyba gładszy niż reszta ciała oplecionego zmarszczkami jak siatką na moskity. Owinął się zawijką i zrobił węzeł. Jego sutki wyglądały jak ciemne rodzyunki w siwych gniazdkach rzadkich włosów na piersi. Gdy po cichu odchodziłam, wciąż się uśmiechał. Odmawiając w domu różaniec, nigdy się nie uśmiechaliśmy. Żadne z nas.

Po śniadaniu znowu usiadł na stołku na werandzie, a Amaka na plastikowej macie na podłodze. Delikatnie wyszorowała mu stopę pumeksem, wymoczyła ją w wodzie, natarła wazeliną i zajęła się drugą. Papa-Nnukwu narzekał, że będzie miał zbyt miękkie podeszwy, że przebije je teraz nawet najbardziej miękki kamień, ponieważ wbrew nakazom cioci Ifeomy nie nosi we wsi sandałów. Ale nie poprosił, żeby Amaka dała mu spokój.

– Namaluję go na werandzie, w cieniu. Chcę uchwycić grę światła na jego skórze – powiedziała, gdy podszedł do nich Obiorą.

Wyszła ciocia w niebieskiej spódnicy i w bluzce. Jechała na rynek z Obiorą, który, jak powiedziała, potrafi obliczyć resztę szybciej niż handlarka z kalkulatorem.

– Kambili, obierzesz liście *orah*, żebym zaraz po powrocie mogła zrobić zupę?

– Liście *orah*? – powtórzyłam, głośno przełykając ślinę.

– Tak. Nie wiesz jak?

Pokręciłam głową.

– Nie, ciociu.

– W takim razie Amaka to robi. – Ciocia rozwiązała i zawiązała spódnice.

– Dlaczego? – wybuchła Amaka. – Dlatego, że bogacze nie obierają *oratii* Ja mam obierać, a ona będzie jadła?

W oczach cioci zabłyśły harde ogniki. Nie patrzyła na nią, patrzyła na mnie.

– *O ginidi*, nie masz języka w buzi, Kambili? Odszczeknij jej!

Z łodygi spadła zwiędła afrykańska lilia. Na porannym wietrze zaszeleściły krotony.

– Nie musisz krzyczeć, Amako – odparłam w końcu.

– Nie wiem, jak obiera się liście *orah*, ale możesz mnie nauczyć. – Nie mam pojęcia, skąd wypłynęły te spokojne słowa. Nie chciałam na nią patrzeć, nie chciałam widzieć jej naburmuszonej miny, nie chciałam prowokować jej do powiedzenia czegoś, na co nie znalazłabym odpowiedzi. Gdy usłyszałam chichot, początkowo myślałam, że to tylko omamy, lecz gdy na nią spojrzałam, zobaczyłam, że tak, że Amaka naprawdę się śmieje.

– A więc jednak umiesz mówić głośniej – powiedziała.

Nauczyła mnie obierać *orah*. Śliskie jasnozielone liście miały włókniste łodyżki, które trzeba było starannie usunąć, ponieważ się nie rozgotowywały. Usiadłam z tacą na kolanach i zabrałam się do pracy. Usuwałam łodyżki, wkładałam liście do miski i gdy pół godziny później wróciła ciocia, prawie skończyłam. Ciocia usiadła na stołku i zaczęła wachlować się gazetą. Strużki potu wyżłobiły równoległe ciemne bruzdy na jej upudrowanych policzkach. Jaja i Obiorą rozładowali bagażnik i ciocia poprosiła brata, żeby zostawił na werandzie kiść bananów.

– Amaka, *ka*? – spytała. – Zgadnij, ile za nie zapłaciłam.

Amaka popatrzyła krytycznym okiem na banany i rzuciła jakąś cenę. Ciocia Ifeoma pokręciła głową i powiedziała, że kosztowały czterdzieści naira więcej.

– Co takiego?! – krzyknęła Amaka. – Za tę małą kiść?

– Handlarze mówią, że coraz trudniej z transportem, bo nie ma benzyny i podbijają cenę, *o di egwu*.

Amaka podniosła banany i ucisnęła każdy palcem, jakby chciała w ten sposób sprawdzić, dlaczego są takie drogie. Zniosła je do kuchni i gdy tylko zniknęła za drzwiami, przyjechał ksiądz Amadi. W przedniej szybie toyoty rozbłyśły słoneczne refleksy. Ksiądz wysiadł i wbiegł po schodkach na werandę, podtrzymując sutannę, tak jak panna młoda podtrzymuje welon sukni ślubnej. Najpierw przywitał się z Papa-Nnukwu, potem objął ciocię Ifeomę, na końcu uścisnął rękę chłopcom. Ja też wyciągnęłam do niego rękę i zadrżała mi dolna warga.

- Kambili – powiedział, przytrzymując mi dłoń dłużej niż im.
- Jedzie ksiądz gdzieś? – spytała Amaka, wychodząc z domu. – W tej su-tannie można się chyba ugotować.
- Wiozę coś dla przyjaciela, tego misjonarza z Papui-Nowej Gwinei. W przyszłym tygodniu wraca na placówkę.
- Papua-Nowa Gwinea. Mówił, jak tam jest? – spytała ciocia.
- Opowiadał, jak płynęli kanu przez rzekę, w której roiło się od krokodyli. Nie jest pewny, czy najpierw usłyszał kłapanie ich paszcz, czy odkrył, że ma mokro w spodniach.
- Nie życzę księdzu takiej placówki – odrzekła ze śmiechem ciocia, wciąż wachlując się i popijając wodę ze szklanki.
- Nie chcę nawet myśleć, że mógłby ksiądz wyjechać – dodała Amaka. – Ciągłe nie wiadomo, dokąd i kiedy, *oktuia*?
- Nie, nie wiadomo. Może w przyszłym roku.
- Kto księdza wysyła? – Papa-Nnukwu zadał to pytanie tak nagle i niespo-dziewanie, że dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że cały czas uważnie się nam przysłuchiwał; rozmawialiśmy w igbo.
- Ksiądz Amadi jest misjonarzem – wyjaśniła Amaka. – Misjonarze jeżdżą do różnych krajów i nawracają ludzi. – Rozmawiając z dziadkiem, nigdy nie wtrącała angielskich słów, w przeciwieństwie do nas, chociaż robiliśmy to niechcący.
- *Ezi okwu*? – Papa-Nnukwu podniósł wzrok i popatrzył na księdza białym jak mleko okiem. – Naprawdę? To teraz nasi synowie jeżdżą nawracać do krainy białych?
- My jeździmy do krainy białych, biali jeżdżą do krainy czarnych – od-rzekł ksiądz Amadi. – Wszędzie tam, gdzie potrzeba księdza.
- To dobrze, synu. Ale nie okłamujcie ich. Nigdy. Nie uczcie ich pogardy dla ojców. – Dziadek spojrział w dal i pokręcił głową.
- Słyszał ksiądz? – rzuciła Amaka. – Niech ksiądz nie okłamuje tych bied-nych ignorantów.
- Będzie trudno, ale spróbuję – odrzekł po angielsku ksiądz Amadi. Gdy się uśmiechał, miał kurze łapki w kąciakach oczu.
- Wie ksiądz, to jest tak, jak z przyrządzaniem *okpa* – odezwał się Obiorą. – Miesza się mąkę z olejem palmowym, a potem godzinami gotuje na parze. Myśli ksiądz, że wyjdzie z tego sama mąka? Albo sam olej?
- O czym ty mówisz?

– O religii i ucisku.

– Powiadają, że szaleńcami są nie tylko ci nadzy żebracy na rynku – odparł ksiądz. – Widzę, że masz nawrót obłądu, że znowu mu uległeś, *okwia*?

Obiorą i Amaka wybuchli śmiechem. Amaka nigdy nie śmiała się tak głośno jak przy księdzu Amadim.

– Oto słowa prawdziwego misjonarza – powiedziała.

– Kiedy ktoś stawia ci czoło, powiedz, że zwariował.

– A wasza kuzynka siedzi cichutko i tylko nas obserwuje. Widzicie? – spytał ksiądz, wskazując mnie gestem ręki. – Nie marnuje sił na niekończące się swary. Ale powiadam wam, w jej głowie aż buzuje od myśli.

Pod pachami białej sutanny miał okrągłe plamy potu. Popatrzył na mnie i odwróciłam głowę, bo nie chciałam spotkać się z nim wzrokiem. Za bardzo się wtedy denerwowałam, zapomniałam, z kim przebywam, gdzie siedzę, jakiego koloru mam skórę.

– Kambili, ostatnim razem nie chciałaś z nami jechać.

– Ja... ja... Bo spałam.

– Ale dzisiaj pojedziesz. Tylko ty. Wpadnę po ciebie, wracając miasta. Pojedziemy na stadion. Będziesz mogła z nami zagrać albo popatrzeć.

– Ona umiera ze strachu! – rzuciła ze śmiechem Amaka. Patrzyła na mnie, ale jakoś tak inaczej niż zwykle. Nie obwinała mnie wzrokiem o coś, czego nie umiałam zrobić, i miała inną, łagodniejszą minę.

– Nie ma się czego bać, *nne*. Będziesz się dobrze bawiła.

Spojrzałam na ciocię. Na nosie miała maleńkie kropelki potu, które wyglądały jak pryszczki. Była taka szczęśliwa, taka spokojna i pomyślałam, jak to możliwe, że wszyscy są tacy rozradowani, podczas gdy we mnie szaleje płynny ogień, podczas gdy nadzieja i strach chwytają mnie za kostki u stóp.

Zaraz potem ksiądz Amadi odjechał, a wtedy ciocia powiedziała:

– Idź się przebrać, żeby na ciebie nie czekał. Najlepiej w szorty, bo nawet jeśli nie będziesz grała, pod wieczór robi się upał, a większość trybun nie ma zadaszienia.

– Pewnie dlatego, że budowali ten stadion dziesięć lat – mruknęła Amaka.

– Pieniądze trafiły do czyjejś kieszeni, jak zwykle.

– Ale ja nie mam szortów.

Ciocia nie spytała nawet dlaczego – pewnie już wiedziała – i poprosiła Amakę, żeby pożyczyła mi swoje. Myślałam, że Amaka będzie ze mnie szydzić, ale ona dała mi żółte szorty bez słowa protestu, jakby uznała, że to nor-

malne, że nie mam swoich. Długo je wkładałam, za to, w przeciwieństwie do niej, przed lustrem stałam bardzo krótko, bo dręczyłoby mnie poczucie winy. Próżność to grzech. W domu przeglądaliśmy się w lustrze tylko po to, żeby sprawdzić, czy mamy dobrze zapięte guziki.

Zaraz potem usłyszałam warkot toyoty przed domem. Wzięłam z toaletki szminkę Amaki i przeciągnęłam nią po wargach. Umalowane wyglądały dziwnie, nie tak wspaniale jak usta Amaki i nawet się nie błyszczały. Wytarłam je i spojrzałam do lustra. Były bladobrazowe, posępne. Przeciągnęłam je szminką jeszcze raz i zadrżała mi ręka.

– Kambili! Ksiądz Amadi na ciebie trąbi! – zawołała ciocia Ifeoma. Wytarłam szminkę wierzchem dłoni i wyszłam.

*

Samochód pachniał tak jak on, orzeźwiającym zapachem, który skojarzył mi się z czystym błękitnym niebem. Szorty miał chyba dłuższe niż ostatnim razem, bo sięgały aż za kolana. Ale teraz podjechały mu do góry, odsłaniając umięśnione udo obsypane drobnymi ciemnymi włosami. Siedzieliśmy blisko siebie. Bardzo blisko, za blisko. W konfesjonale też klęczałam blisko księdza i zawsze wtedy odczuwałam skruchę, ale nie umiałam odnaleźć w sobie skruchy, wdychając zapach wody kolońskiej księdza Amadiego. I ogarnęło mnie poczucie winy, ponieważ nie mogłam skupić się na moich grzechach, nie mogłam myśleć o niczym innym tylko o tym, że jest tak blisko mnie.

– Śpię w jednym pokoju z dziadkiem – wypaliłam.

– On jest poganinem.

Zerknął na mnie i zanim odwrócił głowę, zauważyłam w jego oczach dziwne iskierki. Iskierki rozbawienia?

– Dlaczego mi o tym mówisz?

– Bo to grzech.

– Dlaczego?

Poczułam się tak, jakby opuścił linijkę tekstu.

– Nie wiem.

– Ojciec ci to powiedział.

Spojrzałam w okno. Ksiądz Amadi najwyraźniej tak nie uważał i nie chciałam mieszać w to Taty.

– Wczoraj rozmawiałem z twoim bratem i trochę mi o nim opowiedział.

Zagryzłam wargę. Opowiedział? Jaja? Ale co? Co się z nim działo? Ksiądz nie odezwał się aż do stadionu, a gdy wysiedliśmy, popatrzył na bieżnię, gdzie biegali jacyś ludzie. Chłopcy jeszcze nie przyszli, więc boisko było puste. Usiedliśmy na jednej z dwóch trybun z zadaszaniem.

– Zagramy w setbol, zanim przyjdą? – spytał.

– Nie umiem.

– Grasz w szczypiorniaka?

– Nie.

– A w siatkówkę?

Spojrzałam na niego i odwróciłam wzrok. Ciekawe, pomyślałam, czy Amaka kiedyś go namaluje, czy uchwyci gładkość jego skóry, jego proste brwi, teraz lekko uniesione, bo na mnie patrzył.

– Grałam w pierwszej klasie, ale przestałam, bo... bo kiepsko mi szło i nikt nie chciał mieć mnie w drużynie.

– Wbijałam wzrok w nagie, niepomalowane trybuny, tak zapuszczone, że ze szpar w betonie wychyły już główki maleńkich zielonych roślin.

– Kochasz Jezusa? – spytał, wstając.

– Tak – odparłam zaskoczona. – Tak, kocham Jezusa.

– Udowodnij to. Spróbuj mnie złapać, pokaż, że Go kochasz.

Ledwo skończył mówić, już popędził przed siebie tak szybko, że jego niebieska koszulka tylko mignęła mi przed oczami. Nie zastanawiałam się ani chwili, wstałam i pobiegłam za nim. Wiatr smagał mi twarz, oczy i uszy. On też był jak wiatr, jak nieuchwytny niebieski wichur. Dopędziłam go dopiero wtedy, gdy zatrzymał się przy bramce.

– A więc jednak nie kochasz Jezusa – zażartował.

– Za szybko ksiądz biegł – wysapałam.

– Odpocznij i dam ci drugą szansę. Będiesz mogła udowodnić, że Go kochasz.

Ścigaliśmy się cztery razy. I ani razu go nie złapałam. W końcu upadliśmy na trawę i wcisnął mi do ręki butelkę wody.

– Masz dobre nogi, w sam raz do biegania – powiedział. – Powinnaś więcej trenować.

Odwróciłam wzrok. Nigdy dotąd nikt tak do mnie nie mówił. To, że patrzył na moje nogi, na moje ciało, było zbyt poufale, zbyt intymne.

– Czy ty nie umiesz się uśmiechać? – spytał.

– Słucham?

Wyciągnął rękę i podniósł do góry kąciki moich ust.

– Uśmiechnij się.

Chciałam, ale nie mogłam. Usta i policzki miałam jak z lodu, którego nie rozpuścił nawet spływający z nosa pot. Byłam za bardzo świadoma tego, że na mnie patrzy.

– Co to za plama? – spytał.

Spojrzałam na moją rękę, na smugę pospiesznie startej szminki na wierzchu spoczonej dłoni. Nie zdawałam sobie sprawy, że aż tyle jej nałożyłam.

– To jest... plama. – Było mi bardzo głupio.

– Od szminki?

Kiwnęłam głową.

– Malujesz sobie usta? Kiedykolwiek malowałaś?

– Nie – szepnęłam. I nagle poczułam, że na twarz wpełza mi uśmiech, że rozciąga mi usta i policzki, uśmiech pełen zażenowania i rozbawienia. Ksiądz Amadi wiedział, że tego dnia po raz pierwszy nałożyłam na usta szminkę.

Uśmiechnęłam się. A potem znowu.

– Dzień dobry, ojcze! – zabrzmiało wokoło i otoczyło nas ośmiu chłopców mniej więcej w moim wieku. Wszyscy byli w dziurawych szortach i koszulkach pranych tak często, że zupełnie straciły kolor, i wszyscy mieli na nogach strupki od ukąszeń owadów. Ksiądz Amadi zdjął podkoszulek, rzucił mi go na kolana i wybiegł z nimi na boisko. Był tylko w szortach i dopiero teraz zobaczyłam, jak szerokie ma ramiona. Na podkoszulek nawet nie zerknęłam, ale powoli, powolutku przesuwając ku niemu rękę. Cały czas patrzyłam na boisko, na śmigające nogi księdza Amadiego, na czarno-białą piłkę, na nogi chłopców, które zlewały się ze sobą i wyglądały jak jedna noga. Wreszcie dotknęłam podkoszulka, przesunęłam po nim palcami tak niepewnie, jakby mógł oddychać, jakby był częścią jego ciała, i w tym samym momencie ksiądz zagwizdał na przerwę. Przyniósł z samochodu wodę w trójkątnych plastikowych torebkach i obrane pomarańcze. Usiedli na trawie i zaczęli jeść, a ja patrzyłam, jak się śmieje, jak podpierając się łokciami, odrzuca go tyłu głowę. Ciekawe, pomyślałam, czy ci chłopcy czują się przy nim tak jak ja, czy też mają wrażenie, że widzi tylko ich i nikogo więcej. Do końca meczu trzymałam rękę na podkoszulku. Gdy zagwizdał po raz ostatni – trzy razy, z tym że trzeci gwizdek był długi, przeciągły – zerwał się wiatr i pochłodziło. Chłopcy stanęli wokół niego z pochylonymi głowami i odmówili

modlitwę. Potem ruszył w moją stronę, a oni pożegnali go głośnym:

– Do widzenia, ojcze!

Szedł pewnym, stanowczym krokiem, jak kogut, prowodyr wszystkich okolicznych kur.

W samochodzie puścił kasetę, chóralne pieśni religijne Igbo. Pierwszą z nich znałam – mama śpiewała ją czasem, gdy wracaliśmy ze szkoły z cenzurkami. On też śpiewał. Głos miał lepszy niż solista z taśmy. Gdy pieśń dobiegła końca, ściszył odtwarzacz i spytał:

– Podobał ci się mecz?

– Tak.

– Widzę Chrystusa w ich twarzach, w twarzach tych chłopców.

Milczałam. Jasnowłosy Chrystus na lśniącym krzyżu w Świętej Agnieszce i ci chłopcy z pokąsanymi przez owady nogami? Nie mogłam pogodzić ze sobą tych dwóch obrazów.

– Mieszkają w Ugwu Oba. Większość z nich nie chodzi do szkoły, bo ich rodziców na to nie stać. Ekwueme... Pamiętasz go, tego w czerwonej koszulce?

Kiwnęłam głową, chociaż nie pamiętałam. Wszystkie koszulki były jednakowe i jednakowo wypłowie.

– Jego ojciec pracował jako szofer na uniwersytecie. Ale zwolnili go w ramach redukcji etatów i Ekwueme musiał odejść z ogólniaka. Teraz pracuje jako konduktor i dobrze sobie radzi. Inspirują mnie ci chłopcy. – Przestał mówić i znowu dołączył do chóru z kasety: – *I na-asi m esona ya! I na-asi mesona ya!*

Kiwałam do rytmu głową. Ale wcale nie potrzebowaliśmy muzyki, bo wystarczyłby jego melodyjny głos. Czułam się jak w domu, jak w rodzinie, u siebie. Ksiądz Amadi pośpiewał trochę i znowu ściszył odtwarzacz.

– Nie zadałaś mi ani jednego pytania – powiedział.

– Nie wiem, o co pytać.

– Powinnaś nauczyć się tej sztuki od Amaki. Dlaczego wierzchołek drzewa rośnie do góry, a korzeń do dołu? Dlaczego jest niebo? Czym jest życie? Albo po prostu „dlaczego?”, samo „dlaczego?”

Roześmiałam się. Dziwnie to zabrzmiało, jakbym słuchała czyjś śmiechu z taśmy. Nie byłam pewna, czy kiedykolwiek słyszałam własny.

– Dlaczego ksiądz został księdzem? – wypaliłam i od razu pożałowałam, że w ogóle otworzyłam usta, że bąble powietrza w moim gardle nie zabloko-

wały tych słów. Miał powołanie, to oczywiste, powołanie, o którym mówiły wielebne siostry, prosząc nas, żebyśmy zawsze szukały go w modlitwie. Czasem wyobrażałam sobie Boga, który mnie wzywa, Jego grzmiący głos i brytyjski akcent. Nie umiał poprawnie wypowiedzieć mojego imienia i podobnie jak ksiądz Benedykt, zawsze akcentował drugą sylabę zamiast pierwszej.

– Chciałem zostać lekarzem, ale pewnego razu poszedłem do kościoła, wysłuchałem kazania i to mnie odmieniło – odparł.

– Aha.

– Żartowałem. – Zerknął na mnie zdziwiony, że tego nie wyczułam. – Nie, Kambili, to było bardziej skomplikowane. Kiedy dorastałem, dręczyło mnie wiele wątpliwości. Kapłaństwo część z nich rozwiązało.

Ciekawiło mnie, jakie to były wątpliwości i czy ksiądz Benedykt też je miał. A potem z głębokim, gwałtownym i bezsensownym smutkiem pomyślałam, że ksiądz Amadi nie przekaze tej gładkiej skóry swojemu synowi, nie weźmie go na barana, nie posadzi na tych silnych, szerokich ramionach, żeby dziecko mogło dotknąć rączką wentylatora pod sufitem.

– Ewo, spóźniłem się na spotkanie rady kapelańskiej – powiedział, spoglądając na zegarek.

– Przepraszam.

– Za co? Świetnie się bawiłem. Koniecznie musisz pojechać ze mną jeszcze raz. Jeśli nie będziesz chciała – dodał ze śmiechem – zwiążę ci ręce i nogi i zaniosę cię na stadion.

Wbiłam wzrok w deskę rozdzielczą, w niebiesko-złotą naklejkę Legionu Maryjnego. Czy nie domyślał się, że nie chcę, by odchodził? Ze nie musi mnie namawiać, że pojedę z nim na stadion i dokąd tylko zapragnie? Gdy wysiadłam z samochodu, przemknęły mi przed oczami obrazy ze stadionu. Uśmiechałam się, biegałam, śmiałam się. Piersi miałam pełne czegoś jak piana do kąpieli. Pełne lekkości. Lekkości tak słodkiej, że czułam ją na języku – smakowała jak żółty, przejrzały owoc nerkowca.

Ciocia Ifeoma masowała dziadkowi ramiona na werandzie. Pozdrowiłam ich.

– Kambili, *nno* – odrzekł Papa-Nnukwu. Robił wrażenie zmęczonego; miał zamglone oczy.

– Dobrze się bawiłaś? – spytała z uśmiechem ciocia.

– Tak, bardzo.

– Po południu dzwonił wasz ojciec – powiedziała po angielsku.

Wbiłam wzrok w czarny pieprzyk na jej górnej wardze, chcąc siłą woli zmusić ją do tego hałaśliwego śmiechu, pragnąc, żeby powiedziała, że to tylko żart. Tata nigdy nie dzwonił po południu. Poza tym telefonował przed wyjściem do pracy, więc po co miałyby robić to jeszcze raz? Musiało stać się coś złego.

– Ktoś ze wsi, pewnie z naszej rozległej rodziny, doniósł mu, że wywiozłam dziadka do Nsukka – ciągnęła po angielsku ciocia, żeby Papa-Nnukwu nie zrozumiał.

– Powiedział, że powinnam była go uprzedzić, że na to zasługuje. Bez końca powtarzał, że jego dzieci mieszkają w jednym domu z poganinem.

Ciocia pokręciła głową, jakby odczucia Taty były nieszkodliwym dziwactwem. Ale one dziwactwem nie były. Tata musiał być wściekły, że ani ja, ani mój brat nic mu o tym nie wspomnieliśmy, kiedy telefonował. Głowa szybko wypełniała mi się krwią, wodą albo potem. Wszystko jedno czym, bo i tak czułam, że gdy się tylko wypełni, od razu zemdleję.

– Chciał po was przyjechać już jutro, ale uspokołam go, obiecałam, że odwiozę was pojutrze i chyba się z tym pogodził. Miejmy nadzieję, że zdobędziemy benzynę.

– Dobrze, ciociu. – Zakręciło mi się w głowie. Ruszyłam do drzwi.

– Aha, i wyciągnął z więzienia tego redaktora – dodała ciocia, ale prawie jej nie słyszałam.

Amaka potrząsnęła mną, chociaż już nie spałam, bo obudziła mnie jej krzątaniem. Balansowałam na granicy snu i jawy, wyobrażając sobie przyjazd Taty, jego rozwścieczone, nabiegłe krwią oczy, gejzer słów w igbo z jego ust.

– Chodźmy po wodę. – Amaka przeciągnęła się.

– Jaja i Obiorą już poszli. – Mówiła tak co rano. I pozwalała mi teraz nosić baniaki. – *Nekwa*, Papa-Nnukwu jeszcze śpi. Byłby zły, gdyby przez te lekarstwa przespał wschód słońca. – Nachyliła się i łagodnie potrząsnęła go za ramię. – Papa-Nnukwu, Papa-Nnukwu, *Kunie*.

– Dziadek ani drgnął, więc powoli go obróciła. Rozwiązała mu się zawijka; był w białych szortach z wystrzępioną taśmą elastyczną. – Mamo! Mamo! – krzyknęła przeraźliwie Amaka. Przyłożyła dziadkowi rękę do piersi, gwałtownie, gorączkowo, sprawdzając, czy bije mu serce.

– Mamo!

Ciocia Ifeoma wpadła do pokoju. Była tylko w koszuli nocnej i pod cien-

kim materiałem zobaczyłam zarys jej obwisłych piersi i lekką wypukłość brzucha. Opadła na kolana i zaczęła potrząsać dziadkiem.

– *Nna anyi! Nna anyi!* – Mówiła rozpaczliwie podniesionym głosem, jakby miała nadzieję, że Papa-Nnukwu ją usłyszy i odpowie. – *Nna anyi!* – Gdy umilkła, chwytając go za nadgarstek i przykładając mu ucho do piersi, w sypialni zapadła głucha cisza, którą przerywało jedynie pianie koguta sąsiadów. Wstrzymałam oddech – stał się nagle za głośny i mógł jej przeszkadzać.

– *Ewu, zasnął. On zasnął.* – Przytuliła głowę do jego ramienia i zaczęła kiwać się do przodu i do tyłu.

Amaka szarpnęła ją za ramię.

– Przestań! Zrób mu sztuczne oddychanie usta-usta! Przestań!

Ale ciocia nie przestała i ponieważ ciało dziadka poruszało się wraz z nią, pomyślałam, że może się jednak myli i Papa-Nnukwu tylko śpi.

– *Nna m o!* Ojczy! – Jej głos zabrzmiał tak czysto, był tak wysoki, że zdawało się, iż dochodzi z sufitu. Podobny, równie przeszywający głos słyszałam w Abba, gdy przed naszym domem przechodzili żałobnicy, zawodząc i tańcząc ze zdjęciem zmarłego członka rodziny. – *Nna m o!*

– krzyczała ciocia, wciąż kurczowo obejmując dziadka.

Amaka próbowała ją odciągnąć, lecz na próżno. Do pokoju wpadli Jaja i Obiorą. Wtedy wyobraziłam sobie naszych przodków z minionych stuleci, tych, do których modlił się Papa-Nnukwu, wyobraziłam sobie, jak biegną bronić wioski i wracają z głowami wroga zatkniętymi na długich kijach.

– Mamo, co się stało? – spytał Obiorą. Nogę oblepiały mu przemoczone na dole spodnie.

– Papa-Nnukwu żyje. – Jaja powiedział to po angielsku, z wielkim przekonaniem w głosie, jak ktoś, kto bardzo pragnie, żeby jego słowa się ziściły.

Takim samym tonem głosu musiał przemawiać Bóg, gdy rzekł: „Niechaj stanie się światłość”. Jaja był tylko w dole od piżamy, też oblanym wodą. Po raz pierwszy zauważyłam rzadkie włosy na jego piersi.

– *Nna m o!* – Ciocia przywarła do dziadka całym ciałem.

Obiorą oddychał przez nos, głośno i chrapliwie. Nachylił się, chwycił ją za ramiona i zaczął powoli odciągać.

– *O zugo, przestań, mamo.* Papa-Nnukwu dołączył do swoich przodków. – Jego głos miał dziwną barwę. Pomógł cioci wstać i usiąść na łóżku.

Miała tępe spojrzenie, podobnie jak Amaka, która stała tam, wciąż patrząc na ciało dziadka.

– Zadzwoń do doktora Nduoma – powiedział Obiorą.

Jaja przykrył dziadka zawijką, ale twarz zostawił odsłoniętą, chociaż zawijka była długa. Chciałam podejść bliżej i dotknąć go, dotknąć białych włosów, które namaszczała oliwą Amaka, wygładzić zmarszczki na jego piersi. Ale nie podeszłam. Tata wpadłby w furję. Zamknęłam oczy, żebym mogła powiedzieć prawdę, gdy spyta mnie, czy widziałam, jak Jaja dotyka ciała poganina, żebym mogła odrzec. Nie, nie widziałam. Długo ich nie otwierałam i uszy też miałam chyba zatkane, bo chociaż słyszałam ich głosy, nie rozumiałam, co mówią. Gdy w końcu rozwarłam powieki, Jaja siedział na podłodze obok przykrytego zawijką dziadka. A Obiorą na łóżku z ciocią Ifeomą, która mówiła:

– Obudźcie Chimę. Trzeba mu powiedzieć, zanim przyjadą z kostnicy.

Jaja wstał i ruszył do drzwi. Idąc, wytarł spływające po policzkach łzy.

– Wyczyszczę materac – powiedział Obiorą. – To *ozu*. – Od czasu do czasu wydawał głębokie, gardłowe dźwięki, jakby się dławił. Wiedziałam, że nie płacze tylko dlatego, że był teraz *nwoke*, jedynym mężczyzną u boku matki.

– Nie – odparła ciocia. – Ja to zrobię. – Wstała, objęła go i długo stali przytuleni.

Gdy szłam do ubikacji, w uszach pobrzmiwało mi słowo *ozu*. Papa-Nnukwu był już *ozu*, był trupem.

Nacisnęłam klamkę, ale drzwi nie ustąpiły, więc napałam na nie, żeby sprawdzić, czy są na pewno zamknięte na klucz; drewno się rozsychało i czasem się zakleszczały. Wtedy usłyszałam szloch Amaki, głośny i gardłowy; płakała tak samo, jak się śmiała. Nie nauczyła się sztuki cichego płaczu, nie musiała. Chciałam odejść, pozostawić ją smutkowi, ale miałam już wilgotne majtki i żeby się nie zsiusiać, przestępowałam z nogi na nogę.

– Amaka, proszę, muszę tam wejść – szepnęłam i kiedy nie zareagowała, powtórzyłam to głośniej. Nie chciałam pukać, nie chciałam być nietaktowna. W końcu przekręciła klucz w zamku i otworzyła drzwi. Załatwiłam się najszybciej, jak mogłam, bo wiedziałam, że stoi ledwie krok dalej, czekając, aż będzie mogła wrócić i płakać dalej za zamkniętymi drzwiami.

Jeden z dwóch mężczyzn, którzy przyjechali z doktorem Nduomą, chwycił dziadka pod pachy, drugi za kostki u nóg i wynieśli sztywniejące zwłoki z pokoju. Nie mogli wziąć noszy z przychodni, bo administracja też strajkowała. Doktor powitał nas z uśmiechem na twarzy. Obiorą chciał pojechać

z ciałem do kostnicy i zobaczyć, jak wkładają je do lodówki. Ale ciocia Ifeoma powiedziała, że nie, nie musi tego oglądać. Cały czas pobrzmiwało mi w uszach słowo „lodówka”. Wiedziałam, że te w kostnicy są inne, mimo to wyobrażałam sobie, jak wpychają dziadka do takiej zwykłej, takiej, jaką mamy w domu.

Obiorą ustąpił, ale wyszedł za tymi z kostnicy i uważnie obserwował, jak wkładają *ozu* do karetki, i nawet zajrzał do środka, żeby sprawdzić, czy jest tam mata, czy nie położyli dziadka na zardzewiałej podłodze.

Gdy odjechali, karetka i doktor Nduoma, pomogłam cioci wynieść materac na werandę. Wyszorowała go do czysta detergentem, tą samą szczotką, którą Amaka szorowała wannę.

– Widziałś jego twarz, Kambili? – spytała, opierając materac o metalową balustradę, żeby wysechł.

Pokręciłam głową. Nie patrzyłam na jego twarz.

– Uśmiechał się – powiedziała ciocia. – Uśmiechał się.

Spojrzałam w bok, żeby nie widziała moich łez i żeby ja nie widziała jej łez. W mieszkaniu prawie nie rozmawialiśmy; panowała cisza, ciężka i pełna zadumy. Nawet Chima prawie cały rano przesiedział zwinięty w kącie, po cichu rysując. Ciocia ugotowała trochę jamu i zjedliśmy go, maczając plastry w oleju palmowym z czerwoną papryką. Amaka wyszła z ubikacji dopiero kilka godzin później. Miała podpuchnięte oczy i chrapliwy głos.

– Idź coś zjeść – powiedziała ciocia Ifeoma. – Ugotowałam jam.

– Nie skończyłam go malować. Powiedział, że dokończymy dzisiaj.

– Zjedz coś, *inugo* – powtórzyła ciocia.

– Gdyby w przychodni nie strajkowali, na pewno by żył.

– Nadeszła jego pora. Słyszysz? Po prostu nadeszła jego pora.

Amaka spojrzała na nią i się odwróciła. Chciałam ją objąć, powiedzieć: *Ebezi na*, otrzeć jej łzy. Chciałam głośno zapłakać razem z nią. Ale wiedziałam, że może ją to rozzłościć. Poza tym nie miałam prawa opłakiwać z nią Papa-Nnukwu; był bardziej jej dziadkiem niż moim. Ona nacierała mu włosy oliwą, podczas gdy ja zastanawiałam się, co powiedziałby na to Tata. Jaja objął ją i wyprowadził do kuchni. Wyrwała mu się, jakby chciała udowodnić, że nie potrzebuje żadnego wsparcia, mimo to szła tuż obok niego. Patrzyłam za nimi, żałując, że nie ja to zrobiłam.

– Ktoś przyjechał – powiedział Obiorą. Zdjął okulary, bo płakał, ale teraz znowu włożył je, poprawił i wstał, żeby wyjrzeć przez okno.

– Kto to? – spytała zmęczonym głosem ciocia. Było jej już wszystko jedno.

– Wujek Eugene.

Zamarłam, czując, że roztopia mi się skóra na rękach, że roztopiona miesza się z trzciniowym oparciem krzesła. Śmierć Papa-Nnukwu przesłoniła wszystko inne, zepchnęła twarz Taty w zamazane tło. Ale teraz twarz ta była w drzwiach, a jego oczy patrzyły z góry na Obiorę. Jakbym nie znała tych krzaczastych brwi, kolor skóry też był mi obcy. Może gdyby Obiorą nie powiedział: „Wujek Eugene”, nie wiedziałabym nawet, że ten wysoki mężczyzna w dobrze skrojonej białej tunice jest Tata.

– Dzień dobry – powiedziałam jak automat.

– Jak się masz, Kambili? Gdzie Jaja?

Jaja wyszedł z kuchni i wytrzeszczył oczy.

– Dzień dobry, Tato – powiedział w końcu.

– Eugene, prosiłam, żebyś nie przyjeżdżał – odezwała się ciocia Ifeoma tym zmęczonym, obojętnym tonem głosu. – Miałam odwieźć ich jutro.

– Nie mogłem pozwolić, żeby zostali tu choćby dzień dłużej – odparł Tata, rozglądając się po saloniku, patrząc to w stronę kuchni, to korytarza, jakby myślał, że jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawi się tam Papa-Nnukwu w kłębach pogańskiego dymu.

Obiorą wziął Chimę za rękę i wyszli na werandę.

– Eugene, nasz ojciec odszedł – powiedziała ciocia.

Tata spojrzał na nią i z zaskoczenia rozszerzyły mu się oczy, na których szybko wykwitły czerwone plamki.

– Kiedy?

– Dziś rano. We śnie. Kilka godzin temu zabrali go do kostnicy.

Tata powoli usiadł, ukrył twarz w dłoniach i zastanawiałam się, czy płacze, czy ja też mogłabym teraz zapłakać. Ale kiedy zabrał ręce, nie zobaczyłam w jego oczach ani śladu łez.

– Wezwałaś księdza, żeby udzielił mu ostatniego namaszczenia?

Ciocia jakby go nie słyszała i wciąż patrzyła na swoje złożone na kolanach ręce.

– Ifeomo, wezwałaś księdza? – powtórzył Tata.

– Tylko tyle masz do powiedzenia? Nic więcej, *gbo*? Nasz ojciec nie żyje! Głowę odwróciło ci do góry nogami, czy co? Nie pomożesz mi pochować własnego ojca?

– Nie mogę brać udziału w pogańskim pogrzebie, ale możemy porozmawiać z księdzem i urządzić mu katolicki.

Ciocia wstała i zaczęła krzyczeć. Drżał jej głos.

– Prędzej wystawię na sprzedaż grób mojego męża, niż urządzę ojcu katolicki pogrzeb! Słyszysz? Prędzej sprzedam grób Ifediory! Czy nasz ojciec był katolikiem? Pytam cię, Eugene, czy był katolikiem? *Uchu gba gi!*

Strzeliła palcami: rzuciła na niego klątwę. Jej policzki spływały łzami. Dławiąc się od płaczu, wyszła z pokoju.

– Kambili, Jaja, idziemy – rzucił Tata, wstając. Objął nas razem, lekko przytulił, pocałował w czubek głowy i dodał: – Spakujcie swoje rzeczy.

Większość moich ubrań była już w torbie. Stałam przy oknie w sypialni, przy tym z brakującą deszczuiką w żaluzjach i z dziurą w siatce na moskity, i pomyślałam, jak by to było, gdybym rozerwała tę dziurę jeszcze bardziej i wyskoczyła.

– *Nne.* – Ciocia pogłaskała mnie po warkoczach; nie słyszałam, jak weszła. Podała mi mój plan dnia, wciąż dokładnie złożony na cztery części.

Odwrociłam się.

– Niech ciocia powie księdzu Amadiemu, że wyjechałam, że wyjechaliśmy, i niech go ciocia od nas pożegna.

Ciocia zdążyła już otrzeć łzy i wyglądała jak dawniej. Znowu była nieustraszona.

– Dobrze – odrzekła. Wzięła mnie za rękę i odprowadziła do frontowych drzwi.

Powiał gwałtowny wiatr, tarosząc rośliny w okrągłym ogródku, wyginając pnie i gałęzie drzew, obsypując zapyłone samochody jeszcze grubszą warstwą pyłu. Obiorą zaniósł nasze torby do mercedesa; przy otwartym bagażniku czekał już Kevin. Chima się rozpłakał; wiedziałam, że nie chce, żeby Jaja wyjechał.

– Chima, *o zugo.* Niedługo się zobaczycie. Przyjadą do nas – powiedziała ciocia, obejmując go i tuląc.

Tata nie potwierdził tego ani jednym słowem, ale żeby Chima przestał płakać, objął go, dał cioci cienki zwitek banknotów, żeby kupiła mu jakiś prezent, i Chima się uśmiechnął. Gdy się zegnałyśmy, Amaka gwałtownie mrugała, ale nie wiedziałam, czy mruga tak od wiatru, czy żeby powstrzymać łzy; warstewka pyłu na jej powiekach wyglądała bardzo szykownie, jak kakaowa maskara. Wcisnęła mi do ręki coś zawiniętego w czarną folię i uciekła

do domu. Przez folię prześwitywał niedokończony portret dziadka. Szybko schowałam go do torby i wsiadłam do samochodu.

Gdy wjechaliśmy na podwórze, zobaczyłam w drzwiach Mamę. Miała napuchniętą twarz, a jej prawe oko było sinoczerwone, jak przejrzałe awokado. Uśmiechała się.

– *Umu m*, witajcie. – Objęła nas, wtuliła głowę w zagłębienie ramienia brata, potem przytuliła mnie. – Tak długo was nie było, wydaje się, że dłużej niż dziesięć dni.

– Ifeoma doglądała tego poganina – mruknął Tata, nalewając sobie wody z butelki, którą Sisi postawiła na stole. – Nie zabrała ich nawet na pielgrzymkę do Aokpe.

– Papa-Nnukwu umarł – powiedział Jaja.

Mama chwyciła się za serce.

– *Chi m!* Kiedy?

– Dziś rano – odrzekł Jaja. – We śnie.

Mama objęła się wpeł.

– *Ewu*, odszedł na wieczny odpoczynek, *etuuu*.

– Odszedł, żeby ponieść karę. – Tata odstawił szklankę. – Ifeoma nie miała na tyle rozsądku, żeby wezwać księdza. Przed śmiercią mógł się nawrócić.

– Może nie chciał – burknął Jaja.

– Niechaj spoczywa w pokoju – powiedziała szybko Mama.

Tata wytrzeszczył oczy.

– Coś ty powiedział?! Czy tego się nauczyłeś, mieszkając w jednym domu z poganinem?

– Nie – odparł Jaja.

Tata spojrzał na niego, potem na mnie i powoli pokręcił głową, jakby nasza skóra nagle zmieniła kolor.

– Wykąpcie się i zejdźcie na kolację.

Brat szedł przede mną i starałam się stawiać nogi dokładnie w tych samych miejscach co on.

Przed kolacją Tata modlił się dłużej niż zwykle. Prosił Boga o czystość dla swoich dzieci, o wypędzenie złego ducha, który kazał nam zataić prawdę o tym, że mieszkaliśmy z poganinem.

– To grzech zaniedbania, Panie – dodał, jakby Bóg tego nie wiedział.

Powiedziałam „Amen” głośniejszym głosem niż zwykle.

Na kolację był ryż i fasola z kawałkami kurczaka. Jedząc, pomyślałam, że ciocia Ifeoma podzieliłaby każdy na trzy części.

– Tato, czy mógłbym dostać klucz do mojego pokoju? – spytał Jaja, odkładając widelec. Byliśmy w połowie kolacji. Nabrałam powietrza i wstrzymałam oddech. Klucze do naszych pokoi zawsze miał Tata.

– Co?

– Klucz do pokoju – powtórzył Jaja. – *Makana*, chciałbym mieć trochę prywatności.

Tacie gwałtownie zatańczyły źrenice.

– Co takiego? Po co ci prywatność? Chcesz zgrzeszyć, popełnić gwałt na własnym ciele? Tego chcesz? Chcesz się onanizować?

– Nie – odparł Jaja. Poruszył ręką i niechący przewrócił szklankę z wodą.

– Widzisz, co stało się z moimi dziećmi? – spytał Tato, patrząc w sufit. – Widzisz, jak ten poganin je zmienił, jak nauczył je zła?

Kolację dokończyliśmy w milczeniu. Potem Jaja poszedł z nim na górę. Siedziałam z Mamą w salonie i zastanawiałam się, dlaczego brat poprosił o klucz. Oczywiście wiedziałam, że Tata nigdy by mu go nie dał, że nie pozwoliliby nam zamykać się w pokoju. Zastanawiałam się też, czy naprawdę tak jest, czy Papa-Nnukwu rzeczywiście nauczył go zła, czy nauczył zła nas, jego i mnie.

– Tu jest zupełnie inaczej, *okwidi* – spytała Mama. Oglądała próbki materiałów na zasłony. Zmienialiśmy je co roku, pod koniec harmattanu. Kevin przywoził próbki, Mama wybierała materiał i pokazywała go Tacie, żeby podjął ostateczną decyzję. Zwykle wybierał ten, który się jej podobał. W zeszłym roku ciemny beż. Dwa lata temu jasny.

Chciałam odpowiedzieć, że tak, że w domu jest inaczej, że w naszym salonie jest za dużo pustej przestrzeni, za dużo zmarnowanego marmuru na wypolerowanej przez Sisi podłodze, która tylko lśni, strasząc pustką. Że sufit jest za wysoki. Że meble są bez życia, że szklane stoliki nie linieją podczas harmattanu, że skórzane sofy powitały mnie lepkiem zimnem, że perskie dywany są tak wykwintne, że aż obce. Ale zamiast tego powiedziałam:

– Wyczyściłaś etażerkę.

– Tak.

– Kiedy?

– Wczoraj.

Spojrzałam na jej oko. Zaczynało się już otwierać; poprzedniego dnia mu-

siało być tak zapuchnięte, że nic nie widziała.

– Kambili! – Donośny głos Taty. Wstrzymałam oddech i znieruchomiałam. – Kambili!

– *Nne*, idź – szepnęła Mama.

Powoli weszłam na górę. Tata był w łazience. Nie zamknął za sobą drzwi, więc zapukałam i stanęłam z boku, dziwiąc się, że wezwał mnie, będąc w łazience.

– Wejdz. – Stał przy wannie. – Do wanny.

Do wanny? Po co? Rozejrzałam się wokoło, ale nie, kija tam nie było. Może chciał, żebym zaczekała, aż wyjdzie na dwór kuchennymi drzwiami i jakiś ułamek? Gdy byliśmy młodszy, mniej więcej od drugiej do piątej klasy szkoły podstawowej, sami przynosiliśmy kije. Zawsze robiliśmy je z gałęzi gwizdzącej sosny, bo były giętkie i mniej bolesne niż sztywne kije z gałęzi awokado; Jaja moczył je w zimnej wodzie, twierdząc, że będzie mniej piekło. Im byliśmy starsi, tym kije były mniejsze, wreszcie Tata zaczął przynosić je sam.

– Wejdz do wanny – powtórzył.

Weszłam i popatrzyłam na niego. Nie wyglądało na to, żeby się gdzieś wybierał, i poczułam, że mój pęcherz i uszy zalewa fala przenikliwego, zwierzęcego strachu. Nie wiedziałam, co chce zrobić. Było dużo łatwiej, gdy widziałam kij, bo wtedy mogłam się przygotować, zacisnąć ręce i napiąć mięśnie łydek. Nigdy dotąd nie kazał mi wchodzić do wanny. Nagle zauważyłam czajnik u jego stóp, zielony czajnik, w którym Sisi gotowała wodę na herbatę i *garri*, ten, który gwizdał, gdy woda zaczynała wrzeć. Tata wziął go i spytał:

– Wiedziałaś, że dziadek przyjeżdża do Nsukka, prawda?

– Tak, Tato.

– Czy zadzwoniłaś, żeby mi o tym powiedzieć, *gbo*?

– Nie.

– Wiedziałaś, że będziesz spała w jednym domu z poganinem?

– Tak, Tato.

– Wiedziałaś, że to grzech, i mimo to mu uległaś?

Kiwnęłam głową.

– Tak, Tato.

– Kambili, skarbie mój. – Głos drżał mu jak komuś, kto z trudem tłumi smutek, przemawiając na pogrzebie. – Musisz dążyć do doskonałości. Nie powinnaś świadomie ulegać grzechowi. – Opuścił rękę i przechylił czajnik.

Lał wrzątek powoli, jakby przeprowadzał jakieś doświadczenie i chciał sprawdzić, co się stanie. I płakał, policzki miał mokre od łez. Najpierw zobaczyłam tylko parę. Potem wodę, która jak w zwolnionym tempie popłynęła łukiem prosto na moje stopy. Ból był tak czysty, tak przenikliwy i palący, że przez chwilę nic nie czułam. A potem zaczęłam krzyczeć.

– Oto co sobie robisz, świadomie ulegając grzechowi. Parzysz sobie stopy.

Chciałam powiedzieć: „Tak, Tato”, bo miał rację, lecz ten piekący, przeszywający, ten nieznośny ból pełznął coraz wyżej i wyżej, aż do głowy, ust i oczu. Tata podtrzymywał mnie jedną ręką, a drugą ostrożnie lał wodę. Nie wiedziałam, że ten szloch – „Przepraszam! Przepraszam!”

– wydobywa się z moich ust, dopóki woda nie przestała płynąć i nie uświadomiłam sobie, że wciąż poruszam wargami, że wciąż powtarzam te słowa. Tata odstawił czajnik i wytarł oczy. Stałam w gorącej wannie. Byłam zbyt przerażona, żeby się poruszyć, czując, że jeśli tylko podniosę nogę, ze stóp zejdzie cała skóra.

Tata chciał wziąć mnie na ręce, ale wtedy usłyszałam głos Mamy:

– Proszę, ja to zrobię.

Nie wiedziałam, że przyszła. Twarz miała mokrą od łez. Ciekło jej z nosa i zastanawiałam się, czy zdąży go wytrzeć, zanim wszystko spłynie na usta i będzie musiała tego posmakować. Zmieszała grubą sól z zimną wodą i obłożyła mi stopy. Pomogła mi wyjść z wanny i chciała zanieść mnie do sypialni, ale pokręciłam głową. Była za drobna. Mogłyśmy upaść. Odezwała się dopiero w pokoju:

– Powinnaś wziąć panadol.

Wzięłam, chociaż wiedziałam, że panadol nic nie pomoże, bo stopy pulsowały mi teraz rytmicznym, przeszywającym bólem.

– Zajrzałaś do Jaja?

Mama skinęła głową. Nic nie powiedziała, a ja o nic więcej nie spytałam.

– Jutro mi spuchną.

– Do szkoły się wygoją – odparła.

Gdy wyszła, popatrzyłam na zamknięte drzwi, na gładką powierzchnię drewna, i przypomniały mi się obłazące z farby niebieskie drzwi w domu cici. Przypomniał mi się melodyjny głos księdza Amadiego, szeroka szczerba między przednimi zębami roześmianej Amaki, ciocia Ifeoma gotująca gulasz na kuchence. Przypomniał mi się również Obiorą, to, jak poprawiał okulary, i zwinięty w kłębek Chima, smacznie śpiący na sofie. Wstałam i dokużyka-

łam do torby, żeby zerknąć na portret dziadka. Wciąż był w tej czarnej folii i wciąż tkwił w bocznej kieszeni, ale za bardzo się bałam, żeby go wyjąć. Nie, Tata by się dowiedział. Wyczułby, że portret jest w domu. Przesunęłam palcami po plastikowej folii, po chropowatych śladach pędzla tworzących smukłą sylwetkę dziadka, spokojną linię jego ramion i wyciągniętych nóg.

Ledwo zdążyłam wrócić do łóżka, gdy wszedł Tata. Już wiedział. Chciałam się przesunąć, jakby zmiana pozycji pomogła mi ukryć to, co przed chwilą zrobiłam. Chciałam spojrzeć mu w oczy, sprawdzić, czy naprawdę wie i jak się o tym dowiedział. Ale nie przesunęłam się i nie spojrzałam, nie mogłam. Ze strachu. Wiedziałam, co to strach, jednak za każdym razem odczuwałam go inaczej, jakby występował w wielu smakach i barwach.

– Wszystko, co robię, robię dla twego dobra – powiedział Tata. – Rozumiesz?

– Tak, Tato. – Wciąż nie byłam pewna, czy wie o portrecie.

Usiadł na łóżku i wziął mnie za rękę.

– Kiedyś popełniłem grzech na moim własnym ciele – mówił. – Zobaczyłem to dobry ksiądz, u którego mieszkałem; chodziłem wtedy do Świętego Grzegorza. Poprosił mnie, żebym zagotował wodę na herbatę. Wlał ją do miski i zanurzył w niej moje ręce. – Tata patrzył mi prosto w oczy. Nie wiedziałam, że kiedykolwiek popełnił jakiś grzech, że jest do tego zdolny. – Już nigdy więcej tak nie zgrzeszyłem. Ksiądz zrobił to dla mojego dobra.

Gdy wyszedł, nie myślałam ani o jego zanurzonych we wrzątku rękach, ani o schodzącej skórze, ani o jego ściągniętej z bólu twarzy. Myślałam o portrecie Papa-Nnukwu w torbie.

Powiedziałam o nim bratu dopiero nazajutrz, w sobotę, gdy zajrzał do mnie w porze nauki. Był w grubych skarpetach i bardzo ostrożnie stawiał nogi, tak samo jak ja. Ale nie rozmawialiśmy o naszych stopach. Pomacał ukryty w torbie portret, powiedział, że też mi coś pokaże, i zszedł do kuchni. To coś było zawinięte w taką samą czarną folię i schował to w lodówce, pod butelkami fanty. Widząc moją zaskoczoną minę, wyjaśnił, że nie są to zwykłe łądźzki, że to sadzonki fioletowego hibiskusa. Chciał je dać ogrodnikowi. Wciąż wiały harmattany i ziemia była sucha, ale ciocia Ifeoma powiedziała, że jeśli regularnie je podlewać, łądźzki mogą wypuścić korzenie, że hibiskusy nie lubią zbyt wilgotnej gleby, chociaż za suchą też nie przepadają.

Gdy o nich mówił, błyszczały mu oczy i cały czas trzymał te zimne, wil-

gotne patyczki w wyciągniętych rękach, żeby mogła ich dotknąć. Powiedział o nich Tacie, lecz gdy tylko usłyszał jego kroki, szybko schował je z powrotem do lodówki.

Na obiad był gulasz z jamu i jego zapach rozszedł się po całym domu, zanim jeszcze zeszliśmy na dół. Pachniał naprawdę ładnie, a w żółtym sosie pływały kawałki suszonej ryby, warzywa i pokrojony w kostkę jam. Po modlitwie, gdy Mama zaczęła nakładać gulasz, Tata powiedział:

– Te pogańskie pogrzeby są bardzo kosztowne. Daj im krowę, a szaman od razu zażąda kozy dla jakiegoś kamiennego bożka, potem drugiej krowy dla wsi i jeszcze jednej dla *umuada*. Nikt nigdy nie spyta, dlaczego ci tak zwani bogowie nie jedzą mięsa, dlaczego zachłanni wieśniacy rozdzielają je między siebie. Śmierć człowieka jest dla nich okazją do napełnienia brzuchów, niczym więcej.

Zaciekawiło mnie, dlaczego o tym wspomniał, co go do tego skłoniło. Milczeliśmy. Mama kończyła nakładać gulasz.

– Wysłałem Ifeomie pieniądze na pogrzeb. Dałem jej wszystko, czego chciała. – I po krótkiej pauzie dodał: – Na pogrzeb *nna anyi*.

– Bogu niech będą dzięki – szepnęła Mama, a my jej zawtórowaliśmy.

Pod koniec obiadu weszła Sisi i zameldowała, że przyszedł Ade Coker z jakimś mężczyzną. Adamu kazał im zaczekać przed bramą; robił tak, ilekroć ktoś odwiedzał nas w weekend, zwłaszcza w porze posiłku. Myślałam, że Tata każe im posiedzieć na tarasie i wyjdzie do nich po obiedzie, ale on kazał Sisi wpuścić ich frontowymi drzwiami. Odmówił modlitwę, chociaż jeszcze nie skończyliśmy jeść, i powiedział, żebyśmy zjedli bez niego, że zaraz wróci.

Goście usiedli w salonie. Z jadalni ich nie widziałam, ale jedząc, wytyżałam słuch z nadzieją, że usłyszę, o czym mówią. Wiedziałam, że Jaja też podsłuchuje. Poznałam to po tym, jak przekrzywił głowę, po jego wpatrzonych w stół oczach. Rozmawiali po cichu, ale ze szmeru słów bez trudu wyłowiłam nazwisko Nwankiti Ogechiego, zwłaszcza gdy wypowiadał je Ade Coker, bo w przeciwieństwie do Taty i tego drugiego mężczyzny, prawie nie zniżał głosu.

Mówił, że zadzwonił do niego asystent Wielkiego Ogi – tak nazywał głowę państwa, nawet we wstępniakach – że zadzwonił i oświadczył, że Wielki Oga chętnie udzieli mu wywiadu na wyłączność.

– Ale pod warunkiem, że nie opublikuję artykułu o Nwankiti Ogechim. Co za głupiec. Mówił, że nasi informatorzy są nic niewarci, że sprzedają nam nic niewarte informacje, że to same kłamstwa...

Tata przerwał mu cicho, a wtedy ten drugi mężczyzna dodał coś o prominentach z Abudży, którzy nie chcą, żeby „Standard” opublikował taki artykuł tuż przed konferencją państw Wspólnoty Narodów.

– Wiecie, co to znaczy? – spytał Ade. – Moi informatorzy mieli rację. Oni naprawdę go zamordowali. Dlaczego nie reagowali, gdy pisałem o nim poprzednio? Dlaczego tak bardzo zależy im akurat teraz?

Wiedziała, że mówi o artykule, który „Standard” zamieścił półtora miesiąca wcześniej, mniej więcej wtedy, gdy Nwankiti Ogechi zniknął bez śladu. Pamiętała nawet wielki znak zapytania w nagłówku: Gdzie jest Nwankiti? I pamiętała, że w artykule roiło się od pełnych niepokoju pytań, które zadawali członkowie jego rodziny i przyjaciele. Był zupełnie inny od pierwszego, zatytułowanego *Święty pośród nas*, w którym Ade pisał o jego działalności, o prodemokratycznych wiecach na stadionie w Surulere.

– Uważam, że powinniśmy poczekać – powiedział ten drugi mężczyzna. – Wywiad można puścić teraz, a o Ogechim napisać później.

– Wykluczone! – wybuchł Coker i gdybym nie znała tego piskliwego głosu, do głowy by mi nie przyszło, że pulchny, zawsze uśmiechnięty Ade może wpaść w tak wielki gniew. – Nie chcą, żeby sprawa Ogechiego popsukała im szyki, to proste! Dobrze wiecie, co to znaczy. To znaczy, że go zabili! Bo niby dlaczego Wielki Oga chce przekupić mnie wywiadem? Pytam was: dlaczego?

Tata znowu mu przerwał, ale nie słyszałam, co powiedział, ponieważ mówił cicho, łagodnie, jakby chciał go uspokoić. Potem usłyszałam:

– Chodźmy do gabinetu. Dzieci jedzą obiad.

Przeszli przez jadalnię. Ade powitał nas z uśmiechem, ale był to uśmiech spięty i sztuczny.

– Mogę dokończyć za ciebie? – zażartował, udając, że chce zjeść mój gulasz.

Po obiedzie, ucząc się w pokoju, próbowałam podsłuchać, o czym rozmawiają. Ale nie dałam rady. Jaja kilka razy przeszedł korytarzem, ale gdy na niego spojrzałam, pokręcił głową – on też nic nie usłyszał.

To właśnie wieczorem tego dnia przyjechali do nas tajniacy, ubrani na czarno mężczyźni, którzy chcieli przekupić Tatę pikapem pełnym dola-

rów, których Tata wyrzucił za drzwi i którzy wracając do samochodu, zerwali dwa hibiskusy.

Gdy przywieziono gazetę, od razu wiedziałam, że na pierwszej stronie zobaczę artykuł o Nwankiti Ogechim.

Był bardzo szczegółowy, gniewny, pełen cytatów kogoś, kogo Ade nazywał Informatorem. Żołnierze zastrzelili Ogechiego w buszu w Minna. I polali jego zwłoki kwasem, żeby rozpuścić ciało i zabić go jeszcze bardziej, mimo że już nie żył.

W porze dla rodziny, gdy Tata wygrywał ze mną w szachy, usłyszeliśmy przez radio, że przez to morderstwo Nigeria została zawieszona w prawach członka Wspólnoty Narodów i że w ramach protestu Kanada i Holandia odwołały swoich ambasadorów. Spiker odczytał krótki fragment oświadczenia kanadyjskiego rządu, w którym Ogechiego nazwano „człowiekiem honoru”.

Tata spojrzał na mnie znad szachownicy.

– No i mamy za swoje – powiedział. – Wiedziałem, że do tego dojdzie.

Po kolacji przyjechali do nas jacyś ludzie i słyszałam, jak Sisi mówi, że są to przedstawiciele koalicji demokratycznej. Tato przyjął ich na tarasie i chociaż próbowałam, nie udało mi się nic podsłuchać. Nazajutrz przyszli kolejni goście. A dwa dni później przyszło ich jeszcze więcej. Wszyscy radzili Tacie, żeby był ostrożny. Żeby przestał jeździć do pracy służbowym samochodem. Żeby nie pokazywał się w miejscach publicznych. Żeby pamiętał o wybuchu bomby na lotnisku, gdy przyjechał tam ten adwokat, obrońca praw obywatelskich. I o wybuchu bomby na stadionie podczas wiecu w obronie demokracji. Niech pan zamyka drzwi, mówili. Niech pan pamięta o tym człowieku, którego zastrzelili w sypialni ludzie w czarnych maskach.

Dowiedzieliśmy się tego od Mamy. Była przerażona i chciałam poklepać ją po ramieniu, chciałam powiedzieć Tacie, że wszystko będzie dobrze. On i Ade Coker walczyli o prawdę, więc musiało być dobrze.

– Myślicie, że ci bezbożnicy mają rozum? – pytał Tata co wieczór przy kolacji, często po długim milczeniu. Pił bardzo dużo wody i obserwując go, zastanawiałam się, czy naprawdę trzęsą mu się ręce, czy tylko tak mi się zdaje.

Nie rozmawialiśmy z bratem o ludziach, którzy do nas przychodzili. Ja chciałam, ale ilekroć zagadywałam go o to oczami, Jaja odwracał wzrok i zmieniał temat. Tylko raz słyszałam, jak o tym mówi, wtedy, gdy zadzwoni-

ła ciocia Ifeoma, żeby spytać o Tatę, bo ona też słyszała, jakie zamieszanie wywołał artykuł w „Standardzie”. Taty nie było w domu, więc rozmawiała z Mamą. Potem Mama poprosiła do telefonu jego.

– Oni go nie tkną, ciociu – powiedział. – Wiedzą, że ma dużo znajomości za granicą.

Słuchając, jak opowiada jej, że ogrodnik posadził hibiskusy, ale że jest za wcześnie, by stwierdzić, czy się przyjmą, zastanawiałam się, dlaczego nigdy nie rozmawia o tym ze mną albo z Tatą.

Głos cioci brzmiał głośno, jakby była tuż obok. Gdy wymieniliśmy pozdrowienia, wzięłam głęboki oddech i powiedziałam:

– Niech ciocia pozdrowi księdza Amadiego.

– Ciągle o was pyta, o ciebie i twego brata – odrzekła ciocia. – Zaczekaj, dam ci Amakę.

– Kambili, *ke kwanui* – Jej głos brzmiał przez telefon inaczej niż zwykle. Rzeško. Mniej zaczepnie. Mniej szyderczo – może dlatego, że nie widziałam jej szyderczej miny.

– Dobrze. Dziękuję. I dziękuję za portret.

– Pomyślałam, że może zechcesz go mieć. – Na wspomnienie o Papa-Nnukwu wciąż zmieniał jej się głos.

– Dziękuję – szepnęłam. Nie wiedziałam, że o mnie myślała. Ze wiedziała, czego chcę, że w ogóle czegoś chcę.

– W przyszłym tygodniu jest *akwam ozu*.

– Tak.

– Ubierzemy się na biało. Czerń jest za bardzo przygnębiająca, zwłaszcza ta żałobna; wygląda jak spalone drewno. Poprowadzę taniec wnuków – dodała z dumą.

– Na pewno będzie spoczywał w pokoju. – Ciekawe, pomyślałam, czy wy czuła, że ja też chciałabym ubrać się na biało i odtańczyć z nimi taniec wnuków.

– Tak, na pewno. – Zrobiła krótka pauzę. – Dzięki wujkowi Eugeneowi.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Czułam się tak, jakbym stała na podłodze w miejscu, gdzie dziecko rozsypało talk, i musiała ostrożnie stawiać nogi, żeby nie poślizgnąć się i nie upaść.

– Papa-Nnukwu martwił się, że nie będzie miał godziwego pogrzebu. Teraz już wiem, że spocznie w pokoju. Wujek dał mamie tyle pieniędzy, że kupujemy aż siedem krów!

– To miło – wymamrotałam.

– Mam nadzieję, że przyjdziecie na Wielkanoc. Błogosławiona Dziewica wciąż się objawia, więc może obiecamy wujkowi, że tym razem pojedziemy na pielgrzymkę do Aokpe, i was puści. Poza tym w poniedziałek wielkanocny mam bierzmowanie i chcę, żebyście przyjechali.

– Ja też – odrzekłam z uśmiechem, ponieważ słowa, które przed chwilą wypowiedziałam, cała rozmowa z Amaką była jak sen. Przypomniało mi się moje bierzmowanie w Świętej Agnieszce. Tata kupił mi białą koronkową suknię z miękkim welonem, takim z kilku warstw, i kobiety z kółka różańcowego Mamy stłoczyły się wokół mnie po mszy, bo wszystkie chciały go dotknąć. Biskup z trudem go podniósł, żeby zrobić znak krzyża na moim czole i powiedziec: „Ruth, przyjmij znamię daru Ducha Świętego”. Ruth. Tata wybrał to imię.

– Wybrałaś już imię? – spytałam.

– Nie. *Ngwanu*, mama chce przypomnieć o czymś cioci Beatrice.

– Pozdrów ode mnie Chimę i Obiorę – rzuciłam i oddałam słuchawkę Mamie.

Potem siedziałam na górze i z podręcznikiem przed oczami zastanawiałam się, czy ksiądz Amadi naprawdę o nas pytał, czy ciocia Ifeoma chciała być tylko miła. Ale nie, ciocia nie była taka. Nie powiedziałaaby tego ot, tak sobie. Ciekawe, myślałam, czy pytał o nas oboje, o nas razem, jak o dwie nierozdzielne rzeczy. Jak o kukurydzę i *ube*. O gulasz i ryż. Jam i oliwę. Czy też nas rozdzielił i najpierw spytał o mnie, a potem o brata. Usłyszałam, że wrócił Tata, ocknęłam się i spojrzałam na książkę. Okazało się, że przez cały czas gryzmoliłam na kartce papieru, rysując patykowate ludziki i bez końca pisząc dwa słowa: ksiądz Amadi. Szybko porwałam kartkę.

W następnych tygodniach porwałam ich wiele. Wszystkie były zapisane tymi samymi słowami. Na jednych próbowałam uwiecznić jego głos znakami muzycznymi. Na innych pisałam jego imię cyframi rzymskimi. Ale nie musiałam tego robić, żeby go zobaczyć. Jego chód, ten swobodny, pewny siebie krok – podobnie chodził nasz ogrodnik. Jego szczupłe, dobrze umięśnione ciało – podobnie zbudowany był Kevin. A gdy zaczęła się szkoła, jego uśmiechu doszukiwałam się nawet w uśmiechu matki Lucy. Drugiego dnia szkoły dołączyłam do grupy dziewcząt na boisku do siatkówki. Nie słyszałam ich szeptów, nie słyszałam szyderczego śmiechu. Nie zauważyłam, jak podszczypują się z rozbawienia. Stałam z mocno zaciśniętymi rękami, dopóki nie

wybrano mnie do drużyny. Widziałam jedynie gładką, brązową twarz księdza Amadiego i słyszałam jego głos: „Masz dobre nogi, w sam raz do biegania”.

W dniu śmierci Adea Cokera mocno padało, gwałtowny deszcz podczas gorącego harmattanu. Gdy kurier przywiózł przesyłkę, Ade jadł śniadanie z rodziną. Naprzeciwko niego, po drugiej stronie stołu, siedziała jego córka w szkolnym mundurku. Obok niej niemowlę na krzeselku; jego żona karmiła je kaszką. Wyleciał w powietrze, gdy otworzył przesyłkę – przesyłkę od głowy państwa, czego domyśliliby się absolutnie wszyscy, nawet gdyby Yewande nie powiedziała potem, że tuż przed wybuchem Ade spojrzął na kopertę i mruknął: „Rządowy stempel”.

Wróciliśmy ze szkoły, wysiedliśmy z samochodu i zanim dobiegliśmy do drzwi, przemokliśmy do nitki; lało tak mocno, że obok hibiskusów zrobiła się mała sadzawka.

Swędziały mnie stopy w mokrych sandałach. Tata leżał na sofie w salonie i szlochał. Był taki mały, taki drobny. Tata, ten sam Tata, który wchodząc, musiał pochylać głowę w drzwiach, któremu krawiec musiał szyć spodnie na miarę. Teraz jakby się skurczył; wyglądał jak bela zmiętego materiału.

– Powinienem był mu zabronić – mówił. – Powinienem był wstrzymać druk. Dlaczego go nie ochroniłem?

Mama tuliła jego głowę do piersi.

– Nie. *O zugo*, przestań.

Staliśmy i patrzyliśmy na nich. Pomyślałam o okularach Ade’a. Wyobraziłam sobie, jak roztrzaskują się te grube szkła, jak z białych plastikowych oprawek robi się lepka maź. Potem, gdy Mama opowiedziała nam, jak to się stało, Jaja szepnęła: „Bóg tak chciał” a wtedy Tata uśmiechnął się i łagodnie poklepał go po plecach.

Tata zorganizował pogrzeb; założył fundusz powierniczy dla żony Ade’a i dzieci, kupił im nowy dom. Wszystkim redaktorom „Standardu” dał gigantyczną premię i wysłał ich na długi urlop. W tych dniach zapadły mu się oczy, jakby ktoś wyssał z twarzy delikatne ciało, robiąc w niej dwie głębokie dziury.

Wtedy też zaczęły mnie nawiedzać nocne koszmary, w których widziałam zwęglone szczątki Ade’a. Leżały na stole, w miseczce z kaszką dla dziecka, pokrywały mundurek córki, mieszały się z jajecznicą na jego talerzu. W niektórych koszmarach to ja byłam córką, a szczątki Adea były szczątkami Taty.

*

Chociaż od śmierci Ade'a upłynęło wiele tygodni, Tata wciąż miał zapadnięte oczy. I poruszał się wolniej niż kiedyś, jakby ciążyły mu ręce i nogi. Dłużej zwlekał z odpowiedzią, gdy go o coś pytano, dłużej żuł jedzenie, dłużej szukał odpowiedniego fragmentu Biblii. Ale modlił się o wiele więcej niż przedtem i bywało, że kiedy szłam w nocy na siusiu, słyszałam, jak wykrzykuje coś na balkonie od podwórza; mimo że siedząc na desce, wyteżałam słuch, nigdy nic z tego nie rozumiałam. Wspomniałam o tym bratu, ale on tylko wzruszył ramionami i mruknął, że Tata przemawia pewnie językami, chociaż oboje wiedzieliśmy, że tego nie pochwała, ponieważ językami przemawiali fałszywi pastorowie, ci od zielonoświątkowców.

Mama prosiła nas, żebyśmy mocniej obejmowali go i przytulali, by wiedział, że z nim jesteśmy. Przeżywał teraz bardzo ciężkie chwile. Do jednej z jego wytwórni przyszli żołnierze z martwymi szczurami w pudełku i kazali ją zamknąć, twierdząc, że znaleźli te szczury właśnie tam, w zakładzie, że na waflach i herbatnikach mogą być zarazki jakichś chorób. Tata jeździł do fabryk znacznie rzadziej niż kiedyś. Czasami odwiedzał go ksiądz Benedykt. Przychodził, zanim wyszliśmy do szkoły, a kiedy wracaliśmy, jeszcze u niego był. Siedzieli w gabinecie i Mama mówiła, że odmawiają specjalne nowenny. W te dni Tata nie sprawdzał, czy przestrzegamy planu dnia, więc Jaja przychodził do mnie, żeby porozmawiać albo po prostu posiedzieć na łóżku, gdy się uczyłam.

Właśnie jednego z takich dni wszedł do mojego pokoju, zamknął drzwi i spytał:

– Pokażesz mi portret Papa-Nnukwu?

Odruchowo spojrzałam na drzwi. Kiedy Tata był w domu, nigdy go nie oglądałam.

– Jest z księdzem – powiedział Jaja. – Nie przyjdzie.

Wyjęłam portret z torby i zdjęłam folię. Jaja powiódł po papierze swoim zdeformowanym palcem, w którym prawie nie miał czucia.

– Mam jego ramiona. Widzisz? Mam jego ręce. – Mówił jak w transie, jakby zapomniał, gdzie i kim jest. Jakby zapomniał, że już dawno stracił czucie w tym palcu.

Nie kazałam mu przestać, nie powiedziałam, że dotyka papieru nie tym

palcem. Nie schowałam też portretu. Zamiast tego przysunęłam się bliżej i oglądaliśmy go długo i w milczeniu. Na tyle długo, że ksiądz Benedykt zdążył wyjść. Wiedziałam, że Tata przyjdzie pocałować mnie w czoło na dobranoc. Wiedziałam, że będzie w czerwonej jak wino pizamie, od której czerwono błyszczą mu oczy. Wiedziałam też, że Jaja nie zdąży schować portretu do torby, że Tata go zobaczy, że zwężą mu się oczy, że policzki wydmą mu się w kształt niedojrzałego owocu *udała* i że z ust buchnie gejzer słów w igbo.

I tak właśnie było. Może dlatego, że podświadomie tego chcieliśmy, brat i ja. Może po Nsukka wszyscy się zmieniliśmy – nawet Tata – może już nigdy nie miało być tak jak przedtem.

– Co to jest? – spytał. – Nawróciliście się na pogaństwo? Obydwoje? Co to za malunek? Skąd go macie?

– *O nkem*. Jest mój – odparł Jaja i przytulił portret do piersi.

– Mój – powiedziałam.

Tata zachwiał się lekko i zakołysał jak ktoś, kto ma upaść do stóp charyzmatycznego księdza, który go pobłogosławił. Rzadko się tak chwiał. Przypominało to potrząsanie butelką coli, z której po otwarciu gwałtownie tryskała piana.

– Kto przyniósł go do tego domu?

– Ja – odrzekłam.

– Ja – powtórzył Jaja.

Gdyby tylko na mnie zerknął, zabroniłabym mu tak mówić. Tata wyrwał mu portret. Jego ręce poruszały się szybko i wprawnie. Malunek przepadł, już go nie było. Przedstawiał sobą coś, co straciłam, czego nigdy nie miałam, czego nigdy nie dane mi będzie mieć. Przepadło nawet wspomnienie, bo na podłodze leżały tylko kawałki brązowego papieru. Były bardzo małe, bardzo równe. W przyпіływie obłędu wyobraziłam sobie nagle ciało dziadka, które pocięto na małeńkie kawałeczki i schowano do lodówki.

– Nie! – krzyknęłam. Rzuciłam się na podłogę, chcąc je ocalić, jakbym ocalając portret, ocalała samego dziadka. Upadłam, osłoniłam je własnym ciałem.

– Co w ciebie wstąpiło? – spytał Tata. – Co ci się stało?

Leżałam zwinięta w kłębek, jak dziecko w macicy na obrazku w *Naukach przyrodniczych dla gimnazjum*.

– Wstawaj! Zostaw to malowidło!

Ani drgnęłam.

– Wstawaj! – powtórzył.

Nie zareagowałam. Wtedy zaczął mnie kopać. Metalowe sprzączki na jego kapturach kęsały jak gigantyczne komary. Cały czas mówił, zupełnie nad sobą nie panując, to w igbo, to po angielsku, co brzmiało tak, jakby miękkie mięso mieszało się z ostrymi kośćmi. Bezbożnica. Bałwochwalstwo. Ogień piekielny. Kopał coraz szybciej i szybciej, i pomyślałam o piosenkach Amaki, o tych kulturowo świadomych utworach zaczynających się od spokojnego saksofonu, który po chwili ginął, zagłuszony pełnym wigoru śpiewem. Zwiñęłam się wokół kawałków portretu w jeszcze ciaśniejszy kłębek. Były miękkie jak puch. I wciąż miały metaliczny smak akwareli. Kopniaki piekły coraz bardziej, coraz bardziej przypominały ukąszenia komarów, bo metalowe sprzączki trafiały teraz w nagą skórę, w bok, w plecy i w nogi. Kopał. Kopał. I kopał. A może używał pasa, bo czułam uderzenia ciężkiej metalowej klamry. Bo słyszałam świst powietrza. I czyjś cichy głos:

– Proszę, *biko*, błagam...

Ukąszenie za ukąszeniem, uderzenie za uderzeniem. I słona wilgoć w ustach. Zamknęłam oczy i odpłynęłam w niebyt.

Gdy je otworzyłam, od razu wiedziałam, że nie leżę w moim łóżku. Materac był twardszy. Chciałam wstać, ale przeszył mnie dotkliwy ból, takie małe paczuszki dotkliwego bólu. Opadłam na poduszkę.

– *Nne*, Kambili. Dzięki Bogu! – Mama wstała, przytknęła mi rękę do czoła, a potem przytuliła twarz do mojej twarzy. – Dzięki Bogu. Dzięki Bogu, że się obudziłaś.

Policzki miała mokre od łez. Dotykała mnie bardzo lekko, mimo to czułam ukłucia bólu, wszędzie, od głowy poczynając. Było tak jak wtedy, gdy Tata polewał mi stopy wrzątkiem, tyle że teraz paliło mnie całe ciało. Każdy ruch był zbyt bolesny, żeby nawet o nim pomyśleć.

– Pali mnie całe ciało – wyszeptałam.

– Ciii... Odpoczywaj. Dzięki Bogu, że się obudziłaś.

Nie chciałam się obudzić. Nie chciałam czuć zapierającego dech w piersi bólu w boku. Nie chciałam słyszeć dudnienia ciężkiego młota w głowie. Udręką było nawet wciągnięcie do płuc haustu powietrza. U stóp łóżka stał lekarz. Znałam ten głos; był lektorem w kościele. Mówił powoli i wyraźnie, tak jak podczas pierwszego i drugiego czytania, ale prawie nic nie słyszałam.

Złamane żebra. Dobrze się goją. Krwotok wewnętrzny. Podeszedł bliżej i ostrożnie podwinął rękaw mojej koszuli. Zawsze bałam się zastrzyków – ilekroć miałam malarię, zawsze modliłam się, żeby zamiast zastrzyków z chlorochiny lekarz przypisał mi tabletki novalginy. Ale teraz nawet nie poczułam ukłucia igły. Mogliby mnie kłuć codziennie, żeby tylko przestało mnie tak boleć. Tuż przy twarzy widziałam twarz Taty. Była tak blisko, że niemal dotykała mojej, mimo to widziałam, że ma łagodne oczy, że mówiąc, płacze.

– Moja kochana córeczka. Nic ci nie będzie. Moja kochana córeczka...

Nie byłam pewna, czy to nie sen. Zamknęłam oczy.

Gdy je otworzyłam, stał nade mną ksiądz Benedykt. Robił olejem krzyż na moim czole; olej pachniał cebulą i bolało mnie, chociaż robił to bardzo delikatnie. Był i Tata. On też odmawiał po cichu modlitwę z rękami na brzegu łóżka. Zamknęłam oczy.

– To nic nie znaczy – szepnęła Mama, gdy wyszli.

– Ostatnie namaszczenie otrzymują wszyscy ciężko chorzy.

Popatrzyłam na jej usta. Nie byłam ciężko chora. Dobrze o tym wiedziała. Więc dlaczego mówiła, że jestem? Dlaczego leżałam w szpitalu?

– Mamo, zadzwoń do cioci Ifeomy – powiedziałam.

Odwróciła wzrok.

– *Nne*, musisz odpocząć.

– Proszę, zadzwoń.

Wzięła mnie za rękę. Miała spuchniętą od płaczu twarz, ze spierzchniętych warg schodziły jej płatki bladej skóry. Chciałam ją objąć i przytulić, jednocześnie miałam ochotę ją odepchnąć, odepchnąć tak mocno, że aż spadłaby z krzesła.

Gdy ponownie otworzyłam oczy, ujrzałam nad sobą twarz księdza Amadeo. To był tylko sen, tylko to sobie wyobrażałam, mimo to żałowałam, że nie mogę się uśmiechnąć, że za bardzo mnie boli.

– Nie mogli znaleźć żyły i bardzo się bałam. – Głos Mamy. Głos prawdziwy, tuż obok mnie. To nie był sen.

– Kambili. Kambili. Nie śpisz? – Jego głos był głębszy, mniej melodyjny niż w moich marzeniach.

– *Nne*, Kambili, *nne*. – A teraz głos cioci Ifeomy i jej twarz obok twarzy księdza. Włosy miała upięte w wielki kok i wyglądała tak, jakby miała

na głowie trzciny kosz. Spróbowałam się uśmiechnąć i nagle mnie zamroczyło. Coś ze mnie wypływało, coś uciekało, odbierając mi siły i świadomość, i nie mogłam tego powstrzymać.

– Lekki ją odurzają – powiedziała Mama.

– *Nne*, twoi kuzyni przysyłają ci pozdrowienia. Nie mogli przyjechać, są w szkole. Jest ze mną ksiądz Amadi. *nne*...

Ciocia chwyciła mnie za nadgarstek. Skrzywiłam się i zabrałam rękę, chociaż bolało mnie przy najmniejszym ruchu. Chciałam otworzyć oczy, chciałam zobaczyć księdza Amadiego, poczuć zapach jego wody kolońskiej, usłyszeć jego głos, ale za bardzo ciążyły mi powieki.

– Tak nie może dłużej być, *nwunye m* – mówiła ciocia. – Kiedy płonie dom, trzeba uciekać, zanim dach zawali ci się na głowę.

– Nigdy dotąd tak nie było – odparła Mama. – Nigdy tak jej nie ukarał.

– Po wyjściu ze szpitala Kambili przyjedzie do nas.

– Eugene się nie zgodzi.

– Porozmawiam z nim. Ojciec nie żyje, więc żaden poganin już jej nie zagraża. Chcę, żeby Kambili i Jaja pobyli u nas przynajmniej do Wielkanocy. Ty też się spakuj i przyjedź. Będzie ci łatwiej.

– Nigdy dotąd tego nie robił – powtórzyła Mama.

– Słyszałaś, co powiedziałam, *gbo*? – Ciocia podniosła głos.

– Słyszałam.

Głosy się oddalały, jakby Mama i ona były na szybko odpływającej łodzi i jakby zagłuszał je szum morskich fal. Zanim zupełnie ucichły, pomyślałam, gdzie jest ksiądz Amadi. Otworzyłam oczy dopiero wiele godzin później. Było już ciemno i nie paliły się lampy. W struzce światła spod zamkniętych drzwi zobaczyłam krzyż na ścianie i sylwetkę Mamy na krześle u stóp łóżka.

– *Keduł* Zostanę tu całą noc. Śpij. Odpoczywaj. – Mama wstała i usiadła na brzegu łóżka. Pogłaskała poduszkę; wiedziałam, że boi się mnie dotknąć, żeby nie sprawić mi bólu. – Ojciec siedział przy tobie przez trzy dni. Nie zmrużył oka.

Trudno mi było odwrócić głowę, lecz ją odwróciłam.

Tydzień później przyszła korepetytorka. Mama mówiła, że Tata przesłuchał aż dziesięć kandydatek, zanim ją wybrał. Była młodą siostrą zakonną, ale jeszcze nie złożyła ślubów. Gdy się poruszała, szeleściły paciorki różańca, którym przewiązywała w talii błękitny jak niebo habit. Spod jej chustki

wystawały delikatne blond włosy. Oniemiałam, gdy wzięła mnie za rękę i spytała: *Kee ka ime?* Nigdy dotąd nie spotkałam białej, która mówiłaby tak dobrze w igbo. Podczas lekcji używała angielskiego, po lekcjach igbo, chociaż rzadko. Umiała stworzyć swoją własną ciszę, gdy bawiąc się różańcem, czekała, aż skończę czytać tekst na zrozumienie. Ale dużo wiedziała; poznałam to po jej wielkich jak sadzawka piwnych oczach. Nic nikomu nie mówiła, ale wiedziała na przykład, że poruszam się już znacznie lepiej, niż myśleli lekarze. Że gorący ból w boku trochę złagodniał, że nieco mniej pulsuje mi w głowie. Ale lekarzowi mówiłam, że boli mnie tak samo jak przedtem i głośno krzyczałam, gdy próbował mnie zbadać. Nie chciałam wychodzić ze szpitala. Nie chciałam wracać do domu.

Egzaminy zdawałam w łóżku; matka Lucy, która osobiście przyniosła formularze, czekała z Mamą na korytarzu. Dała mi więcej czasu, ale i tak skończyłam szybciej, niż trzeba. Kilka dni później przyniosła cenzurkę. Zdobyłam pierwszą lokatę. Ale Mama nie śpiewała pieśni pochwalnych w igbo. Powiedziała tylko: „Bogu niech będą dzięki”.

Tego samego dnia po południu odwiedziły mnie koleżanki z klasy. Przyszły i aż oczy pootwierają z lęku i podziwu. Słyszały, że miałam wypadek. Mówiły, że jak wrócę do szkoły z gipsowym opatrunkiem, wszystkie się na nim podpiszą. Chinwe Jideze przyniosła mi wielką kartkę z napisem: *Szybciej zdrowiej, czeka na ciebie ktoś wyjątkowy*. Usiadła na łóżku i rozmawiała ze mną konspiracyjnym szeptem, jakbyśmy zawsze były najlepszymi przyjaciółkami. Pokazała mi nawet swoją cenzurkę – miała drugą lokatę. Zanim wyszły, Ezinne spytała:

– Teraz już nie będziesz biegła po szkole do bramy, prawda?

Wieczorem Mama powiedziała, że za dwa dni mnie wypiszą. Ale że nie wrócę do domu. Jechaliśmy na tydzień do Nsukka, mój brat i ja. Nie wiedziała, jak ciocia zdołała przekonać Tatę, tak czy inaczej uznał, że tamtejsze powietrze dobrze mi zrobi, że szybciej dojdę do siebie.

Na podłodze werandy rozpryskiwały się krople deszczu, chociaż słońce prażyło tak mocno, że wyglądając z saloniku, musiałam zmrużyć oczy. W takie dni Mama mawiała, że Bóg nie może się zdecydować, czy zesłać na ziemię deszcz, czy ogrzać ją słońcem. Siedzieliśmy wtedy w pokoju i patrząc na skrzące się krople, czekaliśmy na Jego decyzję.

– Kambili, chcesz mango? – spytał Obiorą.

Gdy przyjechaliśmy, chciał pomóc mi wejść do domu, a Chima od razu chwycił moją torbę. Jakby się bali, że wciąż siedzi we mnie ta choroba i że gdy się przedźwignę, znowu zaatakuję; ciocia Ifeoma powiedziała im, że byłam bardzo chora, że omal nie umarłam.

– Nie, zjem potem – odparłam.

Obiorą siedział w saloniku i rzucał w ścianę żółtym owocem mango. Wiedziałam, że będzie tak rzucał, dopóki z miąższu nie zrobi się miękka papka. Ze wtedy ostrożnie nadgryzie owoc przy szypułce i przez tę małą dziurkę wysie go do ostatka, aż w pustej skorupce zagrzechoce pestka. Amaka i ciocia też jadły mango, ale kroily nożem jędrny, pomarańczowy miąższ.

Wyszłam na werandę i stanęłam przy metalowej balustradzie, patrząc, jak ulewa przechodzi w mżawkę i szybko ustaje. Bóg postanowił, że będzie słońce. Powietrze pachniało świeżością, tym apetycznym zapachem spieczonej ziemi, na którą padają pierwsze krople deszczu. Wyobraziłam sobie, że jestem w ogródku z bratem, który akurat tam klęczał, że nabieram palcami błoto i je zjadam.

– *Aku na-efe! Aku leci!* – krzyknęło jakieś dziecko z okna na górze.

W powietrzu zafurkotało, zaroiło się od przezroczystych skrzydełek. Z domu wybiegły dzieci ze złożonymi gazetami i pustymi puszkami. Tłukły lecące *aku* gazetami, zbierały je z ziemi i wkładały do puszek. Niektóre po prostu biegały, polując na *aku* tylko dla zabawy. Inne przysiadły w kucki, żeby popatrzeć na te, które straciwszy skrzydełka, pełzały po ziemi jak długi czarny sznur, jak ruchomy naszyjnik.

– To ciekawe – powiedział Obiorą. – Ludzie jedzą *aku*, ale jeśli kazać tym maluchom zjeść termita, na pewno go nie zjedzą. A przecież te bezskrzydłe to bliscy krewniacy *aku*.

– Popatrz, popatrz! – rzuciła ze śmiechem ciocia.

– Jeszcze kilka lat temu zawsze wybiegałeś z domu jako pierwszy.

– Poza tym nie powinieneś mówić o dzieciach z taką pogardą – dodała Amaka. – Ostatecznie też jesteś dzieckiem.

– Nigdy nie byłem dzieckiem – odparł Obiorą, idąc do drzwi.

– Dokąd to? – spytała Amaka. – Zapolować na *aku*?

– Nie zamierzam uganiać się za tymi latającymi termitami. Idę tylko popatrzeć. Poobserwować.

Amaka parsknęła śmiechem, ciocia też.

– Mamo, ja też mogę? – poprosił Chima. Szedł już do drzwi.

– Tak. Tylko pamiętaj, nie będę ich smażyła.

– Dam wszystkie Ugochukwu. Oni smażą.

– Uważaj, żeby nie wpadły ci do uszu, *inugo*? Bo ogłuchniesz! – zawołała ciocia, ale Chimy już nie było.

Ciocia włożyła kapcie i poszła na górę porozmawiać z sąsiadką. Zostałyśmy same. Amaka nachyliła się i musnąwszy ramieniem moje ramię, oparła się o balustradę. Dawne zakłopotanie minęło bez śladu.

– Jesteś ukochanym słoneczkiem naszego księdza – rzuciła lekko, jakby rozmawiała z Obiorą. Nie wiedziała, nie mogła wiedzieć, jak boleśnie drgnęło mi serce.

– Martwił się o ciebie, kiedy chorowałaś. Cały czas o tobie mówił. I, *amam*, bynajmniej nie tylko z kapłańskim zatroskaniem.

– Ale co mówił?

Amaka przypatrzyła się uważnie mojej rozgorączkowanej twarzy.

– Podkochujesz się w nim, prawda?

Delikatnie to ujęła. Chociaż miało się to nijak do tego, co czułam i jak się czułam, odparłam:

– Tak.

– Jak wszystkie dziewczyny na kampusie.

Zacisnęłam ręce. Wiedziała, że nie powie mi nic więcej, dopóki nie spytam. Ze chce, żebym spytała.

– To znaczy?

– Wszystkie dziewczyny się w nim podkochują. Nawet niektóre mężatki. Wiesz, kobiety często kochają się w duchownych. Mieć Boga za rywala... to jest dopiero podniecające, nie? – Amaka przesunęła ręką po balustradzie, rozmazując krople wody. – Ale z tobą jest inaczej. Nigdy dotąd nie słyszałam, żeby mówił o kimś tyle co o tobie. Ze nigdy się nie śmiejesz. Że jesteś nieśmiała, ale dużo myślisz. Uparł się, żeby zawieźć mamę do Enugu, do ciebie. Powiedziałam mu, że zachowuje się jak mąż, któremu zachorowała żona.

– Ucieszyłam się, kiedy przyjechał do szpitala. – Powiedziałam to z łatwością, bo słowa po prostu spłynęły mi z języka. Amaka wciąż świdrowała mnie wzrokiem.

– To wujek ci to zrobił, *okwia*?

Zabrałam ręce z balustrady; nagle zachciało mi się siusiu. Nikt mnie o to nie pytał, nawet lekarze w szpitalu, nawet ksiądz Benedykt. Nie wiedziałam, co im Tata powiedział. Czy w ogóle coś powiedział.

- Ciocia Ifeoma ci powiedziała?
- Nie, domyśliłam się.
- Tak. To on. – Poszłam do ubikacji. Nie spojrzałam za siebie, żeby zobaczyć, jak zareagowała.

Tuż przed zachodem słońca wyłączyli prąd. Lodówka zadrżała, zadygotała i umilkła. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, jak głośno buczy. Obiorą rozstawił na werandzie lampy naftowe i usiedliśmy wokół nich, opędzając się od maleńkich owadów, które leciały na oślep do żółtego światła i wpadały na szklane klosze. Wieczorem przyjechał ksiądz Amadi z prażoną kukurydzą i *ube* w starych gazetach.

- Ksiądz jest niesamowity! – wykrzyknęła Amaka.
- Właśnie miałam na to ochotę, na kukurydzę i *ube*.
- Przywiozłem to pod warunkiem, że nie będziesz się dzisiaj z nikim kłóciła. Wpadłem sprawdzić, jak się miewa Kambili.

Amaka roześmiała się i poszła do kuchni po talerz.

- Cieszę się, że znowu wyglądasz jak dawniej – powiedział ksiądz, podchodząc bliżej, jakby chciał sprawdzić, czy naprawdę tam jestem.

Uśmiechnęłam się. Gestem ręki poprosił, żebym wstała, żeby mógł objąć mnie na powitanie. Dotyk jego ciała był cudowny. Cofnęłam się spięta. Pragnęłam, żeby Chima, Jaja, Obiorą, ciocia Ifeoma i Amaka na chwilę zniknęli. Żebym mogła zostać z nim sama. Żebym mogła powiedzieć mu, jak bardzo mi przy nim ciepło, jak uwielbiam odcień jego skóry, że kolor wypalanej gliny jest teraz moim ulubionym kolorem.

Ktoś zapukał do drzwi i weszła sąsiadka z plastikową miską pełną *aku*, liści *anara* i czerwonej papryki. Ciocia uważała, że nie powinnam tego jeść, bo może rozboleć mnie brzuch. Patrzyłam więc, jak Obiorą kładzie na dłoni liść, jak posypuje go prażonym *aku*, jak dodaje papryki i jak go zwija. Gdy wkładał liść do buzi, kilka termitów spadło na podłogę.

- Powiadają, że *aku* może sobie latać, ile chce, ale i tak w końcu zjedzą je ropuchy. – Ksiądz Amadi włożył rękę do miski, wziął kilka owadów i wrzucił je sobie do ust. – Kiedy byłem mały, uwielbiałem się za nimi ugańiać. Ale robiłem to tylko dla zabawy, bo żeby nałapać ich tak naprawdę, czekało się do wieczora, gdy gubiły skrzydełka i spadały na ziemię. – Powiedział to z nostalgią.

Zamknęłam oczy, ulegając pieszczocie jego głosu, wyobrażając go sobie

jako dziecko, gdy nie miał jeszcze tych szerokich ramion, jako małego chłopca uganiającego się za *aku* po mokrej od pierwszych deszczów ziemi.

Ciocia powiedziała, że wodę nosić będę dopiero wtedy, gdy w pełni odzyskam siły. Tak więc nazajutrz wstałam najpóźniej ze wszystkich, gdy do pokoju wpadały już promienie słońca, ożywiając lustro skrzącymi się refleksami. Amaka stała przy oknie w saloniku. Podeszłam bliżej. Patrzyła na werandę, na ciocię Ifeomę, która z kimś rozmawiała. Siedząca obok niej kobieta miała przenikliwy wzrok naukowca, smutne usta i była nieumalowana.

– Nie możemy przyglądać się temu z założonymi rękami, *mba*. Słyszałaś, żeby jakimś uniwersytetem zarządzał komisarz? – Ciocia nachyliła się i na brązowej szmince pokrywającej jej ściągnięte usta pojawiły się drobniutkie pęknięcia. – Senat głosował na rektora. Tak było od chwili powstania uniwersytetu i tak być powinno, *oburia*?

Kobieta patrzyła w dal, kiwając głową jak ktoś, kto szuka odpowiednich słów. W końcu się odezwała, mówiąc bardzo powoli, jak do upartego dziecka.

– Po uniwersytecie krąży lista nielojalnych wykładowców. Podobno mają ich wyrzucić. I podobno jest na niej twoje nazwisko.

– Nie płacą mi za lojalność. Mówię prawdę, a oni uważają, że to brak lojalności.

– Ifeomo, myślisz, że tylko ty znasz prawdę? Myślisz, że nikt oprócz ciebie jej nie zna? Ale, *gwakenem*, czy nakarmisz prawdą dzieci? Czy zapłacisz nią za szkołę, za ich ubrania?

– W takim razie kiedy zaczniemy mówić otwarcie? Kiedy wykładowcami zostaną żołnierze, a studenci będą siedzieć na zajęciach jak żywe tarcze na strzelnicy? Kiedy wreszcie powiemy prawdę? – Ciocia mówiła podniesionym głosem, ale nie patrzyła na koleżankę. Była zła na coś większego, na coś ważniejszego niż ona.

Kobieta wstała. Wygładziła swoją żółto-niebieską sukienkę, która ledwo zakrywała jej brązowe pantofle.

– Muszę iść. O której zaczynasz?

– O drugiej.

– Masz benzynę?

– *Ebekwanu*? Nie.

– Podrzucę cię. Ja jeszcze trochę mam.

Powoli ruszyły do drzwi, jakby przygniatał je ciężar tego, o czym przed chwilą mówiły, i tego, co pominęły milczeniem. Gdy ciocia zamknęła za sobą drzwi, Amaka odeszła od okna i usiadła.

– Mama kazała ci przypomnieć, żebyś wzięła środek przeciwbólowy – powiedziała.

– O czym one rozmawiały? – spytałam. Przedtem bym tego nie zrobiła. Myślałabym o tym, ale o nic bym nie spytała.

– O komisarzu – odrzekła, jakby to wszystko wyjaśniało. Siedziała i machinalnie pocierała ręką oparcie trzcinowego krzesła.

– To odpowiednik głowy państwa – dodał Obiorą.

– Uniwersytet staje się mikrokosmosem, Nigerią w miniaturze. – Nie zdałam sobie sprawy, że tam jest, że czyta książkę na podłodze. I nigdy dotąd nie słyszałam, żeby ktoś używał słowa: mikrokosmos.

– Chcą, żeby mama trzymała język za zębami – powiedziała Amaka. – Siedź cicho, bo stracisz pracę, bo możemy cię wyrzucić *fiam*, o tak. – Strzeliła palcami, żeby pokazać, jak szybko mogliby to zrobić.

– Powinni ją wyrzucić – odparł Obiorą. – Wyjechalibyśmy do Ameryki.

– *Mechie onu* – warknęła Amaka. – Zamknij się.

– Do Ameryki? – Patrzyłam to na nią, to na niego.

– Ciocia Phillipa chce, żeby mama do niej przyjechała – wyjaśniła z goryczą Amaka, jakby o coś ją oskarżała. – Przynajmniej dobrze tam płacą.

– Poza tym w Ameryce zdobyłaby uznanie swoją pracą, bez tych wszystkich politycznych głupot – dodał Obiorą, kiwając głową na wypadek, gdyby nikt inny nie chciał mu przytaknąć.

– Powiedziała ci, że wyjeżdża, *gbo*? – Amaka przestała pocierać oparcie krzesła i teraz szybko dźgała je palcami.

– Wiesz, jak długo wstrzymują jej awans? – spytał Obiorą. – Powinna była zostać starszym wykładowcą lata temu.

– Powiedziała to wam? – spytałam głupio, nie wiedząc nawet, co to znaczy, ale nic innego nie przyszło mi do głowy. Nie mogłam już wyobrazić sobie życia bez jej rodziny, życia bez Nsukka.

Nie odpowiedzieli, ani ona, ani on. Bez słowa mierzyli się wzrokiem, jakby w ogóle ze mną nie rozmawiali. Wyszłam i stanęłam przy balustradzie na werandzie. Całą noc padało. Jaja pielął na klęczkach ogródek. Nie musiał podlewać, bo niebo zrobiło to za niego. W świeżo spulchnionej czerwonej ziemi na podwórzu powyrastały kopczyki mrowisk jak miniaturowe zamki.

Żeby porozkoszować się dłużej zapachem obmytych przez deszcze zielonych liści, nabrałam dużo powietrza i wstrzymałam oddech jak ktoś, kto dopala papierosa. Okalające ogródek krzewy allemandy były gęsto obsypane żółtymi trąbkowatymi kwiatami. Chima nachylał je ku ziemi i wtykał w kwiaty palce. Przyglądał im się, szukając takiego, który pasowałby na najmniejszy.

Tego wieczoru wpadł do nas ksiądz Amadi. Jechał na stadion i chciał nas zabrać. Miał trening z chłopcami z Ugwu Agidi; przygotowywał ich na miejscowe zawody w skoku wzwyż. Ale Obiorą pożyczył od sąsiadów grę wideo i siedział z kolegami przed telewizorem w saloniku. Nie chcieli jechać, ponieważ niedługo musieli ją zwrócić.

Amaka się roześmiała.

– Niech ksiądz nie próbuje być miły – odparła. – Przecież wiem, że wolałby ksiądz pobycć sam na sam ze swoim słoneczkiem.

A on tylko się uśmiechnął.

Pojechałam z nim sama. Przez całą drogę na stadion z zażenowania zaciskałam usta. Byłam mu wdzięczna, że nie skomentował słów Amaki, że zamiast tego mówił o słodko pachnących deszczach i śpiewał skoczne pieśni wraz z chórem z kasety. Chłopcy już czekali. Choć wyżsi i starsi od tych, których widziałam ostatnim razem, też byli w przetartych, dziurawych szortach i wypłowiałych koszulkach. Zachęcając ich do wysiłku i wytykając im słabe punkty, ksiądz Amadi pokrzykiwał, a wówczas jego głos nie był już taki melodyjny. Gdy nie patrzyli, podnosił o ząbek poprzeczkę i mówił: „Jeszcze raz. Gotowy? Skacz!”, a oni przeskakiwali ją jeden po drugim. Zrobił to kilka razy, zanim się w końcu zorientowali. „Och! Och! Ojczy!” – zawołali, a on wytłumaczył im ze śmiechem, że był przekonany, iż stać ich na więcej, niż myślą, i że właśnie to udowodnili.

Wtedy zrozumiałam, że dokładnie tak samo postępuje ciocia Ifeoma, że umiejętnie rozmawiając ze swoimi dziećmi, stawiając im coraz wyższe wymagania, stale podnosi poprzeczkę, zmusza ich do coraz większego wysiłku.

Że robi to cały czas, wierząc, iż ją pokonają. A oni ani razu jej nie zawiedli. Z nami było inaczej. My przeskakiwaliśmy poprzeczkę nie dlatego, że wierzyliśmy w nasze siły, tylko dlatego, że baliśmy się jej nie przeskoczyć.

– Skąd ta chmurna twarz? – spytał, siadając tuż obok. Dotknął mnie ramieniem. Poczułam zapach jego potu, którego dotąd nie znałam, i znajomy zapach wody kolońskiej.

– Znikąd.

– Znikąd? To opowiedz mi o tym „znikąd”.

– Książd bardzo w nich wierzy – wykrztusiłam.

– W tych chłopców? Tak – odparł, uważnie mi się przypatrując. – Ale ta wiara jest potrzebna bardziej mnie niż im.

– Dlaczego?

– Ponieważ muszę wierzyć w coś, czego nigdy nie zakwestionuję.

Wziął butelkę i długo z niej pił. Patrzyłam, jak porusza mu się gardło, i pragnęłam być wodą, która w niego wpływa, być z nim, w nim, stopić się z nim w całość. Nigdy dotąd tak bardzo nie zazdrościłam zwykłej wodzie. Spojrzał na mnie i odwróciłam głowę, nie wiedząc, czy dostrzegł tęsknotę w moich oczach.

– Trzeba zapleść ci warkocze – powiedział.

– Warkocze?

– Tak. Zaprowadzę cię do kobiety, która czesze twoją ciocię.

Dotknął moich włosów. Mama ułożyła mi je w szpitalu, ale ponieważ strasznie bolała mnie głowa, zaplotła warkocze za słabo. Zaczynały się rozplatać, a on głaskał je teraz łagodnie i delikatnie. Patrzył mi prosto w oczy. Był za blisko. Dotykał mnie tak lekko, że chciałam pochylić głowę i poczuć nacisk jego dłoni. Chciałam się do niego przytulić, chwycić go za rękę i przytknąć ją sobie do czoła, do brzucha, żeby poczuł bijące ze mnie ciepło.

Ale on zabrał rękę, wstał i wybiegł na boisko.

Nazajutrz obudziłam się bardzo wcześnie, dużo za wcześnie, bo zamiast w lawendowej poświacie brzasku, sypialnia tonęła jeszcze w mroku. W słabym świetle lampy na zewnętrznej ścianie domu zobaczyłam, że Amaka zawiązuje spódnice. Coś się musiało stać, bo do ubikacji zawsze chodziła w samej koszuli.

– Amaka, o *gini*?

– Posłuchaj – szepnęła.

Z werandy dobiegał głos cioci Ifeomy i zdziwiłam się. Co ona tam robi o tak wczesnej porze? Wtedy usłyszałam śpiew. Miarowy śpiew, a raczej skandowanie dużej grupy ludzi. Dochodziło zza okna.

– Studenci – powiedziała Amaka. – Bunt.

Weszliśmy do saloniku. Co to znaczy? Bunt studentów? Czy groziło nam niebezpieczeństwo? Na werandzie byli już Jaja i Obiorą. Chłodne powietrze zaciążyło mi na nagich ramionach jak krople deszczu, które nie chcą spaść.

– Zgaście światło – rzuciła ciocia. – Zobaczą światło i zaczną rzucać kamieniami.

Amaka pstryknęła wyłącznikiem. Śpiew był coraz głośniejszy, wyraźniejszy i dźwięczniejszy. Musiało tam być co najmniej pół tysiąca ludzi.

– Precz z komisarzem! – skandowali. – Precz z tym kasiarzem! Precz z głową państwa! Nie chcemy pijaństwa! Gdzie jest bieżąca woda? Gdzie prąd? Gdzie benzyna?

– Krzyczą tak głośno, że myślałam, że są już przed domem – powiedziała ciocia.

– Przyjdą tu? – spytałam.

Ciocia objęła mnie i przytuliła. Pachniała talkiem.

– Nie, *nne*, nic nam nie grozi. Martwić się muszą ci, którzy mieszkają koło domu rektora. Ostatnim razem studenci spalili samochód jednemu z profesorów.

Skandowanie było coraz głośniejsze, ale się nie zbliżało. Studenci nabrali wigoru. Pod rozgwieżdżone niebo buchał gęsty dym. Słyszać było trzask wybijanych okien i brzęk szkła.

– Precz stąd, komisarzu! – śpiewali. – Spadaj, grabarzu!

Śpiewowi towarzyszyły wrzaski i krzyki. Ktoś rzucił jakieś hasło i tłum mu zawtórował. Chłodny wiatr niósł ze sobą ostry zapach spalenizny i wykrzyczane w pidgin English słowa:

– Wielki lwie i wielka lwico! Chcemy nosić czyste majtki, *no be so!* Czy Abi, głowa państwa, nosi brudne? Nie!

– Spójrzcie – szepnął Obiorą, jakby bał się, że tamci go usłyszą. Przed domem przebiegła grupa około czterdziestu studentów. Wyglądali jak czarny, rwący potok, oświetlony pochodniami i płonącymi szczapami.

– Pewnie biegną do tych z kampusu – powiedziała Amaka, kiedy nas minęli.

Postaliśmy tam i posłuchaliśmy jeszcze trochę, a potem ciocia kazała nam wracać do łóżek.

Nazajutrz przyniosła najświeższe wiadomości o zamieszkach. Od lat nie było równie gwałtownych. Studenci podpalili dom komisarza. Spalili też stojący za nim dom gościnny i sześć uniwersyteckich samochodów.

– Podobno komisarza i jego żonę wywieziono po kryjomu w bagażniku starego peugeot 404, *o di egwu* – dodała, wymachując jakąś ulotką.

Gdy ją przeczytałam, ścisnęło mnie w piersi, jakbym zjadła tłustą *akara*

i miała zgagę. Na dole ulotki widniał podpis kierownika administracyjnego. Ponieważ doszło do zniszczeń mienia i ponieważ panowała atmosfera buntu, uniwersytet zamknięto do odwołania. Nie wiedziałam, co to znaczy, bo czy znaczyło to, że ciocia niedługo wyjedzie i już nie będziemy mogli przyjeżdżać do Nsukka?

Po obiedzie spałam bardzo niespokojnie i śniło mi się, że komisarz jest w naszym domu w Enugu i polewa wrzątkiem stopy cioci Ifeomy. Ciocia wyskoczyła z wanny i, jak to bywa we śnie, od razu znalazła się w Ameryce. Krzyczałam, żeby wróciła, ale ona nawet na mnie nie spojrzała.

Myślałam o tym śnie, gdy wieczorem oglądaliśmy telewizję. Usłyszałam, że przed domem zaparkował jakiś samochód, i mocno zacisnęłam trzęsące się ręce, pewna, że to ksiądz Amadi. Ale zapukał do drzwi zupełnie nie jak on, głośno, niegrzecznie, natarczywie.

Ciocia Ifeoma szybko wstała.

– *Onyezi?* Kto chce wyważyć nasze drzwi?

Uchyliła je lekko, a wtedy wysunęły się zza nich dwie wielkie dłonie.

Gwałtownie pchnięte drzwi otworzyły się na oścież i muskając głową futrynę, do środka wpadło czterech roślących mężczyzn. Mieszkanie nagle zmalało, stało się za ciasne, bo wypełniły je granatowe mundury i czapki, odór potu i zjełczały zapach papierosowego dymu, potężne mięśnie pod rękawami koszul.

– Co się stało? Kim jesteście? – spytała ciocia.

– Rewizja. Szukamy dokumentów nawołujących do zakłócania spokoju na uniwersytecie. Dysponujemy informacjami, które dowodzą, że współpracuje pani z grupą radykalnych studentów, organizatorów zamieszek... – Żołnierz mówił jak automat, jak ktoś, kto recytuje tekst z pamięci. Cały policzek miał wytatuowany znakami plemiennymi; na skórze nie było ani skrawka wolnego miejsca. On mówił, a pozostali trzej szybko weszli do saloniku. Potwierdzali szuflady kredensu i nie zamykając ich, poszli do sypialni.

– Kto was przysłał? – spytała ciocia.

– Jesteśmy z oddziału specjalnego z Port Harcourt.

– Macie jakieś dokumenty? Nie możecie tak po prostu wejść i...

– Spójrz na to *yeye*, kobieto! Przecież mówię, że jesteśmy z oddziału specjalnego! – Gdy zmarszczył czoło, odpychając ciocię na bok, zafalowały mu wszystkie tatuaże.

– Jak możecie tak wchodzić? *Wetin be dis?* – spytał w pidgin English

Obiorą. W jego oczach czaił się strach, którego nie zdołała przestłonić bezczelna odwaga, z jaką wypowiedział te słowa.

– Obiorą, *nodu ani* – rzuciła ciocia i Obiorą szybko usiadł; chyba zrobił to z ulgą. Ciocia kazała nam siedzieć cicho, nie mówić ani słowa i poszła do żołnierzy. A oni nie zaglądali nawet do szuflad, które otwierali, tylko od razu wyrzucali wszystko na podłogę. Poprzewracali pudła i walizki w sypialni, nie patrząc na ich zawartość. Niczego nie szukali, chcieli jedynie narobić bałaganu. Wychodząc, ten z plemiennymi znakami na policzku wycelował w ciocię kołkowanym palcem z zakrzywionym paznokciem i syknął:

– Bądź ostrożna. Bądź bardzo ostrożna.

Milczeliśmy, dopóki nie odjechali.

– Trzeba zawiadomić policję – powiedział Obiorą.

Ciocia wykrzywiła usta w uśmiechu, ale twarz miała smutną.

– To policja ich tu przysłała. To jedna wielka sitwa.

– Ciociu, dlaczego oskarżają cię o podburzanie do buntu? – spytał Jaja.

– To bzdura. Chcą mnie nastraszyć. Odkąd to trzeba mówić studentom, kiedy mają się buntować?

– Nie do wiary – odezwała się Amaka. – Weszli i poprzewracali wszystko do góry nogami. Nie do wiary...

– Dzięki Bogu, że Chima śpi – mruknęła ciocia.

– Powinniśmy wyjechać – powiedział Obiorą. – Wyjedźmy, mamó. Kiedy ostatnio rozmawiałaś z ciocią Phillipą?

Ciocia Ifeoma pokręciła głową. Podnosiła z podłogi książki i maty stołowe, które tamci powyrzucali z szuflad. Jaja poszedł jej pomóc.

– Co znaczy „wyjechać”? – spytała Amaka. – Dlaczego musimy uciekać z naszego własnego kraju? Dlaczego nie możemy go naprawić?

– Naprawić? – rzucił szyderczo Obiorą. – Niby co?

– A więc mamy uciekać? – mówiła piskliwym głosem Amaka. – Ucieczka, tak? To jest rozwiązanie?

– Nie bylibyśmy uciekinierami, tylko realistami. Zanim zdamy na uniwersytet, najlepsi profesorowie będą mieli dość tych wszystkich idiotyzmów i wyjadą za granicę.

– Zamknijcie się i pomóżcie mi w sprzątanii! – warknęła ciocia. Po raz pierwszy nie robiła wrażenia dumnej, że jej dzieci potrafią tak zażarcie dyskutować.

Gdy rano weszłam do łazienki, żeby się umyć, przy odpływie ściekowym wanny zobaczyłam dżdżownicę. Jej czerwonawe ciało mocno kontrastowało z bielą emalii. Amaka mówiła, że rury są stare i jak dużo pada, dżdżownice wpełzają do wanny. Ciocia Ifeoma napisała na ten temat kilka listów do działu technicznego administracji, ale oczywiście nikt nie zareagował. Obiorą lubił się przyglądać tym dżdżownicom; odkrył, że umierają tylko wtedy, jeśli posypać je solą. Jeśli rozkroiło się je na pół, z każdej połówki wyrastała nowa dżdżownica.

Przed wejściem do wanny wyrwałam gałązkę z miotły, wyjęłam dżdżownicę i wrzuciłam do muszli klozetowej. Nie mogłam spuścić wody, bo nie było co splukiwać i tylko bym ją zmarnowała. Cóż, chłopcy będą musieli siusiać, patrząc na pływającego w muszli robaka.

Po kąpieli ciocia naląła mi szklankę mleka. Pokroiła już o *kpa* i z żółtych plastrów gapiły się na mnie czerwone paprykowe oczy.

– Jak się czujesz, *nne*?

– Dobrze, ciociu. – Zapomniałam już, że jeszcze nie tak dawno miałam nadzieję już nigdy nie otworzyć oczu, że moje ciało trawił ogień. Wzięłam szklankę. Mleko miało dziwny beżowy kolor i było grudkowate.

– Sojowe, domowej roboty – wyjaśniła ciocia. – Bardzo pożywne. Sprzedaje je jedna z wykładowczyń z wydziału rolniczego.

– Smakuje jak woda z kredą – burknęła Amaka.

– Skąd wiesz? Piłaś taką? – Ciocia się roześmiała, ale wokół jej ust dostrzegłam pajęczynę cieniutkich zmarszczek, widziałam też nieobecny wyraz jej oczu. – Nie stać mnie już na mleko – dodała zmęczonym głosem.

– Ceny mleka w proszku idą w górę tak szybko, jakby ktoś je gonił.

Zadzwoił dzwonek u drzwi. Ilekroć dzwonił, ścisnęło mnie w brzuchu, chociaż wiedziałam, że ksiądz Amadi zwykle puka.

Przyszła studentka cioci, dziewczyna w obcisłych dżinsach. Miała jasną twarz, ale musiała wybielić ją sobie kremem, bo ręce miała brązowe jak *bourvita* bez mleka. Przyniosła dużego szarego kurczaka, żeby tym sposobem oficjalnie zawiadomić ciocię, że wychodzi za mąż. Dowiedziawszy się o zamknięciu uniwersytetu, jej narzeczony powiedział, że nie może już dłużej czekać, bo nie wiadomo, kiedy go znowu otworzą; ślub miał być za miesiąc. Nie nazywała go po imieniu, mówiła o nim *dim*, mój mąż, dumnym głosem, jak ktoś, kto wygrał główną nagrodę, potrząsając przy tym ufarbowanymi na złotobrązowo warkoczami.

– Nie wiem, czy wrócę. Najpierw chcę mieć dziecko, bo jeszcze mój *dim* pomyśli, że wyszłam za niego dla pustego domu – dodała z piskliwym, dziewczęcym śmiechem. Przed wyjściem zapisała adres cioci, żeby wysłać jej zaproszenie.

Ciocia stała przez chwilę, patrząc na drzwi.

– Nie jest najbystrzejsza, więc chyba nie powinnam się smucić – mruknęła w zadumie.

– Mamo! – Amaka parsknęła śmiechem.

Kurczak zapiszczał. Leżał na boku ze związanymi nogami.

– Obiorą, zabij go i włóż do zamrażalnika, zanim straci na wadze. Nie mamy czym go karmić – powiedziała ciocia.

– Za często wyłączają światło – odparł Obiorą. – Trzeba go zjeść dzisiaj, całego.

– Zjedzmy połowę, a drugą włóżmy do lodówki i módlmy się, żeby się nie zepsuł – zaproponowała Amaka.

– Dobrze – odrzekła ciocia.

– Ja go zabiję – powiedział nagle Jaja i wszyscy na niego popatrzyliśmy.

– *Nna m*, nigdy tego nie robiłeś, prawda? – spytała ciocia.

– Nie, ale chcę.

– Dobrze – odparła ciocia i spojrzałam na nią zaskoczona, że tak szybko się zgodziła. Powiedziała to w roztargnieniu, bo wciąż myślała o tej studentce? Naprawdę sądziła, że Jaja da radę zabić kurczaka?

Gdy wyszliśmy na dwór, brat położył kurczaka na ziemi, przydeptał mu skrzydła i odchylił do tyłu łebek.

W lśniącej klindze noża zabłyśły promienie słońca. Kurczak przestał popiskiwać; pewnie pogodził się z nieuniknionym. Nie patrzyłam, jak Jaja podrzyna mu opierzoną szyję, ale widziałam, jak zaraz potem kurczak odtańczył oszalały taniec śmierci, młóćąc powietrze szarymi skrzydłami i trzepocząc nimi na czerwonym błocie. Gdy w końcu znieruchomiał jak kupka brudnego pierza, Jaja podniósł go i włożył do miski z gorącą wodą, którą przyniosła Amaka. Robił to wszystko bardzo dokładnie, z zimną, kliniczną determinacją. Zaczął skubać pierze i nie odezwał się, dopóki z kurczaka nie zostało tylko chude truchełko o żółtej skórze. Dopiero wtedy zobaczyłam, że ptak ma bardzo długą szyję.

– Jeśli ciocia wyjedzie – rzucił Jaja – chcę wyjechać z nimi.

Milczałam. Tyle chciałam mu powiedzieć, tyle wolałam zachować dla sie-

bie. Zaczęły krążyć nad nami dwa sępy, które już po chwili przysiadły tak blisko mnie, że gdybym szybko skoczyła w tamtą stronę, mogłabym je złapać. Ich nagie szyje błyszcząły w porannym słońcu.

– Widzicie, jak blisko podchodzą? – spytał Obiorą. Stał w drzwiach z Amaką. – Robią się coraz głodniejsze. Prawie już nikt nie zabija dzisiaj kurczaków i nie mają co zjeść. – Cisnął w nie kamieniem. Sępy wzbiły się w powietrze i przysiadły na gałęzi pobliskiego mangowca.

– Papa-Nnukwu mawiał, że stracili prestiż – dodała Amaka. – Dawniej ludzie je lubili, bo jeśli przylatywały zjadać wnętrzności zwierząt poświęconych bogom, oznaczało to, że bogowie są zadowoleni.

– Ale w dzisiejszych czasach powinny mieć więcej oleju w głowie, zaczekać, aż skończymy, i dopiero wtedy lądować – odparł Obiorą.

Zaraz po tym, jak brat rozkroił kurczaka i Amaka włożyła połówkę do plastikowej torebki, żeby zamrozić ją w lodówce, przyjechał ksiądz Amadi. Ciocia uśmiechnęła się, gdy oświadczył, że zabiera mnie do fryzjera.

– Dziękuję, bardzo mi ksiądz pomaga. Proszę pozdrowić Mamę Joe. Niech ksiądz jej powie, że niedługo przyjdę zapleść włosy na Wielkanoc.

W budce Mamy Joe na rynku w Ogige z trudem mieścił się wysoki stołek, na którym siedziała, i niski taboret tuż przed nią. Usiadłam na taborecie. Ksiądz Amadi miał tak szerokie bary, że już by się nie zmieścił, musiał więc zostać na zewnątrz, między taczkami, prosiakami, ludźmi i kurczakami. Mama Joe była w wełnianym kapeluszu, chociaż od potu pożółkła jej bluzka pod pachami. W sąsiednich budkach kobiety i dzieci splatały, zaplatały i przeplatały włosy kolorową włóczką. Na połamanych krzesłach przed wejściem stały drewniane tabliczki z koślawymi napisami. Te najbliżej nas głosiły: MAMA CHINEDU – STYLISTKA I MIĘDZYNARODOWE FRYZURY MAMY BOBMBY. Fryzjerki i dzieci zaczęły każdą przechodzącą obok kobietę.

– Zapleciami pani włosy!

– Będzie pani piękna!

– Dobrze je ułożę!

Większość kobiet odtrącała ich ręce i szła dalej.

Mama Joe powitała mnie, jakbym chodziła do niej od urodzenia. Jako siostrzenica cioci Ifeomy, byłam specjalną klientką. Spytała mnie, co u niej.

– To dobra kobieta. Nie widziałam jej prawie od miesiąca. Gdyby nie ona i stare ubrania, które mi przynosi, chodziłabym nago. A dobrze wiem, że jej

też się nie przelewa. Robi wszystko, żeby wychować dzieci na porządnym ludzi. *Kpau!* Silna z niej kobieta. – Mówiła dziwnym dialektem, często skracając słowa, dlatego trudno ją było zrozumieć.

Powiedziała księdzu, że skończy za godzinę. Ksiądz kupił butelkę coli, postawił ją przy moim taborecie i odszedł.

– To twój brat? – spytała Mama Joe, odprowadzając go wzrokiem.

– Nie, to ksiądz. – Nie dodałam, że głos tego księdza pisze scenariusz wszystkich moich snów i marzeń.

– Ksiądz? *Fada?*

– Tak.

– Prawdziwy katolicki *fada?*

– Tak – powtórzyłam, zastanawiając się, czy istnieją nieprawdziwi.

– Co za mężczyzna, co za strata – mruknęła, łagodnie rozczesując mi włosy. Odłożyła grzebień i rozplątała koniuszki palcami. Czuję się dziwnie, bo zawsze robiła to Mama. – Widziałas, jak na ciebie patrzy? To coś znaczy, mówię ci.

– Tak? – spytałam, nie wiedząc, jakiej oczekuje odpowiedzi. Ale ona już krzyczała coś do Mamy Bomboy po drugiej stronie przejścia. Ciasno zaplatając warkoczyki, cały czas plotkowała z nią i z Mamą Caro, której głos słyszałam, ale której nie widziałam, bo siedziała dwie budki dalej. Wtem poruszył się kosz w drzwiach. Spod przykrycia wypełzła brązowa, spiralnie zwinięta muszelka. Omal nie podskoczyłam – nie wiedziałam, że kosz jest pełen żywych ślimaków na sprzedaż. Mama Joe wstała i wrzuciła ślimaka pod przykrycie.

– Fuj, na psa urok! – wymamrotała.

Była w połowie ostatniego rzędu warkoczyków, gdy jakaś kobieta spytała ją o ślimaki. Mama Joe zdjęła przykrycie.

– Duże są – powiedziała. – Moje dzieci zebrały je dziś o świcie nad jeziorem Adada.

Kobieta potrząsnęła koszem, podejrzewając, że pod tymi dużymi Mama Joe ukryła małe. W końcu orzekła, że wcale nie są takie duże, i odeszła.

– Ci, co mają słabe żołądki, nie powinni zniechęcać innych! – krzyknęła za nią Mama Joe. – Tak wielkich ślimaków nie znajdzie pani na całym rynku!

Podniosła z ziemi przedsiębiorczego ślimaka, który wypełznął na wolność, wrzuciła go do kosza i mruknęła:

– Fúj, na psa urok!

Ciekawe, czy to ten sam, pomyślałam, ten, który próbował uciec chwilę przedtem. Jaki zdeterminowany. Miałam ochotę kupić cały kosz i wypuścić go na wolność.

Mama Joe skończyła przed powrotem księdza. Podała mi czerwone lustro, a właściwie połowę pękniętego lusterka, tak że obejrzałam moją nową fryzurę kawałkami.

– Dziękuję – powiedziałam. – Wyglądają bardzo ładnie.

Mama Joe wyprostowała idealnie prosty warkoczek.

– Mężczyzna nie przyprawia do fryzjerki młodej dziewczyny, chyba że ją kocha. Mówię ci, to się nie zdarza.

Znowu kiwnęłam głową, bo nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

– To się nie zdarza – powtórzyła Mama Joe, jakbym zaprotestowała.

Spod jej stołka wybiegł karaluch i rozgniotła go bosą stopą.

– Fúj, na psa urok.

Splunęła na otwartą dłoń, zatarła ręce, przysunęła bliżej kosz i zaczęła układać ślimaki. Nie zauważyłam, czy splunęła sobie na rękę, zanim zaczęła mnie czesać.

Tuż przed powrotem księdza Amadiego wszystkie ślimaki kupiła kobieta w niebieskiej zawijce z torbą pod pachą. Mama Joe nazywała ją *nwanyi oma*, chociaż kobieta wcale nie była piękna, i wyobraziłam sobie wysmażone ślimaki, ich zniekształcone trupki pływające w jej zupie.

– Dziękuję – powiedziałam, gdy wracaliśmy do samochodu. Zapłacił Mamie Joe tak dużo, że aż zaprotestowała – co prawda słabo – mówiąc, że od siostrzenicy cioci Ifeomy nie powinna tyle brać.

Dobrodusznie odrzekł, że nie ma za co, jak ktoś, kto spełnił tylko swój obowiązek.

– *O maka*, nareszcie widać twoją twarz – dodał. – Wiesz, wciąż szukamy dziewczyny, która zagrałaby Najświętszą Panienkę w naszym przedstawieniu. Powinnaś spróbować. Kiedy byłem w seminarium, zawsze grała ją najpiękniejsza nowicjuszką.

Wzięłam głęboki oddech, modląc się, żeby nie zaczęła się jąkać.

– Nie mogę. Nigdy nie grałam.

– Warto spróbować. – Przekręcił kluczyk w stacyjce i silnik odpalił z piśkliwym zgrzytem. Zanim ruszyliśmy, ksiądz spojrzał na mnie i dodał: – Możesz zrobić wszystko, co zechcesz, Kambili.

W drodze powrotnej śpiewaliśmy z chórem z kasety. Śpiewałam coraz śmiej i śmiej, i wreszcie mój głos stał się równie czysty i melodyjny jak jego.

Zielona tablica przed wejściem była jaskrawo oświetlona i gdy wchodziłam z Amaką do pachnącego kadzidłem kościoła, wypisane na niej słowa – UNIWERSYTET NIGERYJSKI, KAPLICA ŚWIĘTEGO PIOTRA – błyszczały i mrugały jak gwiazdy. Usiadliśmy w pierwszym rzędzie tak blisko siebie, że dotykaliśmy się udami. Przyszliśmy same; ciocia Ifeoma, Obiorą, Jaja i Chima byli na porannej mszy.

U Świętego Piotra nie było wielkich świec ani bogato zdobionego marmurowego ołtarza jak w Świętej Agnieszce. A kobiety nie miały na głowie chust, które zakrywałyby jak najwięcej włosów. Obserwowałam je podczas ofiarowania. Niektóre podchodziły do ołtarza w zwykłym, czarnym, przezroczystym welonie, inne były w spodniach, a nawet w dżinsach. Tata by się zgorszył. Powiedziałby, że w domu bożym kobieta nie może pokazywać włosów, nie może też nosić spodni, nigdy, a już na pewno nie w kościele.

Gdy podczas konsekracji ksiądz Amadi podniósł hostię, spojrzałam na prosty drewniany krucyfiks na ścianie i wyobraziłam sobie, że się zakołysała. Ksiądz zamknął oczy i wiedziałam, że nie ma go już za białym ołtarzem, że jest gdzie indziej, w miejscu znanym tylko jemu i Bogu. Udzielił mi komunii i gdy musnął palcem mój język, chciałam upaść mu do stóp. Ale w tym samym momencie zagrzmiał chór, więc wyprostowałam się i wróciłam na miejsce.

Po Ojcie Nasz nie powiedział: „Przekażcie sobie znak pokoju”, tylko zain-tonował pieśń w igbo.

– *Ekene nke udo – ezigbo nwanne m nye m aka gi.* Pozostańcie w pokoju – daj mi rękę, droga siostrze, drogi bracie.

Ludzie ściskali sobie ręce i się obejmowali. Amaka objęła najpierw mnie, a potem członków siedzącej za nami rodziny. Ksiądz Amadi uśmiechnął się do mnie z ołtarza i poruszył ustami. Nie wiedziałam, co powiedział, wiedziałam za to, że będę myśleć o tym w nieskończoność. I wciąż o tym myślałam, gdy po mszy odwoził nas do domu.

Przypomniał Amace, że nie podała mu jeszcze imienia na bierzmowanie. Musiał zebrać imiona wszystkich bierzmowanych i już nazajutrz, czyli w niedzielę, przedstawić listę kapelanowi. Amaka odparła, że angielskie imię ją

nie interesuje, a on roześmiał się i powiedział, że jeśli chce, może jej jakieś podsunąć. Patrzyłam w okno. Nie było prądu i kampus wyglądał tak, jakby ktoś narzucił nań olbrzymi granatowoczarny koc. Ulice, którymi jechaliśmy, zmieniły się w ciemne tunele z wysokimi żywopłotami po bokach. Za oknami i na werandach domów, niczym oczy setek dzikich kotów, mrugało żółte światło lamp naftowych.

Ciocia Ifeoma rozmawiała na werandzie z koleżanką. Obiorą siedział na macie między dwiema lampami. Obie ledwo się tliły i weranda tonęła w cieniu. Przywitałyśmy się i koleżanka cioci – była w jasnej, ręcznie farbowanej sukience i miała krótkie, naturalne włosy – spytała z szczerym uśmiechem:

– *Kedu?*

– Pozdrowienia od księdza Amadiego – odrzekła Amaka. – Nie mógł wpaść, bo ma gości. – Schyliła się po lampę.

– Tak, weź ją – powiedziała ciocia. – Jaja i Chima woleli świece. Tylko zamknij drzwi, żeby owadów nie naleciało.

Zdjęłam chustkę i usiadłam obok niej, obserwując tłoczące się wokół lampy żyjątki. Było wśród nich mnóstwo małych żuczków – coś sterczało im z pleców, jakby źle złożyły skrzydełka – ale zachowywały się dużo spokojniej niż małe, żółte muszki, które często przelatywały tuż przed oczami. Ciocia opowiadała o rewizji; w przyćmionym świetle jej twarz rozmazywała się i roztopiała. Dla większego dramatyzmu często robiła przerwy, a kiedy jej koleżanka pytała: *Gini meziai* No i co? – ciocia odpowiadała: *Chelu nu*, zaczekaj. Wcale się jej nie spieszyło.

Gdy skończyła, koleżanka długo milczała. Zdawało się, że rozmowę podjęły świerszcze; grały tak głośno i przenikliwie, jakby były tuż-tuż, chociaż równie dobrze mogły być kilometry dalej.

– Słyszałaś, co zrobił syn profesora Okafora? – spytała w końcu. Częściej mówiła w igbo, a gdy przechodziła na angielski, wymawiała słowa z brytyjskim akcentem, w przeciwieństwie do Taty, który rozmawiał po angielsku tylko z białymi i czasami wtrącał coś w igbo, tak że połowa zdania była po nigeryjsku, połowa po brytyjsku.

– Którego Okafora? – spytała ciocia.

– Tego z Fulton Avenue. Ma syna, Chidifu.

– Chidifu? To kolega Obiory.

– Właśnie. Ukradł ojcu testy na egzamin i sprzedał je studentom.

– *Ekwuzina!* Ten szkrab?

– Tak. A gdy zawieszono zajęcia, studenci przyszli do niego i zażądali zwrotu pieniędzy. Oczywiście zdążył już wszystko wydać. Wczoraj Okafor dał mu lanie, wybił mu przedni ząb. Ale ten sam Okafor nie chce wystąpić w obronie uniwersytetu, nie chce zrobić nic, żeby zdobyć względy tych ważniaków z Abudży. To właśnie on sporządził listę niełojalnych wykładowców. Podobno jest na niej moje nazwisko, twoje też.

– Tak, słyszałam. *Mana*, ale co to ma wspólnego z jego synem?

– Czy leczy się raka czy jego objawy? Nie stać nas na kieszonkowe dla dzieci. Nie stać nas na mięso. Nie stać nas na chleb. Dziecko zaczyna kraść, a my się dziwimy? Trzeba leczyć raka, bo jeśli tego nie zrobimy, objawy będą powracać.

– *Mba*, Chiaku. Nie można usprawiedliwiać kradzieży.

– Niczego nie usprawiedliwiam. Mówię tylko, że Okafor nie powinien się dziwić i marnować sił na bicie swego biednego syna. Tak to jest, gdy siedzi się z założonymi rękami, zamiast walczyć z tyranią. Dziecko zmienia się nie do poznania.

Ciocia ciężko westchnęła i popatrzyła na Obiorę, pewnie zastanawiając się, czy on też mógłby zmienić się nie do poznania.

– Wczoraj rozmawiałam z Phillipą.

– Tak? Co u niej? Jak się jej wiedzie w krainie *oyinbo*?

– Dobrze.

– Dobrze? Obywatelce drugiej kategorii?

– Chiaku, ten sarkazm ci nie przystoi.

– Ale to prawda. Studiowałam w Cambridge i przez całe studia traktowano mnie jak małpę, która nauczyła się myśleć.

– Nie jest aż tak źle.

– Tylko tak mówią. Nasi lekarze jadą tam i kończą jako pomywacze, bo *oyinbo* uważają, że źle ich tu uczymy. Nasi prawnicy zostają kierowcami taksówek, bo *oyinbo* nie wierzą, że dobrze ich wykształciliśmy...

– Wysłałam Phillipie mój życiorys i listę publikacji – przerwała jej szybko ciocia.

Chiaku zmięła skraj sukienki i wcisnęła go między wyciągnięte nogi. Zmrużyła oczy i popatrzyła w dal, albo w zadumie, albo zastanawiając się, skąd dochodzi granie świerszczy, z bliska czy z daleka.

– A więc ty też, *Ifeomo* – powiedziała w końcu.

– Nie chodzi o mnie, Chiaku. – Ciocia zawiesiła głos. – Chodzi o Amakę i Obiorę. Kto będzie uczył ich na uniwersytecie?

– Wyjeżdżają. Ci najlepiej wykształceni, ci, którzy mogliby naprawić całe zło. Wyjeżdżają, zostawiają słabych samym sobie. Tyrani utrzymują się przy władzy, bo słabi nie potrafią się zbuntować. Czy ty tego nie widzisz? To błędne koło. Kto je wreszcie zatrzyma?

– To bzdura, ciociu, gadka pod publiczność – mruknął Obiorą.

Napięcie spadło jak z nieba, spadło i otuliło nas jak pledem. Ciszę prze-rwał dopiero płacz dziecka na górze.

– Wyjdz – powiedziała ciocia. – Zaczekaj na mnie w moim pokoju.

Obiorą wstał i wyszedł. Miał poważną minę, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, co zrobił. Ciocia przeprosiła koleżankę, ale po jego wyjściu było już inaczej. Obrażliwe słowa – z ust ledwie czternastoletniego chłopca – zawisły między nimi, wiążąc języki i rozmowa przestała się kleić. Zaraz potem Chiaku wyszła, a ciocia wpadła do mieszkania, omal nie przewracając lampy. Usłyszałam głuchy odgłos uderzenia i jej podniesiony głos:

– Wolno ci nie zgadzać się z moją przyjaciółką, ale nie masz prawa robić tego w ten sposób. W tym domu nie ma miejsca dla dzieci, które nie potrafią okazać szacunku starszym. Słyszysz? Nie ty jeden przeskoczyłeś klasę. Nie będę tolerowała tych bzdur! I *na-anu*? – Zniżyła głos.

Cicho zamknęły się drzwi. Wróciła Amaka.

– Ja dostawałam po łapach – powiedziała. – A on dostaje po tyłku. Mama myśli pewnie, że lanie w tyłek źle by na mnie wpłynęło, że przestałyby rosnąć mi piersi albo coś takiego. Ale wolałam dostawać w pupę, bo rękę ma chyba z żelaza, *ezi okwum*. – Parsknęła śmiechem. – A potem zawsze była długa rozmowa. Nie znosiłam tego. Daj mi lanie i wypuść, ale nie, musiała wytłumaczyć mi dlaczego, za co mnie zbiła, co mam robić, żeby uniknąć lania w przyszłości. Teraz męczy Obiorę.

Odwróciłam wzrok. Amaka wzięła mnie za rękę. Miała gorącą dłoń, jak ktoś, kto dochodzi do siebie po malarii. Milczała, lecz czułam, że myślimy o tym samym: jakże inaczej było ze mną i moim bratem.

Odchrząknęłam.

– Obiorą bardzo chce wyjechać.

– Jest głupi – odparła Amaka. Ścisnęła mocno moją dłoń i cofnęła rękę.

Ciocia Ifeoma myła lodówkę, która zaczęła cuchnąć z powodu nieustan-

nych wyłączeń prądu. Wytarła kałuże czerwonej wody, ściekającej już na podłogę, potem wyjęła torebki z mięsem i włożyła je do miski. Małe kawałki wołowiny zgłiwiły i zbrązowiały. Połówka zabitego przez Jaja kurczaka zżółkła.

– Tyle mięsa się zmarnowało – powiedziałam.

– Zmarnowało się, *kwa?* – powtórzyła ze śmiechem ciocia. – Wrzucę je do garnka, dodam przypraw, porządnie wygotuję i będzie dobre.

– Mamo, to przecież córka bogacza – rzuciła Amaka i ucieszyłam się, że zamiast ze mnie szydzić, roześmiała się tak jak ciocia.

Przebierałyśmy ryż na werandzie. Siedziałyśmy na matach, z dala od cienia, żeby doszło nas łagodne, poranne słońce, które wyjrzało po deszczu zza chmur. Na przyciśniętych kamieniami matach stały emaliowane tacki, a na tackach piętrzyły się starannie usypane kopczyki przebranego i nieprzebranego ryżu. Amaka nabierała garść i dmuchała, żeby oddzielić ziarno od plew.

– Problem w tym, że z taniego ryżu zawsze robi się pudding, żebyś nie wiem jak mało wody dodała. A potem jesz tę papkę i myślisz: to *garri* czy zwykły ryż? – wymamrotała Amaka, kiedy ciocia weszła do domu.

Uśmiechnęłam się. Siedząc obok niej i słuchając Feli i Onyeki z małego magnetofonu, w którym niedawno wymieniła baterie, miałam poczucie bliskości i wspólnoty, jakiego nigdy dotąd nie doświadczyłam. Nigdy dotąd nie milczało mi się tak dobrze jak z nią, jak wtedy, gdy przebierałyśmy ryż, a musiałyśmy robić to bardzo ostrożnie, bo ziarenka były małe i czasem wyglądały jak szkliste kamyczki. Nawet powietrze znieruchomiało, powoli budząc się po deszczu. Obłoki rozsuwały się niechętnie, jak szczipione ze sobą kłaczki waty.

Ciszę i spokój zakłócił warkot nadjeżdżającego samochodu. Wiedziałam, że ksiądz Amadi z rana pracuje, mimo to miałam nadzieję, że to on. Wyobraziłam sobie, że idąc, podwija sutannę, żeby łatwiej mu było wbiec z uśmiechem na schodki werandy.

Amaka spojrzała przez ramię.

– Ciocia Beatrice!

Gwałtownie się odwróciłam. Z żółtej, rozklekotanej taksówki wysiadała Mama. Co ona tu robiła? Co się stało? Dlaczego przyjechała aż z Enugu w gumowych kapciach? Szła powoli, podtrzymując spódnicę zawiązaną tak luźno, że lada chwila mogła zsunąć się na ziemię. I była w niewyprasowanej bluzce.

– Mama, o *ginp*. Coś się stało? – Objęłam ją i szybko się cofnęłam, żeby się jej przyjrzeć. Miała zimne ręce.

Amaka też ją objęła i wzięła torbę.

– Ciociu, *nno*.

Na werandę wybiegła ciocia Ifeoma, wycierając ręce w szorty. Wyściskała Mamę i zaprowadziła ją do saloniku, podtrzymując ją jak kalekę.

– Gdzie Jaja? – spytała Mama.

– Wszedł z Obiorą – odparła ciocia. – Usiądź, *nwunye m*. Amako, weź pieniądze z portmonetki i kup coś do picia dla cioci.

– Nie, nie trzeba, napiję się wody – odrzekła Mama.

– Jest ciepła, nie ma prądu.

– Nie szkodzi, wypiję ciepłą.

Mama usiadła ostrożnie na brzegu trzcinowego krzesła i rozejrzała się po pokoju. Miała szkliste oczy. Czułam, że nie widzi ani obrazka w pękniętej ramce, ani świeżych afrykańskich lilii w orientalnym wazonie.

– Chyba pomieszało mi się w głowie – powiedziała, przykładając wierzch dłoni do czoła, jakby sprawdzała, czy nie ma gorączki. – Dzisiaj wyszłam ze szpitala. Lekarz kazał mi odpoczywać, ale wzięłam pieniądze Eugenea, Kevin podwiózł mnie do parku, tam złapałam taksówkę i przyjechałam.

– Byłaś w szpitalu? – spytała cicho ciocia Ifeoma. – Co się stało?

Mama ponownie rozejrzała się po saloniku. Przez chwilę patrzyła na ścienny zegar, ten ze złamanym sekundnikiem, potem spojrzała na mnie.

– Pamiętasz ten mały stolik, na którym leży nasza Biblia, *nne*? Twój ojciec roztrzaskał mi go na brzuchu. – Zabrzmiało to tak, jakby mówiła o kimś innym, jakby stolik nie był zrobiony z twardego drewna. – Zaczęłam krwawić i zawiózł mnie do Świętej Agnieszki. Lekarz powiedział, że nic nie można zrobić, że nie da się go uratować. – Mama powoli pokręciła głową.

Po jej policzkach spływały dwa cieniutkie strumyczki łez, spływały, a raczej pełzały, jakby nie mogły wydostać się z oczu.

– Uratować? – szepnęła ciocia. – Kogo?

– Od półtora miesiąca nie miałam okresu.

– *Ekwuzina!* – Ciocia wytrzeszczyła oczy. – Nie mów!

– Tak. Eugene nic nie wiedział, nie powiedziałam mu, ale tak było. – Mama osunęła się na podłogę i usiadła z wyciągniętymi nogami. Chociaż wyglądała niegodnie, usiadłam obok niej i dotknęłyśmy się ramionami.

Długo płakała. Płakała, aż zeszywniała mi dłoń w jej ręce. Płakała, aż cio-

cia Ifeoma skończyła gotować zepsute mięso w gęstej od przypraw wodzie. Płakała, aż wreszcie zasnęła z głową wspartą o siedzenie krzesła. Jaja położyła ją na materacu.

Wieczorem, gdy siedzieliśmy przy lampie na werandzie, zadzwonił Tata. Ciocia weszła do mieszkania, wróciła i powiedziała Mamie, kto to był.

– Odłożyłam słuchawkę. Powiedziałam, że nie pozwolę ci podejść do telefonu.

Mama zerwała się ze stołka.

– Dlaczego? Dlaczego?

– Siadaj, *nwunye m!* – warknęła ciocia.

Ale Mama nie usiadła. Weszła do pokoju i zadzwoniła do domu. Zaraz potem rozległ się dzwonek telefonu i wiedziałam, że to Tata oddzwonił.

Wróciła na werandę kwadrans później.

– Jutro wyjeżdżamy – oznajmiła, patrząc przed siebie ponad naszymi głowami. – Dzieci i ja.

– Niby dokąd? – spytała ciocia.

– Do Enugu. Do domu.

– Odebrało ci rozum, *gbo?* Nigdzie nie pojedziecie.

– Eugene po nas przyjeżdża.

– Posłuchaj – powiedziała łagodnie ciocia; musiała wyczuć, że stanowczym głosem niczego nie wskóra, że nie zetrze jej z twarzy tego przyklejonego uśmiechu. Mama wciąż miała szkliste oczy, ale teraz wyglądała inaczej niż wtedy, gdy wysiadała z taksówki. Jakby opętał ją inny demon. – Zostań chociaż kilka dni, *nwunye m*, nie wracaj tak szybko.

Mama pokręciła głową. Miała mocno zaciśnięte usta, lecz poza tym jej twarz była pozbawiona wyrazu.

– Eugene źle się czuje. Cały czas ma migrenę i gorączkę. Dźwiga na barkach więcej, niż powinien. Wiesz, jak przeżył śmierć Ade’a? Nikt by tego nie wytrzymał.

– *Ginidi*, co ty mówisz? – Ciocia niecierpliwie machnęła ręką, odpędzając owada, który przeleciał jej koło ucha.

– Kiedy Ifediora jeszcze żył, często bywało tak, że przez wiele miesięcy uniwersytet nie wypłacał nikomu pensji. Nie mieliśmy nic, mimo to ani razu nie podniósł na mnie ręki.

– Wiesz, że Eugene płaci za szkołę prawie stu dzieci? Wiesz, ilu ludzi żyje dzięki twojemu bratu?

– Nie o to chodzi, dobrze o tym wiesz.

– Dokąd bym poszła, gdybym wyprowadziła się z domu? Powiedz, dokąd bym poszła? – Nie czekała na odpowiedź. – Wiesz, ile matek podsuwało mu swoje córki? Wiesz, ile prosiło, żeby je tylko zapłodnił, nie zwracając sobie głowy posagiem?

– I co z tego? Pytam cię, co z tego?! – Ciocia zaczęła krzyczeć.

Mama usiadła. Chociaż na macie, którą rozłożył Obiorą, było jeszcze miejsce, usiadła na gołym cemencie i oparła głowę o balustradę.

– Znowu mówisz jak na wykładzie – odparła łagodnie i odwróciła wzrok na znak, że już nie chce rozmawiać.

Nigdy dotąd nie widziałam jej w takim stanie, nigdy dotąd nie widziałam, żeby miała takie oczy, i nie słyszałam, żeby powiedziała tyle w tak krótkim czasie.

Gdy Mama i ciocia Ifeoma poszły spać, długo siedziałam na werandzie z Amaką i Obiorą. Graliśmy w makao; Obiorą nauczył mnie chyba wszystkich gier.

– Makao! – oznajmiła zadowolona z siebie Amaka, kładąc kartę.

– Mam nadzieję, że ciocia dobrze śpi. – Obiorą dobrał kartę. – Powinna była położyć się na materacu. Mata jest twarda.

– Nic jej nie będzie – szepnęła Amaka. Popatrzyła na mnie i powtórzyła: – Nic jej nie będzie.

Obiorą poklepał mnie po ramieniu. Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc spytałam:

– Teraz ja? – chociaż wiedziałam, że tak.

– Wujek nie jest taki zły – dodała Amaka. – Ludzie mają kłopoty, ludzie popełniają błędy...

– Uhm. – Obiorą poprawił okulary.

– Niektórzy nie umieją sobie poradzić ze stresem. – Amaka zerknęła na niego, jakby chciała sprowokować go do mówienia. Ale on milczał, przyglądając się karcie, którą trzymał tuż przed oczami. – Ostatecznie zapłacił za pogrzeb Papa-Nnukwu – ciągnęła Amaka.

Wciąż patrzyła na brata, ale on nie reagował. Położył kartę i zawołał:

– Koniec! – Znowu wygrał.

Leżąc w łóżku, nie myślałam o powrocie do Enugu. Myślałam, ile razy z nimi przegrałam.

Gdy przyjechał Tata, Mama spakowała nasze rzeczy i zaniosiła je do mercedesa. Tata przytulił ją, a ona złożyła mu głowę na piersi. Tata schudł. Przedtem Mama nie dawała rady go objąć, a teraz sięgała ręką aż do krzyża. Wysypkę zauważyłam dopiero wtedy, gdy podeszłam bliżej. Miał mnóstwo maleńkich pryszczki, takich z białawą ropą na czubku, i było ich tyle, że pokrywały dosłownie całą twarz, nawet powieki. Twarz była opuchnięta, oleista i jakby wypłowiała. Zamierzałam go objąć, żeby pocałował mnie w czoło, ale stałam tam tylko i przyglądałam się jego twarzy.

– To zwykła alergia – powiedział. – Nic groźnego.

Gdy mnie przytulił i pocałował, zamknęłam oczy.

– Niedługo się zobaczymy – szepnęła Amaka na pożegnanie. Nazwała mnie *nwanne m nwanysi*, siostrą. Stała w drzwiach i machała nam, a ja patrzyłam na nią przez tylne okno, dopóki nie zniknęła mi z oczu.

Tata zaczął odmawiać różaniec, ale głos miał inny niż dawniej, zmęczony.

Gapiałam się na jego szyję, wolną od wysypki, i szyję też miał inną, chudsza, z cieńszymi fałdami skóry.

Spojrzałam na brata. Chciałam powiedzieć mu wzrokiem, jak bardzo pragnęłam spędzić Wielkanoc w Nsukka, być na bierzmowaniu Amaki i na mszy paschalnej księdza Amadiego, jak bardzo pragnęłam zaśpiewać pełnym głosem w kościele. Ale on cały czas patrzył w okno, mruzczał modlitwy i nie odezwał się przez całą drogę.

Gdy Adamu otworzył bramę, doszedł mnie zapach owoców, dojrzewających nerkowców, mango i awokado. Jakby chciał uciec z za wysokich murów, jakby mury te go więziły. Aż mnie zemdliło.

– Zobacz – powiedział Jaja, gdy wysiedliśmy z samochodu. – Fioletowe hibiskusy zaraz zakwitną. – Wskazał je ręką, ale nie musiał. Sama zobaczyłam. Kołysały się lekko na wieczornym wietrze i miały senne, owalne pączki.

Nazajutrz była Niedziela Palmowa. Jaja nie przystąpił do komunii, Tata rzucił w niego mszałem i stłukł figuryнки.

SZCZĄTKI BOGÓW

PO NIEDZIELI PALMOWEJ

Po Niedzieli Palmowej wszystko się rozpadło. Nadciągnęły gniewne deszcze i wyjące wichry, które przewracały uroczyny na podwórzu. Drzewa leżały tam, muskając trawę różowymi i białymi kwiatami, a z ich sterczących korzeni zwisały grudy ziemi. Z dachu garażu spadł talerz anteny satelitarnej i wylądował na podjeździe niczym statek kosmiczny obcych. Wypadły drzwi do mojej garderoby. Sisi zbiła porcelanowy serwis Mamy.

Nawet otulająca dom cisza zagościła w nim nagle, jakby ta dawna roztrzaskała się na ostre kawałki. Każąc Sisi przetrzeć podłogę w salonie, żeby nikt nie pokaleczył sobie stóp, Mama nie zniżyła głosu do szeptu. Nie próbowała też ukryć lekkiego uśmiechu, od którego marszczyły jej się usta w kącikach. A potem zamiast przemyścić jedzenie w wypranej bieliźnie, zaniósła je bratu na białej tacy, z białym talerzem od kompletu.

Coś nad nami wisiało. Czasami pragnęłam, żeby był to tylko sen, ten mszał, etażerka, te roztrzaskane figuryńki, to kruche powietrze. Wszystko było zbyt nowe, zbyt obce i nie wiedziałam, jak się zachować. Do łazienki, kuchni i jadalni chodziłam na palcach. Podczas kolacji wbijałam wzrok w zdjęcie dziadka, to, na którym był w odświętnym stroju joannitów, a gdy nadeszła pora modlitwy, szybko zamykałam oczy. Jaja nie schodził na dół, chociaż Tata go prosił. Za pierwszym razem, dzień po Niedzieli Palmowej, nie mógł otworzyć drzwi do jego pokoju, bo Jaja zastawił je biurkiem.

– Jaja, Jaja – mówił. – Musisz z nami zjeść, słyszysz?

Ale Jaja nie wyszedł, a podczas kolacji Tata nawet o tym nie wspomniał; jadł bardzo mało, lecz dużo pił, co i raz prosząc Mamę, żeby kazała „tej dziewczynie” przynieść więcej wody. Pryszcze mu się powiększyły, spłaszczyły i rozlały, tak że miał twarz jeszcze bardziej obrzmiałą.

Podczas kolacji przyszła Yewande Coker z córeczką. Witając się z nią i ściskając jej rękę, uważnie się jej przyjrzałam, szukając zmian, jakie zaszły w niej po śmierci męża. Ale ona wyglądała tak samo jak przedtem, nie licząc

tego, że była teraz w czarnej spódnicy, czarnej bluzce i czarnej chustce, która zakrywała włosy i prawie całe czoło. Jej córeczka siedziała sztywno na sofie, szarpiąc czerwoną wstążkę od kucyka. Gdy Mama spytała, czy chce napić się fanty, pokręciła głową, nie przestając szarpać wstążki.

– Wreszcie przemówiła – powiedziała Yewande, nie odrywając oczu od córki. – Dziś rano powiedziała „mamusiu”. Chciałam, żeby pan o tym wiedział, dlatego przyszłam.

– Chwała Bogu! – odparł Tata tak głośno, że aż podskoczyłam.

– Bogu niech będą dzięki – dodała Mama.

Yewande wstała i uklękła przed Tata.

– Dziękuję panu. Dziękuję za wszystko. Gdybyśmy nie pojechali do tego zagranicznego szpitala, co by się z nią stało?

– Niech pani wstanie, Yewando – odrzekł Tata. – To Bóg. To Jego dzieło.

Tego wieczoru, gdy modlił się w gabinecie – czytał na głos psalm – stanęłam przed drzwiami do pokoju brata, napałam na nie i dobiegło mnie szuranie biurka, którym były zastawione. Weszłam do środka i opowiedziałam mu o wizycie Yewandy, a on kiwnął głową i odparł, że wie o tym od Mamy. Po śmierci ojca córeczka Cokerów przestała mówić. Tata zapłacił za jej leczenie u najlepszych lekarzy w Nigerii i za granicą.

– Nie wiedziałam, że przestała mówić. To już prawie cztery miesiące. Bogu niech będą dzięki.

Jaja patrzył na mnie bez słowa. Miał taką minę, że od razu przypomniała mi się dawna Amaka, wyraz jej twarzy, który napawał mnie poczuciem winy nie wiadomo za co.

– Ona nigdy nie dojdzie do siebie – odparł. – Może zacząć mówić, ale już nigdy nie będzie taka jak kiedyś.

Wychodząc, odsunęłam biurko na bok. I zastanowiło mnie, dlaczego Tata nie mógł otworzyć drzwi. Biurko wcale nie było takie ciężkie.

Bałam się niedzieli wielkanocnej. Bałam się tego, co będzie, kiedy Jaja znowu nie przystąpi do komunii. A wiedziałam, że nie przystąpi. Poznałam to po jego milczeniu, po zaciśniętych ustach, po tym, że potrafił długo patrzeć na coś, co widział jedynie on.

W Wielki Piątek zadzwoniła ciocia Ifeoma. Gdybyśmy poszli na poranną mszę, tak jak zamierzał Tata, mogłaby nas nie zastać. Ale podczas śniadania ręce trzęsły mu się tak bardzo, że rozlał herbatę; gorący napar pełznął powoli po szklanym blacie, a ja na to patrzyłam. Wtedy powiedział, że musi odpocząć i że pójdziemy na wieczorną, tę, którą ksiądz Benedykt odprawiał po ucałowaniu krzyża. Poprzedniego roku też byliśmy na wieczornej, bo z rana Tata musiał załatwić coś w redakcji. Podeszliśmy do ołtarza razem, brat i ja. Gdy Jaja przytknął usta do krucyfiks, ministrant przetaił drewno ście-reczką i podsunął krucyfiks mnie. Krzyż był zimny. Przeszedł mnie dreszcz i dostałam gęziej skórki na rękach. Gdy wróciliśmy na miejsce, rozplakałam się, tak po cichu, chociaż policzki miałam mokre od łez. Płakało wtedy dużo ludzi, tak jak płakali na stacjach drogi krzyżowej, jęcząc i zawodząc: „Ileż Bóg dla mnie zrobił!” albo „Umarł dla mnie, maluczkiego!” Widok moich łez sprawił Tacie przyjemność; dobrze pamiętam, że nachylił się wtedy i pogłaskał mnie po policzku. I chociaż nie wiedziałam, dlaczego płaczę, czy płaczę z tego samego powodu co klęczący w ławkach ludzie, byłam dumna, że to zrobił.

Myślałam o tym, gdy zadzwoniła ciocia. Telefon dzwonił i dzwonił, pomyślałam więc, że skoro Tata śpi, na pewno odbierze Mama. Ale ponieważ Mama też nie odebrała, weszłam do gabinetu i podniosłam słuchawkę.

Ciocia mówiła znacznie ciszej niż zwykle.

– Dostałam wymówienie – zaczęła, nie czekając nawet, aż odpowiem na: „Jak się masz?” – Za tak zwaną nielegalną działalność. Wystąpiłam o amerykańską wizę.

Aha, ksiądz Amadi dostał przydział. Pod koniec miesiąca wyjeżdża do Niemiec.

To był podwójny cios. Aż się zachwiałam. Jakby ktoś przywiązał mi do łydek worek fasoli. Ciocia chciała porozmawiać z bratem i omal się nie potknęłam, omal nie upadłam, idąc do jego pokoju. Jaja porozmawiał z nią, odłożył słuchawkę i oznajmił:

– Jedziemy do Nsukka. Dzisiaj. Na święta.

Nie spytałam go, co to znaczy ani jak zamierza przekonać Tatę. A on po prostu zapukał do drzwi i wszedł do sypialni.

– Wyjeżdżamy do Nsukka – rzucił. – Kambili i ja.

Nie słyszałam, co Tata odpowiedział, ale zaraz potem Jaja dodał:

– Wyjeżdżamy dzisiaj, nie jutro. Jeśli Kevin nas nie zawiezie, pojedziemy

i tak. Jeśli będzie trzeba, pójdziemy piechotą.

Stałam na szczycie schodów, bardzo trzęsły mi się ręce. Mimo to nie przyszło mi do głowy, żeby zatkać sobie uszy ani żeby policzyć do dwudziestu. Nie. Wróciłam do siebie i usiadłam przy oknie z widokiem na nerkowiec. Wszedł Jaja i powiedział, że Kevin nas odwiezie, że Tato się zgodził. Miał już torbę. Spakował ją tak pośpiesznie, że nie zapiął nawet zamka i stał tam, patrząc bez słowa, jak pakuję moją. Stał i niecierpliwie przestępował z nogi na nogę.

– Tata jeszcze leży? – spytałam, ale on był już na schodach.

Zapukałam do drzwi i weszłam do sypialni. Tata siedział na łóżku w rozchełstanej jedwabnej piżamie. Mama nalewała wody do szklanki.

– Do widzenia, Tato – powiedziałam.

Wstał, żeby mnie objąć. Był pogodniejszy niż z rana, a wysypka zaczęła chyba ustępować.

– Niedługo się zobaczymy – odparł, całując mnie w czoło.

Uścisnęłam Mamę i wyszłam. Schody stały się nagle kruche, jakby w każdej chwili mogły się załamać, jakby powstać w nich mogła wielka dziura, która zatrzymałaby mnie w domu. Szłam powoli, wreszcie zesłam. U stóp schodów czekał Jaja; wziął moją torbę.

Przy samochodzie stał Kevin.

– I kto zawiezie go teraz do kościoła? – spytał, patrząc na nas podejrzliwie. – Zle się czuje, nie może prowadzić.

Jaja nie odpowiadał tak długo, że w końcu zrozumiałam, iż nie odpowie.

– Tata powiedział, że mamy jechać samochodem.

Kevin wzruszył ramionami.

– To daleko, nie możecie poczekać do jutra? – wymamrotał, uruchamiając silnik. Przez całą drogę milczał i widziałam, że często zerka w lusterko. Patrzył na nas, zwłaszcza na brata.

Całe ciało pokrywała mi warstewka potu, niczym przezroczysta druga skóra. Czułam, że wilgoć spływa mi kroplami z karku i czoła, czułam ją pod piersiami. Kuchenne drzwi były szeroko otwarte, chociaż naleciało dużo much, które krążyły nad garnkiem ze starą zupą. Opędzając się od nich, Amaka powiedziała, że nie ma wyboru – albo upał, albo muchy.

Obiorą był tylko w brązowych szortach. Stał pochylony nad kuchenką, próbując podpalić knot. Oczywiście miał czerwone od oparów nafty.

– Prawie się wypalił, jest za cienki – mruknął, gdy mu się wreszcie udało.
– Zresztą teraz powinniśmy gotować tylko na gazie. Nie będzie nam już potrzebny, po co oszczędzać. – Przeciągnął się i na jego wystających żebrach zaśniły krople potu. Wziął starą gazetę, wachlował się nią przez chwilę, a potem zabił kilka much.

– *Nekiua!* Tylko nie tutaj – powiedziała Amaka, wlewając do garnka czerwonawopomarańczowy olej palmowy.

– Po co go bielić? Przez te ostatnie tygodnie powinniśmy używać roślinnego – odparł Obiorą, wciąż tłukąc muchy.

– Mówisz tak, jakby mama dostała już wizę – warknęła Amaka. Postawiła garnek na kuchence. Wijący się płomień liznął jego bok. Wciąż cuchnął naftą i nie był błękitny, tylko jaskrawopomarańczowy, bo knot nie zdążył się dobrze zająć.

– Dostanie. Trzeba myśleć pozytywnie.

– Nie słyszałeś, jak ci z ambasady traktują Nigeryjczyków? Obrażają nas, wyzywają od kłamców i na dodatek nie dają wizy.

– Mamie dadzą. Zaprasza ją uniwersytet.

– No i co z tego? Uniwersytety zapraszają wielu ludzi, którzy mimo to nie dostają wizy.

Zakaszlałam. Kuchnię wypełnił biały, oleisty dym i zrobiło mi się słabo w tej dusznej mieszaninie cuchnących oparów, upału i much.

– Kambili – powiedziała Amaka. – Wyjdź na dwór i zaczekaj, aż się wywietrzy.

– Nie, nie, nic mi nie będzie – odparłam.

– Wyjdź, *biko*.

Wciąż kaszląc, wyszłam na werandę. Było oczywiste, że w domu nigdy nie bieliliśmy oleju palmowego, że do tego nie przywykłam, że zawsze używaliśmy roślinnego, który tego nie wymaga. Ale w oczach Amaki nie dostrzegłam ani urazy, ani szyderstwa, nie zauważyłam też, żeby pogardliwie wykrzywiła usta. Ucieszyłam się, gdy poprosiła mnie później, żebym pokroiła ugu na zupę. Nie tylko je pokroiłam. Zrobiłam też *garri*. Już mi się tak nie przypatrywała, więc wlałam dokładnie tyle wrzątku, ile trzeba – *Garri* było sypkie i gładkie. Nałożyłam je sobie na talerz, odsunęłam na bok i nalałam zupy, patrząc, jak powoli podmywa ryż. Nigdy dotąd tego nie robiłam, bo w domu zawsze używaliśmy oddzielnych talerzy: jeden był na *garri*, drugi na zupę.

Jedliśmy na werandzie, chociaż panował tam prawie taki sam upał jak w kuchni. Metalowa balustrada była gorąca jak uchwyt garnka na kuchence.

– Papa-Nnukwu mówił, że jeśli w porze deszczowej tak mocno praży, nie długo nadciągną ulewy – powiedziała Amaka, gdy usiedliśmy na matach. – Słońce ostrzega nas przed deszczami.

Zjedliśmy szybko, bo było bardzo gorąco, bo nawet zupa smakowała jak pot. Potem poszliśmy na werandę sąsiadów z najwyższego piętra, żeby się trochę ochłodzić.

Stanęliśmy z Amaką przy balustradzie i spojrzaliśmy na dół. Obiorą i Chima przysiedli w kucki, obserwując dzieci, które grały w chińczyka. Ktoś wylał na podłogę wiadro wody i chłopcy położyli się na plecach.

Patrzyłam na ulicę, na czerwonego volkswagena, który nią przejeżdżał. Wjechawszy na „śpiącego policjanta”, głośno zawarczał i nawet z tej odległości dostrzegłam, że jest miejscami wypłowiały, rdzawopomarańczowy. Obserwowałam go z nostalgią, nie wiem dlaczego. Może dlatego, że warczał jak samochód cioci, co przypomniało mi, że już wkrótce nie będę widywała ani jej, ani jej peugeota. Pojechała na policję po zaświadczenie o niekaralności, które musiała mieć, by udowodnić w ambasadzie, że nie została skazana za żadne przestępstwo. Pojechała z moim bratem.

– W Ameryce nie będziemy musieli zakładać w drzwiach żelaznych sztab – powiedziała Amaka, jakby czytając w moich myślach.

– Co?

– Studenci włamali się kiedyś do gabinetu mamy i ukradli testy egzaminacyjne. Mama poszła do administracji i poprosiła, żeby zamontowali kraty w oknach i drzwiach, a oni na to, że nie ma pieniędzy. Wiesz, co wtedy zrobiła?

Amaka spojrzała na mnie z leciutkim uśmiechem w kącikach ust. Pokręciłam głową.

– Poszła na budowę, spytała o metalowe pręty i dostała je za darmo. Razem je zamontowaliśmy, mama, Obiorą i ja. Wywierciliśmy dziury w oknach i drzwiach, i zalaliśmy pręty cementem.

– Aha. – Chciałam dotknąć jej ręki.

– A potem wywiesiliśmy na drzwiach tabliczkę z napisem: „PYTANIA EGZAMINACYJNE SĄ W BANKU”. – Amaka uśmiechnęła się i zaczęła składać i rozkładać gazetę. – W Ameryce nie będę szczęśliwa. To nie to samo co tutaj.

– Będiesz piła świeże mleko z butelki – odparłam.

– Koniec z proszkiem, koniec z puszkami, koniec z domowym sojowym.

Roześmiała się głośnym, serdecznym śmiechem, odsłaniając szczerbę między przednimi zębami.

– Jesteś zabawna.

Nigdy dotąd tego nie mówiła. Postanowiłam przemyśleć to później – to, że ją rozśmieszyłam, że w ogóle potrafiłam.

A potem zaczęło padać, lunęło tak mocno, że nie widać było garaży po drugiej stronie podwórza. Niebo, deszcz i ziemia zlały się ze sobą w srebrzystą kurtynę, która nie miała końca. Uciekliśmy do mieszkania, wystawiliśmy wiadra na werandę, żeby nałapać deszczówki, i patrzyliśmy, jak szybko się wypełniają. Dzieci wybiegły na dwór w samych szortach, wirując w miejscu i tańcząc, bo był to czysty deszcz, taki bez pyłu, więc nie robił, na ubraniu brązowych plam. Ustał tak szybko, jak zaczął padać, i znowu wyszło słońce, łagodne, jakby ziewało po drzemce. Wiadra były pełne; wyłowiliśmy z wody liście i gałązki i wnieśliśmy je do mieszkania.

Gdy ponownie wyszliśmy na werandę, skręcał ku nam samochód księdza Amadiego. Obiorą też go zobaczył i wybuchnął śmiechem.

– Czy tylko mi się zdaje, czy ilekroć jest tu Kambili, ksiądz częściej nas odwiedza? – spytał.

Kiedy ksiądz Amadi wchodził na schodki, wciąż się śmiali, on i Amaka.

– Wiem, wiem. Amaka znowu o mnie plotkuje – powiedział, biorąc Chimę w ramiona. Stał na tle zachodzącego słońca. Było czerwone, jakby się zarumieniło, a on promieniał w jego blasku.

Patrzyłam, jak lgnie do niego Chima, jak wpatrują się w niego Amaka i Obiorą, jak błyszczą im oczy. Amaka pytała go o wyjazd do Niemiec, ale nie słyszałam, co odpowiedział. Nie słuchałam. Kłębiło się we mnie tyle myśli, tyle uczuć, że zaczęło mi burczeć w brzuchu.

– Pomyśl, Amako, czy Kambili tak zawraca mi głowę?

– Patrzył na mnie i wiedziałam, że powiedział to tylko po to, żeby wciągnąć mnie do rozmowy, przykuć moją uwagę.

– Biali misjonarze przywieźli nam swego boga – ciągnęła Amaka. – Boga o ich kolorze skóry, czczonego w ich języku i zapakowanego w ich pudełeczka. Ale skoro teraz jeździmy z tym bogiem do nich, czy nie powinniśmy go przynajmniej przepakować?

Ksiądz Amadi uśmiechnął się złośliwie i odparł:

– Jeździmy głównie do Europy i Ameryki, tam gdzie jest coraz mniej księ-

ży, dlatego cóż, niestety, pacyfikowanie tubylczych kultur już mi nie grozi.

– Niech ksiądz nie żartuje! – rzuciła ze śmiechem Amaka.

– Zgoda, ale pod warunkiem, że weźmiesz przykład z Kambili i przestaniesz mnie zadreć.

Zadzwoił telefon. Amaka skrzywiła się i weszła do mieszkania.

Wtedy usiadł obok mnie.

– Chyba się czymś martwisz – powiedział. I zanim zdążyłam pomyśleć nad odpowiedzią, klepnął mnie w łydkę. Otworzył dłoń i pokazał mi komara rozgniecione na krwawą miazgę; złożył dłoń w miseczkę, żeby mniej mnie bolało. – Był taki szczęśliwy, pijąc twoją krew – rzucił, patrząc mi w oczy.

– Dziękuję – szepnęłam.

Wytarł mi łydkę. Miał takie ciepłe, takie żywe palce. Nie zdawałam sobie sprawy, że Obiorą i Chima odeszli; na werandzie było teraz tak cicho, że słyszałam szelest kropli deszczu spływających z liści.

– Powiedz, o czym myślisz.

– Nieważne.

– Twoje myśli zawsze są dla mnie ważne.

Wstałam i weszłam do ogródka. Zerwałam kilka kwiatów allemandy i nadziałam je sobie na palce, tak jak Obiorą. Byłam teraz w pachnącej rękawiczce.

– Myślałam o moim ojcu. Nie wiem, co będzie, kiedy wrócimy do domu.

– Dzwonił?

– Tak. Jaja nie chciał podejść do telefonu. Ja też nie podeszłam.

– Ale chciałaś? – spytał łagodnie. Nie takiego pytania się spodziewałam.

– Tak – szepnęłam, żeby Jaja nie słyszał, chociaż był przecież z ciocią. Tak, chciałam porozmawiać z Tatą, chciałam usłyszeć jego głos, powiedzieć mu, co jadłam, o co się modliłam, żeby mnie pochwalił, żeby uśmiechnął się tym promiennym uśmiechem, od którego dostawał kurzych łapek w kącikach oczu. Chciałam i nie chciałam zarazem, wolałabym wyjechać z księdzem Amadim albo z ciocią i już nigdy nie wrócić. – Za dwa tygodnie zaczyna się szkoła i do tego czasu cioci może już nie być. Nie wiem, co wtedy zrobimy. Jaja nie rozmawia ze mną ani o jutrze, ani o tym, co będzie za tydzień.

Podszedł do mnie i stanął tak blisko, że gdybym wypięła brzuch, dotknęłabym jego ciała. Wziął mnie za rękę, ostrożnie zsunął kwiat z palca i nadział go na swój.

– Ciocia uważa, że powinniście pójść do szkoły z internatem. W przy-

szłym tygodniu jadę do Enugu, żeby porozmawiać z księdzem Benedyktem; wiem, że wasz ojciec go słucha. Poproszę, żeby go przekonał, byście mogli zacząć już od tego semestru. Wszystko będzie dobrze, *inugo*?

Kiwnęłam głową i odwróciłam wzrok. Wierzyłam, że będzie, bo tak powiedział. Przypomniały mi się lekcje katechizmu, na których kazano nam recytować: „Ponieważ On tak powiedział, a On mówi prawdę”. Była to odpowiedź na jakieś pytanie, ale nie pamiętałam na jakie.

– Spójrz na mnie, Kambili.

Bałam się spojrzeć w ciepły brąz jego oczu, bałam się, że zemdleję, że zarzucę mu ręce na szyję, splotę palce i już nie puszczę. Odwróciłam się.

– Czy można je ssać? Mają słodki sok? – Zsunął kwiat z palca i przyjrzał się jego żółtym płatkom.

Uśmiechnęłam się.

– Nie. Ssie się ixorę.

Rzucił kwiat na ziemię i się skrzywił.

– Aha.

Roześmiałam się. Roześmiałam się, bo kwiaty allemandy były takie żółte. Roześmiałam się, bo wyobraziłam sobie, jak gorzko smakowałyby ich sok, gdyby ksiądz Amadi go spróbował. Roześmiałam się, bo jego oczy były tak brązowe, że widziałam w nich moje odbicie.

Tego wieczoru, kąpiąc się w połowie wiadra deszczówki, nie umyłam lewej ręki, tej, którą łagodnie przytrzymał, żeby włożyć mi kwiat na palec. Nie podgrzałam też wody, bojąc się, że grzałka pozbawi ją zapachu nieba. Kąpałam się i śpiewałam. W wannie były dżdżownice, ale dałam im spokój, patrząc, jak woda porywa je i unosi do otworu ściekowego.

Wiatr, który nadciągnął po deszczu, był tak chłodny, że ciocia Ifeoma włożyła bluzkę z długimi rękawami, chociaż zwykle chodziła po domu tylko w zawijce. Rozmawialiśmy na werandzie, gdy pod ścianą zaparkował samochód księdza Amadiego.

– Miał być ksiądz bardzo zajęty – zagadnął go Obiorą.

– Kościół mnie żywi i mówię tak, żeby to jakoś usprawiedliwić – odparł ksiądz Amadi. Robił wrażenie zmęczonego. Podał Amace kartkę papieru z, jak to określił, kilkoma stosownie oklepanymi imionami, poprosił ją, żeby któreś wybrała, bo musi zaraz jechać, i dodał, że po bierzmowaniu już nigdy

w życiu nie będzie musiała go używać. Tłumaczył jej to wszystko mozolnie i z udręką, przewracając oczami, ale chociaż Amaka śmiała się i chichotała, nie wyciągnęła ręki po kartkę.

– Już księdzu mówiłam, nie chcę angielskiego imienia.

– A czy pytałem cię już dlaczego?

– Dlaczego muszę?

– Bo tak się po prostu robi. Zapomnijmy na chwilę, czy to dobrze, czy źle – odrzekł ksiądz Amadi i zauważyłam, że ma podkrążone oczy.

– Pierwsi misjonarze uznali, że nasze rodzime imiona są niedobre i na chrzcie kazali nam przyjmować angielskie. Nie uważa ksiądz, że powinniśmy iść z postępem?

– Dzisiaj jest inaczej, Amako, nie mówmy o czymś, czego już nie ma – odparł spokojnie ksiądz. – Nikt nie musi go używać. Ot, choćby ja. Zawsze używam imienia igbo, chociaż na chrzcie dano mi Michael, a na bierzmowaniu Victor.

Ciocia Ifeoma spojrzała na nich znad jakichś dokumentów.

– Amaka, *ngwa*, wybierz wreszcie imię i nie zatrzymuj księdza.

– W takim razie jaki w tym sens? – spytała Amaka, jakby jej nie usłyszała.
– Kościół daje nam do zrozumienia, że bierzmowanie będzie ważne tylko wtedy, kiedy przyjmimy imię angielskie. Chiamaka znaczy: „Bóg jest piękny”, Chima: „Bóg wie najlepiej”, Chiebuka: „Bóg jest najwspanialszy”. Czy nie wychwalają Boga tak samo jak imiona Paweł, Piotr czy Szymon?

Ciocia zaczynała się denerwować; poznałam to po jej podniesionym, warliwym głosie.

– *O gini!* Nie musisz udowadniać, że to bezsensowne. Po prostu wybierz imię i idź na bierzmowanie. Nikt nie każe ci go używać!

Ale Amaka odmówiła.

– *Ekwerom* – odparła. Nie zgadzam się. A potem poszła do swego pokoju i puściła muzykę tak głośno, że ciocia musiała zastukać w drzwi i krzyknąć, że jeśli zaraz nie będzie ciszej, to da jej klapsa. Muzyka ucichła. Ksiądz Amadi wyszedł z zakłopotanym uśmiechem na twarzy.

Do wieczora złość minęła, ale chociaż zjedliśmy kolację razem, śmiechu było mniej niż zwykle. A nazajutrz, w niedzielę wielkanocną, Amaka nie dołączyła do grupy ubranych na biało chłopców i dziewcząt ze świecami i złożonymi gazetami na topiący się воск. Do ubrań wszyscy mieli przypiętą karteczkę z imieniem. Paweł. Maria. Jakub. Weronika. Niektóre dziewczęta wy-

glądały jak panny młode i przypomniało mi się moje bierzmowanie, to, że Tata powiedział wtedy, iż jestem oblubienicą Chrystusa, co bardzo mnie zdziwiło, bo zawsze myślałam, że Jego oblubienicą jest Kościół.

Ciocia chciała pojechać na pielgrzymkę do Aokpe. Nie bardzo wiedziała, dlaczego tak nagle zmieniła zdanie; pewnie doszła do wniosku, że długo może jej nie być. Ale Jaja oświadczył, że nie pojedzie, a potem przestał się do nas odzywać, jakby chciał, żebyśmy spytali go dlaczego. Obiórą powiedział, że też zostanie, z Chimą. Ciocia nie zaprotestowała. Uśmiechnęła się i odrzekła, że ponieważ nie mamy żadnego mężczyzny, spyta księdza Amadiego, czy nie zechce nam towarzyszyć.

– Zmienię się w nietoperza, jeśli się zgodzi – prychnęła Amaka.

Ale on się zgodził.

– Robi to dla Kambili – stwierdziła, gdy ciocia odłożyła słuchawkę i gdy okazało się, że ksiądz jednak pojedzie. – Gdyby nie ona, nigdzie by się nie ruszył.

Ciocia zawiozła nas do zakurzonej wioski dwie godziny jazdy od Nsukka. Siedziałam z tyłu z księdzem Amadim; dzielił nas tylko kawałeczek wolnej przestrzeni między fotelami. Amaka śpiewała z nim podczas jazdy; samochód kołysał się na boki na krętej drodze i wyobrażałam sobie, że tańczy. Czasem śpiewałam z nimi, czasem milczałam i tylko słuchałam, zastanawiając się, jak by to było, gdybym przysunęła się bliżej, gdybym zmniejszyła dzielącą nas odległość i oparła mu głowę na ramieniu.

Gdy w końcu skręciliśmy w pełną drogę – za tabliczką z odręcznie wymalowanym napisem WITAJCIE W AOKPE. TU OBJAWIA SIĘ NAJŚWIĘTZA PANIENKA – najpierw zobaczyliśmy chaos. Setki samochodów – wiele z nich z nabazgranym napisem KATOLICY NA PIELGRZYMCE – próbowało wjechać do maleńkiej wioski, której mieszkańcy, według cioci Ifeomy, widywali najwyżej dziesięć samochodów rocznie, dopóki jednej z miejscowych dziewcząt nie zaczęła ukazywać się Piękna Pani. Panował tak wielki ścisk, że zapach innych szybko stawał się równie znajomy jak własny. Kobiety padały na kolana. Mężczyźni wrzaskliwym głosem odmawiali modlitwy. Grzechotały różańce. Ludzie pokazywali palcem i krzyczeli:

– Spójrzcie! Tam, na drzewie! To Najświętsza Panienska!

Inni wskazywali prażące słońce.

– Tam jest!

Staliśmy pod olbrzymim drzewem ognistym. Właśnie kwitło i na rozłożystych gałęziach roiło się od kwiatów, których ognistoczerwone płatki zaścielały ziemię. Gdy wyprowadzono młodą dziewczynę, drzewo zakołysało się i spadło ich jeszcze więcej, prawdziwy deszcz. Dziewczyna była drobna i poważna, ubrana na biało, i gdyby nie otaczali jej krzepko zbudowani mężczyźni, ludzie pewnie by ją stratowali. Ledwie nas minęła, gdy pobliskie drzewa zaczęły przerażająco drzeć, drzeć tak gwałtownie, jakby ktoś nimi potrząsał. Taśma, którą oddzielono miejsce nawiedzeń, też się zatrzęsała. A przecież nie było wiatru. Słońce zrobiło się białe, nabrało koloru i kształtu hostii. I wtedy Ją zobaczyłam, zobaczyłam Najświętszą Panienkę: na tle bladego słońca, w czerwonej poświacie na wierzchu mojej dłoni, w uśmiechu na twarzy owiniętego różańcami mężczyzny tuż obok mnie. Była wszędzie.

Chciałam zostać dłużej, ale ciocia powiedziała, że musimy iść, bo jak ludzie zaczną wyjeżdżać, nigdy się stamtąd nie wydostaniemy. W drodze do samochodu kupiła od handlarzy kilka różańców, szkaplerzy i buteleczek święconej wody.

– Nieważne, czy objawiła się, czy nie – powiedziała Amaka, gdy dotarliśmy na miejsce. – Ta wioska zawsze będzie wyjątkowa, bo gdyby nie ona, Kambili i Jaja nie przyjechałoby do Nsukka.

– Czy to znaczy, że nie wierzysz w prawdziwość tych nawiedzeń? – spytał ksiądz Amadi z kpiącą nutką w głosie.

– Nie, tego nie powiedziałam – odparła. – A ksiądz? Ksiądz wierzy?

Ale ksiądz Amadi milczał; zdawało się, że całą jego uwagę pochłania opuszczanie szyby w oknie; chciał pewnie wypędzić muchę, która brzęczała w samochodzie.

– Czułam, że Ona tam jest. Czułam to – wypaliłam. Jak można było w to nie wierzyć po tym, co widzieliśmy? A może oni nic nie widzieli i nie czuli? Ksiądz popatrzył na mnie; zerknęłam na niego kątem oka. Na twarzy miał łagodny uśmiech. Ciocia Ifeoma też na mnie popatrzyła, a potem spojrzała w przednią szybę.

– Kambili ma rację – powiedziała. – Czuć tam było rękę Boga.

Ksiądz Amadi chciał pożegnać się z rodzinami z kampusu, więc z nim pojechałam. Dzieci wykładowców tuliły się do niego, jakby myślały, że im mocniej będą go obejmować, tym większa szansa na to, że nie uwolni się i nie wyjedzie z Nsukka. Mało rozmawialiśmy. Za to śpiewaliśmy razem

z chórem z kasy. Gdy wsiedliśmy do samochodu, jedna z tych pieśni – *Abum onye riuwa, onye ka m bu riuwa* – złągodziła suchość w moim gardle na tyle, że wykrztusiłam:

– Kocham cię.

Spojrzał na mnie z wyrazem twarzy, jakiego nigdy dotąd u niego nie widziałam, z niemal smutnymi oczami. Nachylił się nad dźwignią zmiany biegów i przytknął twarz do mojej twarzy. Pragnęłam, żeby nasze usta zetknęły się i tak zostały, ale on się odsunął.

– Masz prawie szesnaście lat, Kambili – powiedział.

– Jesteś piękna. Znajdziesz tyle miłości, że wystarczy ci na dwa życia. – Nie wiedziałam, czy śmiać się, czy płakać. Mylił się. Tak bardzo się mylił.

W drodze do domu patrzyłam przez okno na domy. Wielkie dziury w żywopłotach zarosły, bo zielone gałązki krzyżowały się ze sobą, wychodząc na spotkanie sąsiadkom. Żałowałam, że nie widać było podwórek, sznurów na bieliznę, drzew owocowych i huśtawek, że nie mogę powyobrazić sobie mieszkających tam ludzi. Żałowałam, że nie mogę pomyśleć o czymś, o byle czym, żeby tylko przestać cokolwiek odczuwać. Żeby nie musiała rozpędzać łez mruganiem.

Gdy wróciliśmy, ciocia spytała mnie, czy dobrze się czuję, czy coś się stało.

– Nie, wszystko w porządku – odparłam.

Popatrzyła na mnie, jakby wiedziała, że kłamię.

– Na pewno, *nne*?

– Tak, ciociu.

– Rozchmurz się, *inugoi* I pomódl się, żeby dali mi wizę. Jutro jadę do Lagos.

– Ach tak... – Nagle zalała mnie fala odrętwiającego smutku. – Pomodłę się, ciociu. – Jednakże wiedziałam, że tego nie zrobię, że nie mogę się modlić o jej wizę. Wiedziałam, że ciocia bardzo chce ją dostać, że nie ma zbyt wielu innych możliwości. Zbyt wielu, a raczej żadnych. Mimo to nie mogłam. Nie mogłam modlić się o coś, czego nie chciałam.

Amaka leżała na łóżku i słuchała muzyki z magnetofonem przy uchu. Usiadłam obok niej z nadzieją, że nie spyta mnie, jak minął dzień, jak było z księdzem Amadim. Milczała, kiwając głową w rytm muzyki.

– Ty śpiewasz – stwierdziła po chwili.

– Co?

– Śpiewasz z Felą.

– Tak? – Byłam przekonana, że tylko się jej zdawało.

– I jak ja zdobędę jego kasety w Ameryce? No jak?

Chciałam jej powiedzieć, że na pewno można je tam kupić, te i wszystkie inne, ale nie powiedziałam. Oznaczałoby to, że zakładałam, iż ciocia Ifeoma dostanie wizę. Poza tym nie byłam pewna, czy Amaka chce to usłyszeć.

Miałam kłopoty żołądkowe, dopóki ciocia nie wróciła z Lagos. Czekaliśmy na werandzie, chociaż był prąd i mogliśmy oglądać telewizję w saloniku. Nawet owady dały nam spokój, może dlatego że nie zapaliliśmy lampy naftowej, a może wyczuły, że atmosfera jest napięta. Tak czy inaczej, krążyły wokół żarówki nad drzwiami i zaskoczone robiły głucho „pyk!”, ilekroć na nią wpadały. Amaka przyniosła wentylator i jego furkot zlał się melodyjnie z pomrukiem lodówki. Gdy ciocia Ifeoma zaparkowała przed domem, Obiorą zerwał się na równe nogi i wybiegł jej na spotkanie.

– No i jak? Dostałaś?

– Dostałam – odparła ciocia, wchodząc na werandę.

– Jest wiza! – wrzasnął Obiorą i Chima zawtórował mu, podbiegając do mamy, żeby ją objąć. My nie wstaliśmy, Amaka, Jaja i ja. Pozdrowiliśmy ją tylko i odprowadziliśmy wzrokiem do drzwi, bo od razu poszła się przebrać. Wróciła w luźno zawiązanej sukience do kolan, która kobiecie przeciętnego wzrostu sięgałaby pewnie do kostek. Usiadła i poprosiła Obiorę o szklankę wody.

– Nie cieszysz się, ciociu – skostatował Jaja.

– Och, *нна m*, ależ cieszę się, cieszę. Wiesz, ilu ludziom odmówili? Kobieta, która stała przede mną, płakała tak bardzo, że omal nie rozkrwawiła sobie policzków. „Jak możecie mi odmówić? – pytała urzędnika. – Przecież udowodniłam wam, że mam pieniądze w banku. Jak możecie twierdzić, że mogę nie wrócić? Mam tu dom, mam własny dom!” Chciała pojechać na ślub siostry.

– Dlaczego jej odmówili? – spytał Obiorą.

– Nie wiem. Jeśli są w dobrym humorze, mówią proszę bardzo, jeśli są w złym, mówią nie. Tak to jest, kiedy mają cię za nic. Jesteśmy jak piłka, którą kopią, gdzie im się spodoba.

– Kiedy wyjeżdżamy? – spytała zmęczonym głosem Amaka i od razu wyczułam, że zupełnie nie obchodzi jej kobieta, która omal nie rozkrwawiła sobie policzków, ani to, że Nigeryjczyków kopie się jak piłkę.

Ciocia wypiła wodę do dna.

– W ciągu dwóch tygodni musimy zwolnić mieszkanie – odrzekła. – Jeżeli tego nie zrobimy, przyjadą tajniacy i wyrzucą moje rzeczy na ulicę. A oni tylko na to czekają, tylko na to czekają...

– To znaczy, że za dwa tygodnie wyjeżdżamy? – spytała piskliwym głosem Amaka.

– Myślisz, że co, że jestem czarodziejką? – odparła ciocia bez humoru; w jej głosie słychać było jedynie znużenie. – Najpierw muszę zdobyć pieniądze na bilety. A bilety nie są tanie. Będę musiała poprosić o pomoc wujka Eugenea, więc może w przyszłym tygodniu pojedziemy razem do Egnu. Zostaniemy tam do wyjazdu i przy okazji porozmawiam z nim o szkole dla Kambili i Jaja. – Popatrzyła na nas i dodała: – Zrobię wszystko, żeby go przekonać. Poza tym ksiądz Amadi obiecał porozmawiać z księdzem Benedyktem. Moim zdaniem najlepiej by było, gdybyście wyjechali i poszli do szkoły z internatem.

Kiwnęłam głową. Jaja wstał i wszedł do mieszkania. Niczym ciężka, głucha cisza, w powietrzu zawisło coś nieodwołalnego.

Niepostrzeżenie nadszedł ostatni dzień pobytu księdza Amadiego w Nsukka. A on pachniał w tym dniu tym męskim zapachem wody kolońskiej, który czułam nawet wtedy, gdy go nie było, uśmiechał się tym chłopięcym uśmiechem i miał na sobie tę samą sutannę.

– Z serca Czarnej Afryki nadciągają misjonarze, którzy nawrócą Zachód na religię przodków – powiedział Obiorą.

Ksiądz wybuchnął śmiechem.

– Obiorą, ten, kto pożyczyci te heretyckie książki, powinien natychmiast przestać.

I śmiał się tak samo. W ogóle się nie zmienił, tymczasem moje kruche życie miało wkrótce rozpaść się na kawałki. Nagle ogarnął mnie gniew, zatkał mi gardło i zacisnął nozdrza. Był obcy i odświeżający. Podsycalam go, wodząc wzrokiem po linii ust i nosa księdza Amadiego. Porozmawiał chwilę z ciocią Ifeomą i moimi kuzynami, i wreszcie poprosił, żebym odprowadziła go do samochodu.

– Rada kościelna zaprosiła mnie na specjalny obiad, ale muszę posprzątać w gabinecie i chciałbym, żebyś trochę ze mną pobyła – powiedział.

– Nie – odparłam.

Aż przystanął.

– Dlaczego?

– Nie. Nie chcę.

Stałam tyłem do samochodu. Podszedł bliżej.

– Kambili...

Chciałam poprosić go, żeby wypowiedział moje imię inaczej, bo nie miał już prawa wypowiadać go tak jak dawniej. Przecież wszystko powinno się zmienić i już się zmieniło. Przecież wyjeżdżał. Oddychałam tylko przez usta.

– Ten nasz pierwszy wyjazd na stadion, czy to ciocia prosiła, żeby ksiądz mnie zabrał?

– Martwiła się o ciebie, bo nie rozmawiałaś nawet z dziećmi sąsiadów. Ale nie, o nic mnie nie prosiła. – Poprawił mi rękaw bluzki. – Chciałem cię zabrać. A potem chciałem, żebyś była ze mną codziennie.

Nachyliłam się i zerwałam źdźbło trawy, cienkie jak igła.

– Spójrz na mnie, Kambili.

Ale ja nie spojrzałam. Patrzyłam na źdźbło, jakby zawierało jakiś kod, który mogłabym złamać uważnym patrzeniem i który wyjaśniłby mi, dlaczego żałowałam, że ksiądz nie powiedział, iż nie chciał zabrać mnie wtedy na stadion, bo gdyby tak powiedział, miałabym powód do jeszcze większego gniewu i nie chciałoby mi się płakać.

Wsiadł do samochodu i uruchomił silnik.

– Zobaczmy się wieczorem – rzucił. – Wpadnę.

Patrzyłam za nim, dopóki toyota nie zniknęła u stóp pagórka przed skrzyżowaniem z Ikejiani Avenue. Wtedy przyszła Amaka. Położyła mi lekko rękę na ramieniu.

– Obiorą mówi, że musicie uprawiać seks albo coś w tym stylu. Nigdy do-
tąd nie widzieliśmy, żeby miał takie rozpromienione oczy. – I się roześmiała.

Nie wiedziałam, czy mówi poważnie, czy żartuje. Dziwnie się czułam, rozmawiając o seksie z księdzem Amadim, i wolałam o tym nie myśleć.

– Może kiedy zdamy na uniwersytet, zorganizujemy razem kampanię na rzecz zniesienia celibatu? Albo żeby na przykład raz na jakiś czas stosunki cielesne były dozwolone dla wszystkich duchownych, co? Powiedzmy, raz na miesiąc.

– Przestań, proszę. – Ruszyłam w stronę werandy.

– Chciałabyś, żeby zrzucił sutannę? – Amaka trochę spoważniała.

– On tego nie zrobi.

Amaka przekrzywiła w zamyśleniu głowę i się uśmiechnęła.

– Nigdy nie wiadomo – odparła i weszła do saloniku.

Zapisałam jego niemiecki adres w zeszycie. Gdy wrócił, wciąż go przepisywałam, wypróbowując różne charaktery pisma. Wyjął mi zeszyt z ręki i go zamknął. Chciałam powiedzieć: „Będę tęskniła”, ale zamiast tego powiedziałam:

– Napiszę.

– Ja napiszę pierwszy – odparł.

Nie wiedziałam, że płaczę, dopóki nie pogłaskał mnie po twarzy i nie wytarł mi łez. Potem mnie objął i przytulił.

*

Ciocia wydała obiad na jego cześć; ugotowała ryż i fasolę. Siedząc przy stole w saloniku, dużo się śmialiśmy, rozmawialiśmy o stadionie i wspominaliśmy, ale mnie jakby to nie dotyczyło. Zamykałam się. Jedną po drugiej zamykałam cząsteczki mojej duszy, wiedząc, że po jego wyjeździe nie będą mi już potrzebne. Tej nocy źle spałam; rzucałam się przez sen tak gwałtownie, że obudziłam Amakę. Chciałam jej opowiedzieć, co mi się śniło, opisać mężczyznę, który ścigał mnie kamienistą ścieżką zasypaną sinymi liśćmi allemandy: najpierw był księdzem Amadim i frunęła za nim sutanna, a potem Tata w długim do ziemi szarym worku, tym, który wkładał do kościoła w środę popielcową. Ale nic jej nie powiedziałam, a ona tuliła mnie i kołysała jak małe dziecko, dopóki nie zasnęłam. Ucieszyłam się, gdy rano otworzyłam oczy, gdy zobaczyłam, jak migotliwymi smugami koloru dojrzałej pomarańczy przez okno wpada światło dnia.

Pakowanie dobiegło końca; półki zniknęły i korytarz był teraz dziwnie duży. Na podłodze w pokoju cioci zostało tylko kilka rzeczy, które miały przydać się nam przed wyjazdem do Enugu: duży worek ryżu, puszka mleka i puszka bournvity. Pozostałe kartony i pudła zostały opróżnione albo rozdane. Niektóre ubrania ciocia rozdała sąsiadkom i ta z góry powiedziała: „*Mh*, a ta niebieska sukienka, w której chodzisz do kościoła? Przecież w Ameryce ci się nie przyda”.

Ciocia zmrużyła oczy ze zdenerwowania. Nie wiedziałam, czy zdenerwowała się dlatego, że sąsiadka wspomniała o sukience, czy dlatego, że wspo-

mniała o Ameryce. Ale sukienki jej nie dała.

Zapanował dziwny niepokój, jakbyśmy spakowali wszystko za szybko i za dokładnie i szukali teraz czegoś do roboty.

– Mamy benzynę, jedźmy na przejażdżkę – zaproponowała ciocia.

– Na pożegnalną przejażdżkę po Nsukka – mruknęła z krzywym uśmiechem Amaka.

Wsiedliśmy do samochodu. Na skręcie w ulicę, tę, przy której mieścił się wydział inżynieryjny, peugeot mocno zarzucił i omal nie wpadliśmy do rowu, a gdybyśmy wpadli, ciocia nie sprzedałaby go temu komuś z miasta, kto zaproponował jej dobrą cenę; mówiła, że pieniądze za samochód wystarczą tylko na bilet dla Chimy, bo Chima miał pięćdziesiąt procent zniżki.

Od tego ostatniego snu cały czas miałam wrażenie, że stanie się coś ważnego. Że ksiądz Amadi wróci; tak, to musiało być to. Że może ktoś pomylił daty i wyjazd się opóźni. Jadąc, szukałam go wzrokiem na ulicy, wypatrywałam jego małej pastelowej toyoty.

Przystanęliśmy u stóp wzgórza Odim.

– Wejźmy tam – rzuciła nagle ciocia.

Byłam zaskoczona. Nie wiedziałam, czy zaplanowała to sobie, ale chyba nie, chyba powiedziała tak pod wpływem jakiegoś impulsu. Obiorą zaproponował, żebyśmy urządzili piknik na wzgórzu, a ona odrzekła, że to dobry pomysł. Pojechaliśmy do miasta, wstąpiliśmy do Eastern Shopu, kupiliśmy *moi-moi* i ribenę w butelkach i wróciliśmy. Wspinaczka była łatwa, ponieważ ścieżki zygzakowały po całym zboczach. Powietrze pachniało świeżością, a z wysokiej trawy na poboczu co jakiś czas dobiegało sykliwe cykanie.

– To świerszcze – powiedział Obiorą. – Robią tak skrzydełkami. – Przystanął przed ogromną termitierą z czerwonej gliny, poprzecinaną bruzdami, tak jakby ktoś celowo ułożył je w przemysłny wzór. – Amaka, powinnaś to namalować – rzucił.

Ale zamiast mu odpowiedzieć, Amaka puściła się pędem w górę zbocza. Chima ruszył za nią. Jaja też. Ciocia spojrzała na mnie.

– Na co czekasz? – spytała. Podwinęła spódnicę prawie nad kolana i pobiegła za nimi.

Ja też pobiegłam, słysząc szum wiatru w uszach. Pobiegłam i znowu przypomniał mi się ksiądz Amadi, to, jak patrzył na moje gołe nogi. Wyprzedziłam ciocię, wyprzedziłam brata i Chimę, dotarłam na szczyt prawie jednocześnie z Amaką.

– Hej! – wysapała. – Powinnaś zostać sprinterką.

– I ciężko dysząc, padła na trawę. Usiadłam obok niej i straciłam palcem małego pająka z nogi.

Ciocia prawie zaraz zwolniła i doszła na szczyt spacerkiem.

– *Nne* – powiedziała. – Znajdę ci trenera, sport to duże pieniądze.

Roześmiałam się. Tak łatwo się teraz śmiałam. Tyle rzeczy przychodziło mi teraz bez trudu. Jaja też się roześmiał, i Amaka, więc śmialiśmy się, siedząc na trawie i czekając na Obiorę. A on szedł powoli i miał coś w ręku.

– Konik polny – powiedział. – Czuję napór jego skrzydełek. – Otworzył dłoń i konik odfrunął.

Weszliśmy do rozpadającego się budynku na przeciwległym zboczu. Kiedyś był tu chyba jakiś magazyn, ale przed laty, pewnie podczas wojny domowej, zburzono dach, wyrwano drzwi i nikt już tego nie naprawił. Budynek wyglądał upiornie i nie chciałam tam jeść, chociaż Obiorą twierdził, że ludzie często tu przychodzą, rozkładają maty na spalonej podłodze i jedzą. Oglądał napisy na ścianach i odczytywał niektóre na głos.

– „Obinna będzie kochał Nnennę aż po grób”. „Emeka i Unoma robili to tutaj”. „Chimsindi plus Obi równa się miłość”.

Ulżyło mi, gdy ciocia zdecydowała, że pójdziemy na trawę, bo nie mamy maty. Jedząc *moi-moi* i pijąc ribenę, obserwowałam mały samochód, który objeżdżał wzgórze. Wyteżałam wzrok, żeby sprawdzić, kto to, chociaż samochód był daleko. Głowa kierowcy przypominała głowę księdza Amadiego. Szybko zjadłam, wytarłam usta wierzchem dłoni i przygładziłam włosy. Chciałam wyglądać porządnie, dla niego.

Chima chciał zbiec przeciwległym zboczem, ale ciocia uznała, że jest za strome. Wtedy usiadł i zaczął zjeżdżać w dół na pupie.

– Szorty wypierzesz własnymi rękami, słyszysz?! – zawołała ciocia.

Przedtem by go zrugala i Chima pewnie by zawrócił. Ale teraz siedzieliśmy i z łzawiącymi od orzeźwiającego wiatru oczami patrzyliśmy, jak zjeżdża po ziemi aż do stóp zbocza.

Gdy ciocia dała rozkaz do powrotu, słońce było już czerwone i chyliło się ku zachodowi. Schodząc na dół, straciłam nadzieję, że spotkam tam księdza.

*

Telefon zadzwonił, gdy graliśmy w karty w saloniku.

– Odbierz, Amako – powiedziała ciocia, chociaż siedziała najbliżej drzwi.
– Mamo, to na pewno do ciebie – odparła Amaka, przyglądając się kartom.
– Ktoś chce, żebyś podarowała mu talerze i garnki, a nawet bieliznę, którą mamy na sobie.

Ciocia roześmiała się, wstała i wyszła do sypialni. Telewizor był wyłączony, bo pochłaniała nas gra, dlatego wyraźnie słyszałam jej przeraźliwy krzyk. Krótki, zdławiony krzyk. Zaczęłam modlić się, żeby amerykańska ambasada odebrała jej wizę, ale zaraz skarciłam się w duchu i poprosiłam Boga, żeby puścił tę modlitwę mimo uszu. Wpadliśmy do sypialni.

– *Hei, Chi m o! Nwunye m! Hei!* – Ciocia stała przy stoliku z ręką na głowie, jak ktoś pod wpływem silnego szoku. Mama! Co się stało? Ciocia chciała oddać słuchawkę bratu, ale ja byłam bliżej. Ręce trzęsły mi się tak bardzo, że nie mogłam przytknąć jej do ucha.

Usłyszałam cichy głos Mamy i drzenie rąk momentalnie ustało.

– Kambili, wasz ojciec nie żyje. Dzwonili z fabryki. Znalezione go martwego przy biurku.

Przycisnęłam słuchawkę jeszcze mocniej.

– Co?!

– Wasz ojciec nie żyje. Dzwonili z fabryki. Znalezione go martwego przy biurku. – Mówiła jak automat. Wyobraziłam sobie, jak tym samym tonem powtarza to mojemu bratu. Uszy wypełniły mi się wodą. Chociaż dobrze ją słyszałam, chociaż słyszałam, że znalezione go martwego w gabinecie, spytałam:

– Dostał przesyłkę z bombą? Czy to była przesyłka?

Jaja wyrwał mi słuchawkę. Ciocia zaprowadziła mnie do łóżka. Usiadłam, wbiłam wzrok w worek ryżu przy ścianie i już wiedziałam, że nie zapomnę go do końca życia, że na zawsze zapamiętam ten brązowy jutowy wór z napisem ADADA DŁUGOZIARNISTY i to, że tak bezwładnie opierał się o ścianę przy stoliku. Tata nie żył. Nigdy o tym nie myślałam, nigdy tego nie rozważałam, nie przypuszczałam nawet, że może umrzeć. Przecież Ade Coker i inni, których zabito, to nie to samo. Tata był nieśmiertelny.

Siedziałam z bratem w salonie, patrząc na puste miejsce, gdzie kiedyś stała etażerka z figurynkami tańczących baletnic. Mama była na górze, pakowała rzeczy Taty. Poszłam jej pomóc i zobaczyłam, jak klęczy na dywanie z jego czerwoną piżamą przy twarzy. Nawet nie podniosła głowy i stłumionym

przez jedwab głosem powiedziała tylko:

– Idź, *nne*. Idź do brata.

Lał deszcz, tak skośnie, siekąc z furią zamknięte okna. Posypią się nerkowce i mango, a potem zaczną gnić na mokrej ziemi, wydzielając słodko-kwaśny zapach.

Brama była zamknięta. Mama kazała ją zamknąć przed tłumem ludzi, którzy chcieli przyjść na *mgbalu* i złożyć nam kondolencje. Nie wpuściła nawet członków naszej *umunna* z Abba. Adamu, odźwierny, powiedział, że to niesłychane, żeby nie wpuścić do domu żałobników. Ale Mama wolała opłakiwać Tatę sama i uważała, że mogą pójść do kościoła i dać na mszę za jego duszę. Nigdy dotąd nie słyszałam, żeby rozmawiała tak z Adamu; nie słyszałam, żeby w ogóle z nim rozmawiała.

– Madame powiedziała, żebyście wypili trochę bournvity. – Do salonu weszła Sisi. Na tacy niosła filiżanki, te same, z których Tata pił herbatę. Pachniała tymiankiem i curry. Pachniała tak nawet po kąpieli. W domu tylko ona płakała, a właściwie głośno szlochała, ale szybko przestała, bo my, wciąż zaszokowani, cały czas głucho milczeliśmy.

Gdy wyszła, spojrzałam na brata i spróbowałam porozmawiać z nim wzrokiem. Ale on miał puste oczy; były jak okno z zamkniętymi okiennicami.

– Nie będziesz pił? – spytałam w końcu.

Pokręcił głową.

– Nie z tych filiżanek. – Poprawił się na krześle i dodał: – Powinienem był zadbać o Mamę. Obiorą ma na głowie całą rodzinę, a ja jestem starszy od niego. Powinienem był o nią zadbać.

– Bóg wie najlepiej – odparłam. – Niezbadane są Jego ścieżki. – I pomyślałam, że Tato byłby dumny, że to powiedziałam, że by mnie pochwalił.

Ale Jaja się roześmiał. Brzmiało to jak seria zduszonych prychnięć.

– Jasne! Spójrz tylko, co zrobił swemu wiernemu słudze Hiobowi, a nawet własnemu Synowi. Zastanawiałaś się kiedyś dlaczego? Dlaczego musiał zamordować Syna, żeby nas zbawić? Dlaczego po prostu nas nie zbawił?

Zdjęłam kapcie. Zimna marmurowa podłoga ochłodziła mi stopy. Chciałam mu powiedzieć, że oczy swędzą mnie od niewypłakanych łez, że ciągle wytyżam słuch, że chcę usłyszeć kroki Taty na schodach. Ze mam w środku mnóstwo boleśnie porzrzucanych kawałków, których nie mogę poskładać i których nigdy nie poskładałam, bo miejsc, gdzie dotąd leżały, już nie ma. Ale zamiast tego szepnęłam:

– Na mszy będzie dużo ludzi.

Jaja nie odpowiedział.

Zadzwoił telefon. Dzwonił długo; ktoś musiał kilka razy wybierać nasz numer, zanim Mama podniosła słuchawkę. Zaraz potem zeszła do salonu. Spod niedbale zawiązanej sukienki wystawało jej znamię, mała czarna cebulka nad lewą piersią.

– Zrobili sekcję zwłok. Znaleźli truciznę w jego ciele.

– Powiedziała to tak, jakbyśmy dobrze o tym wiedzieli, jakbyśmy celowo ją podłożyli, tak na widoku, żeby ktoś znalazł ją, jak białe dzieci znajdują wielkanocne jajka ukryte w trawie przez dorosłych; czytałam o tym w książkach.

– Truciznę? – powtórzyłam.

Mama zacisnęła węzeł spódnicy i rozsunęła kotary, żeby sprawdzić, czy przez żaluzje nie wpada deszcz. Poruszała się spokojnie i powoli, mówiła tak samo.

– Przed wyjazdem do Nsukka zaczęłam dosypywać mu do herbaty. Dostałam od Sisi; jej wuj jest wielkim szamanem.

Przez długą chwilę nie mogłam o niczym myśleć. W głowie miałam pustkę, w duszy też. Potem przypomniało mi się, jak ją piliśmy, jak piliśmy tę herbatę, przypomniały mi się te łyeczki miłości, to palące pieczenie na języku.

– Dlaczego do herbaty? – spytałam, wstając. Mówiłam głośno. Prawie krzyczałam. – Dlaczego akurat do herbaty?

Ale Mama nie odpowiedziała. Milczała nawet wtedy, gdy zaczęłam nią potrząsać i Jaja musiał mnie odciągnąć. Milczała, odchodząc, gdy mnie objął i chciał objąć ją.

Parę godzin później przyjechała policja. Powiedzieli, że chcą zadać nam kilka pytań. Skontaktował się z nimi ktoś ze szpitala i mieli już protokół z sekcji zwłok. Jaja nie czekał. Powiedział im, że użył trucizny na szczury, że dosypywał jej Tacie do herbaty. Pozwolili mu zmienić koszulę, a potem go zabrali.

INNY RODZAJ CISZY

DZIEŃ DZISIEJSZY

Znam wszystkie trasy do więzienia. Znam domy i sklepy, znam twarze handlarek, które sprzedają pomarańcze i banany tuż przed skrzyżowaniem w zrytą wybojami drogę na więzienne podwórze.

– Chcesz kupić pomarańcze, Kambili? – pyta Celestine. Zwalniamy, samochód ledwo się toczy i handlarki zaczynają machać do nas i krzyczeć. Celestine ma łagodny głos; Mama mówi, że właśnie dlatego go najęła po tym, jak zwolniła Kevina. I dlatego, że nie ma blizny w kształcie sztyletu na szyi.

– Wystarczy to, co jest w bagażniku. – Patrzę na Mamę. – Chcesz coś kupić?

Mama kręci głową i zsuwa jej się chustka. Mama zawiązuje ją luźno, tak samo jak przedtem. Sukienkę też ma źle zawiązaną i często ją poprawia, tak jak niechlujne handlarki na rynku, które chodząc w rozchełstanych owijkach, pokazują wszystkim dziurawe majtki.

Ale ona nie zwraca na to uwagi i chyba nawet nie wie, że tak wygląda. Bardzo się zmieniła, odkąd Jaja poszedł do więzienia, odkąd zaczęła rozpowiadać ludziom, że zabiła Tatę, że to ona wsypała truciznę do herbaty. Pisała nawet listy go gazet. Ale nikt jej nie słuchał; teraz też nikt jej nie słucha. Myślą, że odmienił ją smutek i to, że wciąż nie wierzy, iż jej mąż nie żyje, a syn siedzi w więzieniu, że przez ten smutek i okłamywanie samej siebie jest teraz jak kościste widmo, powleczone skórą w plamki wielkości pestek arbuza. Może właśnie dlatego wybaczyli jej to, że przez rok nie ubierała się na czarno albo na biało. Może dlatego nikt nie skrytykował jej za to, że nie była na mszy w pierwszą i drugą rocznicę śmierci męża, że nie ścięła włosów.

– Popraw chustkę – mówię, dotykając jej ramienia.

Mama wzrusza ramionami i wciąż patrzy w okno.

– Nie trzeba.

Celestine widzi nas w lusterku. Ma łagodne oczy. Kiedyś zaproponował, że zabierze Mamę do *dibia* w swoim rodzinnym mieście, fachowca „od tych

rzeczy”. Nie bardzo wiedziałam, co miał na myśli, czy sugerował, że Mama postradała zmysły, w każdym razie podziękowałam mu i odmówiłam. Dobrze nam życzy. Czasem widzę, jak na nią patrzy, jak pomaga wsiąść jej z samochodu i wiem, że chciałby, żeby wyzdrowiała.

Rzadko kiedy przyjeżdżamy tu razem. Zwykle jest tak, że Celestine wiezie najpierw mnie, a parę dni później ją. Myślę, że Mama tak woli. Ale dzisiaj jest inaczej, dzisiaj jest wyjątkowo: wreszcie powiedziano nam, że Jaja na pewno wyjdzie.

Po śmierci głowy państwa przed kilkoma miesiącami – podobno umarł na prostytutce, w drgawkach i z pianą na ustach – sądziliśmy, że natychmiast go zwolnią, że nasi adwokaci szybko coś wymyślą, zwłaszcza że doszło do licznych demonstracji, podczas których zwolennicy demokracji domagali się rządowego śledztwa w sprawie śmierci Taty, twierdząc, że zamordowali go ci ze starego reżimu. Ale minęło kilka tygodni, zanim tymczasowy rząd cywilny zapowiedział zwolnienie wszystkich więźniów sumienia, i jeszcze kilka, zanim nasi adwokaci wciągnęli brata na listę. Figuruje na niej ponad dwieście nazwisk, ale on jest na czwartym miejscu. Wyjdzie za tydzień.

Dowiedziałyśmy się o tym wczoraj, od dwóch adwokatów, których ostatnio wynajęłam; obydwaj mają po nazwisku prestiżowy dopisek *san*, od *senior advocate of Nigeria*. Przyszli do nas do domu z wiadomością i z butelką szampana przewiązaną różową wstążką. Po ich wyjściu nie rozmawiałam o tym z Mamą. Choć się nią nie podzieliłyśmy, po raz pierwszy połączyła nas ta sama konkretna nadzieja, ten sam nowy spokój.

Jest tyle rzeczy, o których nie rozmawiamy. Nie rozmawiamy o olbrzymich łapówkach dla sędziów, policjantów i strażników więziennych. Nie rozmawiamy o tym, jak dużo mamy pieniędzy, chociaż połowa majątku Taty poszła na Kościół i na propagowanie jego misyjnej posługi. Nigdy też nie rozmawiamy o tym, co niedawno odkryłyśmy: że Tata anonimowo sponsorował szpitale dziecięce, sierocińce i domy dla kalek weteranów wojny domowej. Wciąż jest tyle spraw, o których milczymy, których nie ujmujemy w słowa.

– Puść Felę, Celestine – mówię, siadając wygodniej. W samochodzie rozbrzmiewa krzykliwy głos piosenkarza. Sprawdzam, czy przeszkadza to Mamie, ale ona patrzy prosto przed siebie, na fotel; wątpię, czy cokolwiek słyszy. Wątpię, bo odpowiada, kiwając lub kręcąc głową, nigdy inaczej. Prosiłam Sisi, żeby z nią porozmawiała. Sisi przesiaduje z nią godzinami w salo-

nie, ale mówi, że Mama milczy, że po prostu patrzy przed siebie i cały czas milczy. Gdy przed rokiem Sisi wyszła za męża, Mama dała jej cały stos pudeł z porcelaną. Sisi usiadła na podłodze i się rozpłakała, a Mama stała i na nią patrzyła. Sisi wpada do nas raz na jakiś czas, żeby poinstruować naszego nowego zarządcę, Okona, i spytać, czy czegoś nam nie potrzeba. Mama zwykle się nie odzywa, tylko kiwa się w bujaku i kręci głową.

Gdy miesiąc temu powiedziałam, że jadę do Nsukka, też się nie odezwała, nie spytała nawet po co, a przecież nikogo już tam nie znam. Tylko kiwnęła głową. Zawiózł mnie Celestine i przyjechaliśmy na miejsce w południe, gdy słońce zaczyna prażyć tak mocno, że – jak to zawsze sobie wyobrażałam – wysysa wilgoć ze szpiku. Prawie wszystkie trawniki na uniwersytecie są teraz zapuszczone; wysoka trawa sterczy z nich jak zielone strzały. A pyszniący się na piedestale lew już nie błyszczy.

Zapukałam do drzwi dawnego mieszkania cioci Ifeomy i spytałam nowych lokatorów, czy mogę wejść. Chociaż dziwnie na mnie patrzyli, zaprosili mnie do środka i poczęstowali szklanką wody. Uprzedzili, że jest ciepła, bo nie ma prądu. Łopaty wentylatora pod sufitem były pokryte wełnistym kurzem, więc musiało go nie być już od jakiegoś czasu, w przeciwnym razie kurz by odfrunął. Wypiłam wodę na mocno wysiedzianej sofie. Dałam im owoce, które kupiłam na Dziewiątej Mili, i przeprosiłam, że banany czerniały od gorąca w bagażniku.

W drodze powrotnej śmiałam się głośno, zagłuszając surowy śpiew Feli. Śmiałam się, ponieważ w porze harmattanów samochody pokrywają się w Nsukka kurzem z bitych dróg, a w porze deszczowej lepkiem błotem. Ponieważ wyboje na tych drogach są dla podróżnych jak niespodziewane prezenty, ponieważ powietrze pachnie tu wzgórzami i przeszłością, ponieważ słońce rozrzuca tu piasek i zamienia go w złoty pył. Ponieważ Nsukka potrafi uwolnić w człowieku coś, co z głębokich trzewi wędruje do gardła i ulatuje ustami jako pieśń wolności. Jako śmiech.

– Jesteśmy na miejscu – mówi Celestine.

Więzienne podwórze. Nagie mury pokrywają szpetne sinozielone plamy pleśni. Jaja przeniesiono z powrotem do starej celi, tak zatłoczonej, że niektórzy muszą stać, żeby inni mogli się położyć. Za toaletę służy im czarna plastikowa torba i po południu więźniowie niemal biją się o to, żeby ją wynieść, bo ten, kto zwycięży, choć przez chwilę będzie widział słońce. Jaja powiedział mi kiedyś, że nie wszyscy zwracają sobie głowę korzystaniem z torby,

że najgorsi są ci gniewni. Nie przeszkadza mu spanie z myszami i karaluchami, ale nie chce zasypiać z nosem w czyichś odchodach. Do zeszłego miesiąca siedział w lepszej celi, takiej z książkami i materacem, ponieważ nasi adwokaci wiedzieli, komu dać łapówkę. Ale po tym, jak bez wyraźnego powodu plunął strażnikowi w twarz, rozebrano go, wychłostano bykowcem i przeniesiono do starej. Chociaż nie wierzę, żeby zrobił coś takiego niesprovokowany, nie znam innej wersji wydarzeń, bo Jaja nie chce o tym rozmawiać. Nie pokazał mi nawet pręg na plecach, chociaż przekupiony przez nas lekarz mówił, że były obrzmiałe i grube jak parówki. Widzę za to inne części jego ciała, te, których nie musi mi pokazywać, jak choćby ramiona.

Opadły mu podczas tych trzydziestu jeden miesięcy pobytu w więzieniu, te same ramiona, które tak bardzo rozrosły się w Nsukka. Trzydzieści jeden miesięcy, prawie trzy lata. Gdyby jakaś kobieta urodziła w dniu, w którym go zamknięto, dziecko już by mówiło, chodziłoby do przedszkola. Czasem patrzę na niego i płaczę, a on tylko wzrusza ramionami i mówi, że Oladipupo, starszy celi – mają tam własną hierarchię – czeka na proces od ośmiu lat. Przez cały ten czas Jaja też był tylko zwykłym aresztantem, podejrzanym czekającym na proces.

Amaka pisała listy do kancelarii głowy państwa, a nawet do nigeryjskiego ambasadora w Ameryce, w których skarżyła się na fatalny stan naszego systemu sądowego. Nikt jej nie odpowiedział, ale chciała coś zrobić, to było dla niej bardzo ważne. W listach do mojego brata nie wspomina o tym ani słowem. Czytam te listy – są treściwe i utrzymane w swobodnym tonie. Amaka nie pisze w nich o Tacie ani o więzieniu. W ostatnim napisała, że jedno ze świeckich czasopism w Ameryce zamieściło artykuł o Aokpe; autor był bardzo sceptyczny wobec doniesień o objawieniach Najświętszej Pani, zwłaszcza w Nigerii: ta cała korupcja i tak dalej. Amaka napisała do redakcji, żeby powiedziec im, co o tym myśli. Niczego innego się nie spodziewałam.

Mówi, że rozumie, dlaczego Jaja nie odpisuje. Bo niby co miałyby napisać? Ciocia Ifeoma do niego nie pisze i zamiast listów wysyła mu kasety z ich głosami. Podczas odwiedzin Jaja prosi mnie czasem, żeby mu je puścić, a czasem nie. Ciocia pisze za to do Mamy i do mnie. Pracuje na dwa etaty, w collegeu i w „drogerii”, jak nazywają tam apteki. Pisze o olbrzymich pomidorach i tanim chlebie. Ale najczęściej o rzeczach, których jej brakuje, za którymi tęskni, jakby nie myśląc o teraźniejszości, żyła przeszłością i przyszłością. Jej listy ciągną się czasem i ciągną, aż atrament się rozmywa, dlatego nie za-

wsze wiem, o czym mówi. Raz napisała, że niektórzy uważają, iż nie potrafimy rządzić się sami, bo kilka razy próbowaliśmy i zawiedliśmy, jakby tym, którzy potrafią, udało się za pierwszym razem. To tak jakby powiedzieć raczkującemu dziecku, które próbując chodzić, upadło na pupę, żeby już nie wstawało. Jakby przechodzący obok niego dorośli nigdy w życiu nie raczkowali.

Chociaż to, co napisała, zainteresowało mnie do tego stopnia, że prawie cały ten list znam na pamięć, w sumie nie wiem, dlaczego o tym wspomniała.

Listy Amaki też bywają długie i zawsze pisze w nich – dosłownie w każdym – jak wszyscy tam tyją i jak Chima co miesiąc „pęka w szwach” i trzeba mu kupować nowe ubranie. Tak, ani razu nie wyłączyli nam światła, mówi, a z kranu zawsze leci gorąca woda, ale nie śmiejemy się już, bo nie mamy na to czasu, prawie się nie widzimy. Listy Obiory są najweselsze i najbardziej sporadyczne. Dostał stypendium w prywatnej szkole, gdzie, jak wspomina, za dyskutowanie z nauczycielami chwalał go, zamiast ganić.

– Ja to zrobię – mówi Celestine. Już otworzył bagażnik i właśnie miałam wyjąć plastikową torbę z owocami i płócienną z jedzeniem i talerzami.

– Dziękuję. – Staję z boku.

Celestine bierze torby i wchodzi do budynku. Ja za nim, Mama na końcu. Dyżurny policjant żuje wykałaczkę. Choruje na żółtaczkę i oczy ma jak farbowane. Na jego biurku jest tylko czarny telefon, gruba, wystrzępiona księga wejść i wyjść oraz stos zegarków, chusteczek do nosa i naszyjników w rogu.

– Ja się masz, siostrzyczko? – rzuca rozpromieniony na mój widok, chociaż zamiast na mnie, patrzy na torbę w ręku Celestinea. – Madame też dzisiaj przyjechała? Dzień dobry.

Ja się uśmiecham, Mama tępo kiwa głową. Celestine kładzie torbę z owocami na ladzie. W środku jest czasopismo z kopertą pełną szeleszczących banknotów prosto z banku.

Policjant odkłada wykałaczkę i torba znika pod ladą. Potem policjant prowadzi Mamę i mnie do dusznego pokoiku z ławkami przy niskim stole.

– Godzina – mruczy i wychodzi.

Siadamy po tej samej stronie, ale nie za blisko siebie. Wiem, że zaraz przyjdzie Jaja, i próbuję wziąć się w garść. Nie jest mi łatwo nawet teraz, po tak długim czasie. A z siedzącą tuż obok Mamą będzie jeszcze trudniej. Będzie najtrudniej, bo nareszcie mamy dobre nowiny, bo emocje, które dotąd dławiliśmy, ustępują miejsca innym, nowym. Nabieram powietrza i wstrzy-

muje oddech.

Jaja niedługo wyjdzie, napisał ksiądz Amadi w liście, który mam w torebce. Musisz w to wierzyć. I wierzyłam w to, wierzyłam mu, chociaż adwokaci wątpili. Wierzę w to, co pisze, wierzę tym stanowczym, lekko pochylonym literkom. „Ponieważ On tak powiedział, a On mówi prawdę”.

Zawsze noszę przy sobie jego ostatni list do chwili, gdy przychodzi kolejny. Wspomniałam o tym Amace, a ona odpisała, że jestem ckliwie zakochana, i narysowała mi uśmiezek. Ale nie dlatego noszę w torebce te listy; zakochania jest w tym zresztą bardzo mało. Kończy je słowami: „Jak zawsze”, nie dodaje nic więcej. I nigdy nie odpowiada, gdy pytam, czy jest szczęśliwy. Mówi, że pójdzie tam, gdzie wyśle go Pan. Prawie nie wspomina o swoim nowym życiu, nie licząc krótkich anegdotek, jak choćby ta o starej Niemce, która nie chce podać mu ręki, bo uważa, że czarni nie powinni być księżmi, albo o bogatej wdowie, która codziennie zaprasza go na kolację.

Jego listy dają mi do myślenia. Noszę je ze sobą, ponieważ są długie i szczegółowe, ponieważ przypominają mi o mojej prawości i pobudzają uczucia. Kilka miesięcy temu napisał, że nie chce, abym szukała odpowiedzi na pytanie „Dlaczego?”, ponieważ są rzeczy, których wytłumaczyć się nie da, o które nie warto, a może nawet nie ma sensu pytać. Nie wspomniał o Tacie – rzadko kiedy o nim wspomina – ale wiem, co miał na myśli, rozumiem, że próbował poruszyć we mnie coś, co bałam się poruszyć sama.

Noszę je też ze sobą dlatego, że dzięki nim jestem w stanie łaski. Amaka twierdzi, że kobiety zakochują się w księżach, żeby współzawodniczyć z Bogiem, żeby z Nim rywalizować. Ale my ze sobą nie rywalizujemy, Bóg i ja, my się nim dzielimy. Już nie zastanawiam się, czy mam prawo go kochać, tylko po prostu go kocham. Już nie zastanawiam się, czy czekami, które wypisuję dla Misjonarzy Błogosławionej Drogi, próbuję przekupić Boga, tylko wypisuję je i wysyłam. I już nie zastanawiam się, czy chodzę teraz do Świętego Andrzeja w Enugu dlatego, że tamtejszy proboszcz jest misjonarzem z Błogosławionej Drogi, tak samo jak ksiądz Amadi. Po prostu tam chodzę.

– Zabrałyśmy noże? – pyta Mama. Ma silny głos. Wyjmuje garnuszek z potrawką z kurczaka. I ustawia piękne porcelanowe talerze, jakby nakrywała do stołu przed wystawnym przyjęciem, jak kiedyś Sisi.

– Mamo, jemu nóż niepotrzebny. – Chociaż Jaja zawsze je prosto z garnuszka, Mama zawsze zabiera talerze, co tydzień innego koloru i w inny wzorek.

– Nie pokroi mięsa – mówi.

– On go nie kroi, on po prostu je zjada. – Uśmiecham się i dotykam jej ramienia, żeby się uspokoiła. Mama bierze błyszczącą srebrną łyżkę, kładzie ją na brudnym stole, odchyła się do tyłu i patrzy na nią krytycznym okiem. Otwierają się drzwi i wchodzi Jaja. Nowy podkoszulek, który kupiłam mu ledwie dwa tygodnie temu, jest już cały w brązowe plamy, takie, które nie schodzą, jak te od soku z nerkowca. Jako małe dzieci jedliśmy owoce nerkowca mocno pochyleni nad stołem, żeby nie zachlapać sobie ubrania. Jego szorty kończą się wysoko nad kolanami i odwracam wzrok, żeby nie widzieć strupów na udach. Nie wstajemy, żeby objąć go na powitanie, bo tego nie lubi.

– Dzień dobry, Mamo – mówi. – Kambili, *ke kwanu?* – Podnosi pokrywkę i zaczyna jeść.

Czuję, że Mama się trzęsie, i ponieważ nie chcę, żeby się załamała, mówię bardzo szybko. Dźwięk mojego głosu powstrzymuje ją od płaczu.

Adwokaci wyciągną cię w przyszłym tygodniu.

Jaja wzrusza ramionami. Nawet szyję ma w strupach, które robią wrażenie zaschniętych, dopóki się nie podrapie, bo wtedy zaczyna cieknąć z nich żółta ropa; przekupiony przez Mamę lekarz daje mu różne maści, ale żadna nie skutkuje.

– Jest tam wiele ciekawych typów – mówi. Je ryż najszybciej, jak może.

Policzki ma rozdęte, jakby wepchnął sobie do buzi dwie gruszki.

– Z więzienia, Jaja, nie z celi.

Brat przestaje jeść i patrzy na mnie bez słowa wzrokiem, który z każdym miesiącem w zamknięciu robił się coraz twardszy i twardszy. Jego oczy są teraz nieustępliwe jak kora palmy. Zastanawiam się nawet, czy naprawdę rozmawialiśmy kiedyś *asusu anya*, językiem wzroku, czy tylko mi się tak zdało.

– Za tydzień wyjdiesz – mówię. – Za tydzień będziesz w domu.

Chcę wziąć go za rękę, ale wiem, że ją zabierze. W oczach ma za dużo winy, żeby mógł mnie widzieć, widzieć swoje odbicie w moich źrenicach, obraz mojego bohatera, brata, który zawsze próbował mnie chronić najlepiej, jak umiał. Zawsze będzie uważał, że zrobił za mało, i nigdy nie zrozumie, że ja tak nie myślę.

– Nie jesz – mówi Mama.

Jaja podnosi łyżkę i zaczyna łapczywie jeść ryż. Zapada cisza, ale teraz

jest inna, bo mogę w niej oddychać. Czasem śni mi się tamta cisza, ta dawna, z czasów Taty. W sennych koszmarach miesza się ze wstydem, smutkiem i z wieloma rzeczami, dla których nie znajduję nazwy, miesza się, zmienia w błękitne jęzory ognia, zawisa mi nad głową niczym Pentekostarion i wisi tak, dopóki nie zbudzę się, krzycząc i spływając potem. Nie mówiłam bratu, że co niedziela daję na mszę za duszę Taty, że chcę zobaczyć go we śnie, że pragnę tego tak bardzo, iż czasem, na pograniczu jawy i snu, układam sny sama: widzę w nich Tatę, który chce mnie objąć, więc wyciągam do niego ręce, ale nasze ciała nigdy się nie stykają, bo zawsze wtedy coś gwałtownie wyrывa mnie ze stanu półjawy i zdaję sobie sprawę, że nie potrafię zapanować nawet nad snami, które sama zmyśliłam. O tylu rzeczach ciągle milczymy, brat i ja. Może z czasem o nich porozmawiamy, a może już nigdy nie będziemy w stanie ich z siebie wyrzucić, ubrać w słowa coś, co od dawna jest nagie.

– Masz źle zawiązaną chustkę – mówi Jaja do Mamy.

Wytrzeszczam oczy ze zdziwienia. Nigdy dotąd nie zauważał, kto się jak ubiera. Mama pospiesznie rozwiązuje i zawiązuje chustkę, tym razem na dwa dobrze zaciśnięte węzły z tyłu głowy.

– Koniec widzenia! – Do pokoju wchodzi strażnik.

Nie patrząc na nas, Jaja rzuca krótkie, chłodne: *Ka o di* i strażnik go wyprowadza.

– Kiedy wyjdzie, powinniśmy pojechać do Nsukka – mówię, gdy wychodzimy z pokoju. Mogę już rozmawiać o przyszłości.

Mama wzrusza ramionami i nie odpowiada. Idzie powoli; coraz bardziej kuleje i chodzi teraz jak kaczka. Dochodzimy do samochodu, gdy wtem odwraca się do mnie i mówi:

– Dziękuję, *nne*.

W ciągu ostatnich trzech lat odezwała się niepytana tylko kilka razy. Nie chcę myśleć, nie chcę wiedzieć, dlaczego mi dziękuje ani co to znaczy. Wiem tylko, że smród więziennego podwórza, zapach wilgoci i odór moczu nagle zniknął.

– Najpierw zabierzemy go do Nsukka, a potem pojedziemy do Ameryki, do cici Ifeomy – mówię. – A kiedy wrócimy, zasadzimy w Abba nowe drzewka pomarańczowe. I fioletowe hibiskusy! Jaja posadzi hibiskusy, a ja ixorę, żebyśmy mogli ssać sok z kwiatów. – Śmieję się. Obejmuję Mamę za ramię, a ona nachyla się ku mnie z uśmiechem.

Niebo jest zasnute ciężkimi chmurami. Są jak farbowana bawełna i wiszą tak nisko, że mogłabym wyciągnąć rękę i wycisnąć z nich całą wilgoć. Niedługo spadną nowe deszcze.

Podziękowania

Kenechukwu Adichie, mojemu „małemu” bratu i najlepszemu przyjacielowi, czytelnikowi roboczej wersji i „pocztowcowi” – za to, że od samego początku dzielił się ze mną każdym „nie”, że mnie rozśmieszał.

Tokunbo Oremuleowi, Chisomowi i Amace Sony-Afoekelu, Chinedumowi Adichie, Kamsiyonnie Adichie, Arinze Maduka, Ijeomie i Obinnie Maduka, Uche i Soniemu Afoekelu, Chukwunwike i Tinuce Adichie, Okechukwu Adichie, Nneka Adichie Okeke, Bee i Uju Egonu oraz Urennie Egonu, bardziej siostrom niż przyjaciółkom – za dowód na to, że woda może być gęsta jak krew; za to, że zawsze ją zdobywały.

Charlesowi Methotowi – za to, że był mi opoką.

Adzie Echetebe, Binyavandze Wainainie, Arinze Ofoeze, Austinowi Nwosu, Ikechukwu Okorie, Carolyn DeChristopher, Nnake Nweke, Amaechi Awarum, Ebeli Nwala – za to, że były moimi tam-tamami.

Antonii Fusco – za to, że tak mądrze i ciepło redagowała tekst, za telefon, po którym omal nie zaczęłam robić gwiazd.

Djanie Pearson Morris, mojej agentce – za wiarę.

Ludziom i duchowi Stonecoast Writers’ Conference, Summer 2001 – za głośną owację, tudzież gwizdy.

Wszystkim przyjaciołom – za to, że udawali, iż rozumieją, gdy nie odzwaniałam.

Dziękuję. *Dalu nu.*

Spis treści

UPADEK BOGÓW

ROZMOWA DUSZ

SZCZĄTKI BOGÓW

INNY RODZAJ CISZY

Podziękowania